

**NOCNY
PROM
DO
TANGERU**



KEVIN BARRY



NOCNY PROM DO TANGERU

KEVIN BARRY

Z angielskiego przełożył
Łukasz Buchalski



Tytuł oryginału *Night Boat to Tangier*
Przekład **Łukasz Buchalski**
Redakcja **Kama Buchalska**
Korekta **Marcin Grabski, Anna Gądek**
Projekt okładki **Rafaela Romaya**
Adaptacja okładki i projekt stron tytułowych **Tomasz Majewski**

NIGHT BOAT TO TANGIER

Copyright © by Kevin Barry 2019

All rights reserved.

Copyright © for the Polish translation by Łukasz Buchalski, 2020

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Pauza, 2020

Zdjęcie autora na okładce Copyright © Hugh O’Conor

Wydanie tej książki zostało dofinansowane przez Literature Ireland.



Skład i łamanie **Dariusz Ziach**

ISBN 978-83-955508-5-0 (EPUB); 978-83-955508-5-0 (MOBI)

Wydawnictwo Pauza

Warszawa 2020

Wydanie pierwsze

Wydawnictwo Pauza
ul. Meksykańska 8 m. 151,
03-948 Warszawa



Konwersja publikacji do wersji elektronicznej



Spis treści

Dedykacja

Rozdział 1. DZIEWCZYNY I PSY

Rozdział 2. WYTATUOWANY CYCEK

Rozdział 3. U WYBRZEŻY BERBERII

Rozdział 4. KOCHANKOWIE POD PÓŁNOCNĄ BRAMĄ

Rozdział 5. MATKA PIĘŚĆ I JEJ PIĘĆ CÓREK

Rozdział 6. ZAKŁĘCIE

Rozdział 7. ICH PRZYPADŁOŚCI

Rozdział 8. CAŁONOCNA PIJALNIA ALKOHOLI POD
WEZWANIEM JUDASZA ISKARIOTY

Rozdział 9. URODZONA MISTYCZKA

Rozdział 10. RANA DOBREJ WOLI

Rozdział 11. OSTATNIA NOC NASZEJ ZNAJOMOŚCI

Rozdział 12. WIECZOREK FILMOWY W WARIATKOWIE

Rozdział 13. CYNTHIA I DILLY – CICHY HISTORIA

Rozdział 14. DESZCZOWA NOC W ALGECIRAS

Od tłumacza

Dla Olivii

W Hiszpanii nieboszczyk jest żywszy po śmierci
bardziej niż gdziekolwiek indziej na świecie (...).

– Federico García Lorca, przeł. Marcin Kurek

Rozdział pierwszy

DZIEWCZYNY I PSY

W porcie Algeciras, październik 2018 roku

Jak sądzisz, Charlie – doczekamy końca?

Sądzę, że jesteś bliski odpowiedzenia sam sobie na to pytanie, Maurice.

W wilgotnym świetle terminalu portowego dwóch ponurych Irlandczyków daje wyraz swojej cierpliwie znoszonej niedoli. Zrodzili się do takich gestów, przychodzą im one z łatwością.

W starym hiszpańskim porcie Algeciras zapadła noc.

Oj, trudno wyobrazić sobie okropniejsze miejsce – człowiek chciałby, żeby mu oczy powywracało na boki.

Terminal promowy wygląda jak nawiedzony, panuje złowieszczą atmosfera. Powietrze cuchnie udręczonymi ciałami i lękiem.

Dokoła wiszą skrawki postrzępionych plakatów – osoby zaginione.

Są i ogłoszenia celne – *narcotraficantes*.

Ociekający potem nocy ślepiec wije się i posykuje jak tłusty grzechotnik, próbując sprzedać losy na loterię – jego obecność nie poprawia atmosfery.

Irlandczycy niefrasobliwie spoglądają na twarze ludzi, którzy migają przed nimi pędzeni siedmioma dystrakcjami: miłością, żalobą, bólem, sentymentalizmem, chciwością, pożądaniem i pragnieniem śmierci.

Ponad nimi, u szczytu ruchomych schodów, bistro – syczy wyczekująco, szczęka życiem.

Spod okienka z napisem INFORMACIÓN – prosimy o więcej – zwisa niczym pytańnik niewielka półeczka.

Maurice Hearne i Charlie Redmond siedzą zaledwie parę metrów na zachód od okienka. Są tuż po pięćdziesiątce. Lata przemijają już nieubłaganie niczym przypływ. Twarze mężczyzn noszą ślady dawnych burz – widać to w twardych zarysach żuchw i nieregularnie wykrojonych wargach. Mężczyźni zachowują jednak – z trudem – łobuzerski urok.

Teraz, w doskonałej synchronizacji, obracają głowy ku okienku z napisem INFORMACIÓN.

Masz ochotę skoczyć znów na słówko, Charlie? Zapytać o następny prom?

Pewnie, ale za szybko stale ten sam typek. Ten o zgorzkniałej gębie. Gadułą to on nie jest, Moss.

Spróbuj, Charlie.

Charlie Redmond podnosi się z ławki przy akompaniamencie westchnień. Rozprostowuje swoje długie kości. Podchodzi do okienka.

Kuleje: ciągnie za sobą prawą nogę miękkimi, płynnymi ruchami, z wyćwiczoną wprawą. Uderza łokciami o blat. Bije od niego aura nieskrywanej groźby. Obnosi minę ulicznego nicponia. Mówi po hiszpańsku z wyraźnym akcentem z północnego Corku.

Hola y buenos noches – rzuca.

Odczekuje dłuższą chwilę, ogląda się przez ramię, woła do Maurice'a.

Zero odpowiedzi, Moss. Wciąż zgorzkniała gęba.

Maurice smutno kręci głową.

Nie znoszę być, kurwa, olewany – odpowiada.

Charlie próbuje znowu.

Hola? Przepraszam! Próbuję się dowiedzieć o ten następny prom. On jest z Tangeru? A może... do Tangeru?

Smutne milczenie, później gest.

Charlie obraca się do Maurice'a i naśladuje wzruszenie ramionami, jakim obdarzył go *informaciónista*.

Nic więcej nie dostaję, Maurice.

Powiedz mu: *Habla Inglés*, Charlie.

Ale Charlie poddaje się i kuśtyka z powrotem na ławkę.

Habla mnie w dupę – mówi. – On nic, tylko wzrusza ramionami i się na mnie gapi.

Minę ma jak spieprzone małżeństwo – odpowiada Maurice.

Obraca się gwałtownie i wrzeszczy w stronę okienka:

Zrzuc, kurwa, tę gębę!

Po czym uśmiecha się wesoło.

Bez troski, krzywy uśmiech Maurice'a Hearne'a będzie się pojawiał często. Lewe oko – mętne i bez życia, drugie jak zaklęte, jakby, dla równowagi, dostało życia w nadmiarze. Mężczyzna ma na sobie znoszony garnitur, czarną koszulę z wykładanym kołnierzykiem, białe cichobiegi i melonik odsunięty na tył głowy. Kiedyś zapewne był z niego nie lada goguś, ale te czasy minęły.

Toś mu powiedział, Maurice. Manier go nauczyłeś.

A Charlie Redmond? Ma w twarzy coś pradawnego, niby nadworny grajek w średniowieczu: mężczyzna, który będzie wam brzdąkał na lutni w pachnącej wiązówkami alkowie. Płomienny wzrok cudzołożnika i, znów, znoszony garnitur, ale do niego eleganckie, rdzawopomarańczowe buty – bywałe w burdelach mokasyny z zamszowym wykończeniem, zaś wokół szyi krawat z zielonego sztruksu. Do tego problemy żołądkowe, pod oczami wory ciężkie jak płyty nagrobne i niespokojna dusza.

Na ziemi, między stopami Irlandczyków, leży torba podręczna – stary, rozpierdolony adidas.

Tyle lat już tu przyjeżdżamy, nie, Charlie?

Się wie.

Myślałby człowiek, że będziemy gadać po ichniemu.

Wolno się uczymy, Maurice.

Mnie nie musisz mówić. Biedny, mały Maurice Hearne z dzielnicy Togher siedział na tyłach klasy i pilnował kurtek.

Wtem czubek kościstego kinola Charliego podskakuje w reakcji na zmianę, jaka zachodzi w powietrzu wypełniającym terminal.

Policía, mówi.

Gdzie?

Patrzysz? O, tam.

Dusza na ramieniu. Zachowaj kamienną twarz, Charlie.

Wiesz, co ci powiem, Moss? Nie zazdroszczę ci tego, co cię może czekać w tutejszym areszcie. Wiesz, o czym mówię? O wspólnej celi.

Jestem za ładny na wspólną celę, Charlie. W mniej niż pół godziny zostałbym czyjąś lalą. „Chodź do domu, Pedro, obiad już gotowy”. *Policía* niknie w tłumie.

Tłum zaś z minuty na minutę gęstnieje.

Nikt nie wie, co dziś przyplęwa lub wypływa przez cieśninę – po drugiej stronie trwają spory, w Tangerze nie po raz pierwszy są kłopoty.

To może trwać godzinami, Maurice.

Nie ruszą przed dwudziestym trzecim. Nie ma jeszcze północy.

Taa, ale o który koniec dwudziestego trzeciego chodzi? Ruszą pięć minut po północy czy może za pięć dwunasta jutro? To dalej będzie dwudziesty, kurwa, trzeci. Możliwe, że przed nami cały dzień czekania.

Rzut oka na to, co można dostrzec za wysokimi oknami, wystarczyłby na esej na temat skomplikowanego oświetlenia portu Algeciras. Blask lamp łukowych, unoszące się zanieczyszczenia i ślady gorąca pozostawione przez późnopaździernikowe słońce sprawiają, że powietrze wydaje się stężałe i zamglone, że noc gorzej jaskrawymi barwami,

gęstnieje. Ciężar powietrza jest nawet większy niż trzeba, by utrzymać zawisające tu nad nami duchy.

Z megafonu rozlega się głośno obwieszczenie – pęd hiszpańskich spółgłosek w ostrym andaluzyjskim dialekcie – co irytuje zaskoczonych mężczyzn.

W miarę trwania ogłoszenia zwiększa się poziom złożoności zdań, a zmniejszają przerwy na oddech – wkraczamy w obszary hysterii. Mężczyźni zaś, nie znając języka, czują się zmieszani i rozgniewani.

Po dłuższej chwili głos cichnie, obwieszczenie się kończy, a Irlandczycy obracają się ku sobie.

Niewiele się z tego dowiedzieliśmy, co, Maurice?

Tak, Charlie. Nie za wiele.

Maurice Hearne podnosi się z ławki i wyciąga się jak długi. Ze zmartwieniem wsłuchuje się w strzelanie stawów – kurwa mać. Maca jaszczurowate wypustki kręgosłupa.

Jezu, któryś płakał w ogrodzie Getsemani – mówi.

Z niezdrową intensywnością wpatruje się w wysokie okna, po czym rzuca staremu druhowi szybkie, pytające spojrzenie. Charlie Redmond wydobywa z siebie westchnienie pełne zmęczenia i zgody.

Ze sportowej torby mężczyźni wyciągają pliki ulotek powielonych na laserowej drukarce. Na każdej z nich widnieje wizerunek około

dwudziestoletniej dziewczyny. Jest nią Dilly Hearne. Nie ma pewności co do jej obecnego miejsca pobytu.

*

Chodzi o młodą dziewczynę – mówi Maurice. – Szukamy jej.

Córy szukamy tego tutaj pana. Facet jej od trzech lat nie widział.

Fotka już trochę stara, ale powiedziałbym, że dziewczyna wciąż ma tę samą kompleksję.

Maurice? Oni by nie poznali kompleksji, gdyby ich kopnęła w dupę.

Fotka już stara, ale powiedziałbym, że wciąż ma tę samą... ten sam styl.

Mała jest. I ładna. Pewnie dalej ma dredy.

Dredy – kapujecie? Bob Marley? Jah Rastafari?

Może mieć ze sobą psa. Albo i dwie sztuki.

Takiego na sznurze, nie?

Ładna z niej dziewczyna. Dwadzieścia trzy lata będzie miała teraz. I dredy Rastafari.

Wiesz, co nam się przyda, Charlie?

Co takiego, Moss?

Jak jest po hiszpańsku „szuszwol”?

Szuszwole? – zagaduje Charlie. – Kudłate bydlaki? Newage’owe włóczęgi, tak się na nich mówi?

A na boku dodaje:

Nie czepiałbym się, Maurice, gdyby nie fakt, że te chuje wynalazły całą koncepcję szuszwola.

Ponieważ mają ku temu pogodę, Charlie. Leżą wyciągnięci na piaszczystych czarnych plażach pośród tych wszystkich psów i dziewczyn.

*

Zdaje mi się, że jednak pamiętam jakieś słówka, Moss. Tak po namyśle. W sensie, po ichniemu.

Zapodaj coś, Charlie.

Supermercado.

A jak to się nazywa u nas w domu?

Tesco.

Ja też pamiętam co nieco. Na przykład... *Gorrión*?

Gore-co?

Gorrión! To z czasów, kiedy byłem w Kadyksie... Opowiadałem ci, Charlie, jak kiedyś zabijałem się w starszej kobiecie w Kadyksie?

Pamiętałbym coś takiego, Maurice.

Kochałem się z nią całymimi nocami, Charles.

Byłeś wtedy młodszy.

I wiesz, co ona mi robiła o poranku?

Zamieniam się w słuch.

Karmiła mnie wróblami, Charlie.

Oni to, kurwa, wszystko zeżrą, nie? Ci tutaj.

Gorrión! Wróbel!

Jak nie przybijesz do ziemi, to zeżrą. Hop, na patelnię i do gardła. Ale on musi być ździebko oślizgły od tłuszczu, co, Moss? Taki wróbelek?

Śliski jak John Travolta. I, trzeba przyznać, niezbyt sycący.

Jak mam być szczery, Maurice, to moja dupa nie ma się najlepiej od czasu tamtej ośmiornicy w Maladze.

Wita się z tobą z drugiej strony, Charlie?

Tak jest. Oczywiście najgorsza w Maladze nie była ośmiornica.

Oj, nie.

Było bez porównania gorzej, chłopie.

*

Odgłosy nocy w porcie Algeciras:

Informacyjny szum ogłoszeń z megafonu.

Twarde, owadzie bzyczenie łódek policyjnych.

Miękki zgiełk wiecznie kotłujących się w terminalu tłumów.

Na zewnątrz:

Jakiś pies obronny obszczekuje gwiazdy.

Odrzutowiec z bazy wojskowej pruje niebo.

Wewnątrz:

Przygłupi chłopiec śpiewnym głosem odmawia arabską modlitwę.

Wylewka ekspresu do kawy wesoło popyrkuje.

A Charlie Redmond wyciąga swoje długie, tyczkowate nogi, krzyżuje je w kostkach, splata palce u rąk, które kładzie pod głową, i spogląda w górę, podziwiając sklepienie terminalu oraz igraszki losu ogólnej natury.

Wiesz, co jest najtragiczniejsze, Maurice?

Co takiego, Charlie?

Z patrzenia w lustro nie mam przyjemności od tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego czwartego.

Piękny byłeś za młodu, Charles.

Przystojny jak diabeł! Do tego elegant.

Maurice obraca głowę w lewo, potem w prawo, żeby rozluźnić kark. Przeszywają go obrazy. Las nieopodal Ummera w północnym hrabstwie Cork, gdzie spędził swoje pierwsze lata. I Dilly jako dziecko, gdy pośród szarobiałej londyńskiej zimy prowadzał ją wzdłuż Stroud Green Road. I Cynthia w pościeli, w domu pod Berehaven, gdy przez okno sączyło się światło poranka.

Ja chyba byłem zaskakującym symbolem seksu – mówi mężczyzna. –
Wiesz: składasz tę gębę do kupy i w teorii zupełnie nie ma sensu.
A jednak...

Ma w sobie magię, Moss. A przynajmniej miała. Miała.

Spoglądają w dal. Posyłają westchnienia w eter. Gadanie to ich tarcza
przeciwno odczuwaniu. Podnoszą ulotki i wstają znowu. Rozdają je
przechodniom – niewielu przyjmuje. Współczucie wyrażane delikatnym
spuszczaniem wzroku. Zastępy zaginionych tworzą tu milczącą armię.

Wołają ją „Dill” albo „Dilly” – mówi Charlie.

Możliwe, że była w Grenadzie. Całkiem niedawno.

Podejrzewam, że była z całą paczką. Ten typ podróżuje stadnie, nie?

Szuszują całymi ławicami, te szuszwolskie szproty.

Dilly Hearne, lat dwadzieścia trzy, ładna dziewczyna. Z dreadami.
I z psami. Ma bladozielone oczy.

Wzięła je po matce, protestantce z Kinsale.

Świeć Panie nad jej duszą.

Zielonooka i niewysoka. Dill albo Dilly.

Maurice?

Charlie namierzył w terminalu nowo przybyłego chłopaka. Teraz Maurice też go zauważył. Młody mężczyzna jest po dwudziestce, nosi dredy, bojówki i buty z demobilu, a z ramienia zwisa mu plecak w stanie komicznego nieładu. Prowadzi na sznurze psa. Rzuci bagaż na ziemię. Na jego skórze mocna opalenizna miesza się z brudem – czerwoną ziemią z gór. Wyciąga litrowy karton *vino tinto*. Wygrzebuje z plecaka spodek, wylewa na niego trochę alkoholu i podsuwa psu. Odzywa się z angielskim akcentem, jakby ze wsi gdzieś z West Country.

Twoje zdrówko, Lorca – mówi. – Niech ci się szczęści, stary.

Maurice i Charlie obserwują to z zainteresowaniem. Patrzą po sobie z powagą. Pies chłepce wino, a chłopak ze śmiechem klepie go po grzbiecie. Irlandczycy podchodzą i stają naprzeciwko, na ich twarzach, w milczeniu, rysują się grymasy uśmiechu. Młody natychmiast obrzuca ich złęknionym spojrzeniem i chwytając sznur, niby z zamiarem powstrzymania zwierzęcia. Maurice zwraca swój uśmiech w stronę psa, przytyka język do zaciśniętych zębów i z całej siły spluwa: Pfffffee!

*

Ale Charlie Redmond? Ten ma rękę do psów. Wyciąga długą dłoń do Lorki, chwytając ją za łapę i wita się z nią. Drugą delikatnie macha psu przed oczami, jakby chciał go zahipnotyzować – po prostu rusza palcami w tę i w tę – i zaraz zwierzę jest jak ogłupiałe.

W październikową noc Maurice i Charlie siedzą na ławce troszkę na zachód od okienka z napisem INFORMACIÓN w terminalu promowym w porcie Algeciras, a między nimi – ściśnięty – młody obszarpaniec.

Wszyscy trzej obserwują roześmianego, rozkochanego psa.

Rozkoszne z niego stworzenie, co nie? – odzywa się Charlie.

Słodziak – odpowiada Maurice.

Słodki, stary pupilek – stwierdza Charlie. – Mówiłeś, że jak się wabi?

Lorca.

A ciebie jak wołają?

Benny.

Dobry z ciebie człowiek, Ben.

Benny i Lorca. Wybornie. Dostał imię po tym knypku z Realu Madryt, prawda? Co grał na pozycji skrzydłowego? Mniej więcej w tym samym czasie co Zidane?

Taki mały gwiazdorek? – mówi Maurice. – Lotny typek na skrzydle?

Zawsze lubiłem kurdupłowatych skrzydłowych – ciągnie Charlie. – Niedużych, a wiotkich.

Taki śmigły gwiazdorek – stwierdza Maurice – że nawet go kryć nie zdążysz, jak ci krwi napsuje.

To był trochę i twój styl działania, co, Moss?

O tak, zdecydowanie trzymałem kiedyś tempo, Charles.

Byłeś bardzo szybki na pierwszych pięciu metrach.

Ale nie umiałem przejąć piłki, Charlie.

Zawsze byłeś dla siebie surowy.

Benny podnosi się i wyciąga dłoń w stronę psa – chciałby oddalić się od tych dziwnych panów.

Koledzy, pora na mnie, będę się zbierał – stwierdza.

Ale Charlie wyciąga przyjacielską dłoń, pozwala jej na chwilę zawisnąć w powietrzu, żeby wywołać efekt komiczny, a następnie zaciska ją jak imadło na barku Anglika i zdecydowanym ruchem ściąga go z powrotem na ławkę.

Nie ma się co spieszyć, Ben. Rozumiesz mnie?

Ale posłuchajcie... – zaczyna Benny.

Maurice zrywa się z miejsca i przysuwa swoją twarz do twarzy chłopaka.

Dziewczyna nazywa się Dilly Hearne – mówi. – Dill albo Dilly.

Dwadzieścia trzy lata będzie miała teraz, coś koło tego – dodaje Charlie.

Nie znam żadnej Dill ani Dilly! Nie znam...

Żadnej Irlandki?

Irlandki znałem.

Co ty nie powiesz – mówi Charlie.

Ale żadnej Dill ani Dilly. Zresztą...

A gdzie poznałeś te Irlandki? No, gdzie? Nie czasem w Grenadzie, co, Ben?

Nie wiem! Poznałem od chuja różnych...

Benjaminie? – przerywa mu Maurice. – Nie twierdzimy, że wszyscy się znacie ani nic takiego. W Hiszpanii musi być was, cukiereczków, z pół miliona. Sądząc po tym, jak się sprawy mają.

Charlie szepcze:

Ponieważ macie ku temu pogodę.

Maurice szepcze:

Wysypialibyście się na plażach.

Jak władcy przyrody – dodaje Charlie.

Pod rozgwieżdżonym niebem – wtóruje mu Maurice.

Charlie podnosi się i z lekkim podziwem na twarzy deklamuje:

„Niebiańskie drzewo gwiazdne obwieszone wilgotnymi nocnobłękitnymi owocami” Kto to napisał, Maurice?

Zdaje mi się, że Szekspir, Charlie. Ale możliwe, że Stevie Wonder.

Geniusz, ten nasz mały Stevie.

Z uśmiechem jak u łebskiego pastora Charlie kuśtyka i staje za ławką. Po przyjacielsku zarzuca Benny’emu ramię na szyję, nachyla się i szepcze mu do ucha:

Dziewczyny i psy pokładają się na plażach, tworzą rozkoszne kopczyki, a nad tobą, niczym Królestwo Niebieskie, rozpościerają się przestworza.

Leżysz tam sobie, Ben – podejmuje Maurice – i patrzysz w górę. Nie umiesz, chłopie, stwierdzić, czy spadasz, czy się unosisz. Jak myślisz, Charlie: dobiega go szum morza?

Bez wątpienia, Maurice. Miękkie chlupotanie fal obmywających brzegi jego snów.

Wiesz, czego by nie chciał widzieć w swoich snach, Charlie?

Czego, Moss?

Nas, kurwa.

Mała jest, Benny. I ładna. I wiesz, o co chodzi? O to mianowicie, że dostaliśmy cynk, że płynie do Tangeru.

Albo, co też możliwe, że z Tangeru wraca.

Dwudziestego trzeciego. O którą by, kurwa, nie chodziło stronę, wszystko ma zadziać się dwudziestego trzeciego.

Tak nas poinformował pewien młodzieniec z Malagi.

Z takiego względu, że oto odkrył w sobie potrzebę dzielenia się informacjami.

Maurice znów przysuwa się do Benny'ego i przypatruje się mu. W sposobie bycia chłopaka jest coś, co przywodzi na myśl brzegi rzeki. Coś bobrzego czy może łasicowatego. Irlandczyk próbuje czytać z bladoniebieskich plamek w źrenicach młodzieńca. „Chłopak długo nie pożyje” – myśli. Widać tu jakiś rodzaj opętania. Benny czuje strach – i słusznie. Teraz Maurice, głosem pełnym łagodności, zwierza mu się:

Bo, widzisz, kolego, to moja córka zaginęła. Potrafisz sobie wyobrazić, jakie to uczucie?

Charlie odzywa się równie łagodnie:

A ty masz jakieś bobasy, Ben?

Jakieś szkraby? Nie? Nie zmajstrowałeś gdzieś kudłatych kajtków?

W Bristolu albo gdzieś? – ciągnie Charlie. – Nie zostawiłeś po sobie Benjamina juniora, który wypycha teraz brzuch jakiejś biednej szuszwolskiej dzierlatce, co to poleciała na twoje figlarne spojrzenie?

A potem posiałeś w niej swoje nasionka – dodaje Maurice.

Benny kręci głową. Rozgląda się w poszukiwaniu pomocy, ale pozostaje sam ze swoim zmartwieniem.

Masz w sobie empatię, Benny – stwierdza Maurice. – Kochany z ciebie facet, widzę to. Dlatego teraz proszę cię, żebyś wczuł się w moją sytuację. Wyobraź sobie, że minęły trzy lata, a ty zrobiłbyś wszystko, żeby pozbyć się tego uczucia. Bo wiesz, co jest z moim sercem? Wyskoczyło mi z jebanej piersi i biega luzem gdzieś po świecie. A nam powiedziano, że wybiera się do Tangeru, moja Dilly, i będzie tam podróżować ze swoimi.

Nie wiem – rzuca Charlie, znów siadając i leniwie wymachując ręką. – Może w Algeciras zbierze się jakiś konwój? Spędzicie zimę w Afryce, wygrzejecie kościste pogańskie dupska na gorącym słończku. Luksus. A wszędzie dookoła was będą fru-fru-fruwać kolorowe ptaki. Wyobrażam sobie różowe, zielone, żółte skurczybyki, jak jeden mąż, łagodne. I co? Taki jest plan, Benjaminie? Ben? Troszkę nam, dziecko, zbladłeś.

Wiesz, co teraz zrobię, Benny? Zapytam cię znowu: Dilly Hearne? Dill albo Dilly?

Nie znam żadnej pierdolonej Dilly!

Teraz Charlie oplata swoim ramieniem szyję młodego mężczyzny.

Wiesz, co mi się zdaje, Maurice?

Co takiego, Charlie?

Że z tego tutaj szczuna jest ostry koniotrzep.

To bezlitosny osąd, Charles.

Benny próbuje wstać, ale Charlie z uśmiechem i naciskiem sadza go z powrotem na ławkę.

Widzisz, Benny – mówi – dzieje się tak, że ten cały samogwałt... Przy czym jest to tylko moje zdanie, synku, moja, rozumiesz, teoria. Taka moja... chorobliwa spekulacja. Ale dzieje się tak z tą samomiłością, że nie tylko nasienie się marnuje, nie tylko życiowe soki się traci. Według mojej teorii, a jest to coś, o czym myślałem dość sporo...

Filozof z niego – wtrąca Maurice. – Charles Redmond z Farranree.

Rozumiesz, dzieje się tak, moim zdaniem, z przyczyny tego całego trzepania, że to się odbija na mózgu i pamięć człowiekowi szwankuje.

Twoja pamięć? – mówi Maurice.

Następnie głośno pstryka palcami.

Kaput – stwierdza.

I nie ma co w tej chwili krzyczeć, synku. To terminal promowy w Algeciras.

Słyszeli tu dużo gorsze rzeczy.

Ale wiesz, Benny, ja nie chcę, żebyś myślał, że moja spekulacja jest wycelowana w ciebie. Muszę jednak powiedzieć, że wyglądasz na ogólnie zezwierzęconego onanistę, wiesz?

Maurice wykrzykuje:

Jedna ręka urosła mu od tego dłuższa!

Następnie wstaje i ciągnie za sznur Lorki, jakby chciał uciec z psem.

Cho no tu – mówi. – Czy to by nie było okropne, gdyby biedny Lorca obudził się bez głowy w porcie Algeciras? Scena prosto z koszmaru, Ben.

To okropne miejsce – rzuca Charlie.

Przerażające – wtóruje mu Maurice.

W takim miejscu sprawy mogą w mgnieniu oka przybrać kiepski obrót, Ben. Kapewu?

Dill. Widziałeś może Dilly, co?

Mała jest.

I ładna.

Dill.

Albo Dilly.

Kiedy młodzieniec w końcu odpowiada, jego głos brzmi słabo, pusto:

Może być, że ją raz widziałem w Grenadzie.

*

Jest to zmartwienie o niesamowicie irlandzkim charakterze – rozbita rodzina, utracona miłość, cała melancholijna reszta – i pada sugestia, żeby po irlandzku sobie ulżyć: chuj z tym, chodźmy się napić.

Przenoszą się do bistro, jakby trafili tam podczas spokojnego wieczornego spaceru. Młody mężczyzna, Benny, stoi między Irlandczykami, gdy ich misterna karawana wjeżdża na górę po ruchomych schodach – mógłby się rzucić do ucieczki, ale z jakiegoś powodu ma opory.

Bistro oczekuje ich ponuro w blasku jarzeniówek. Jego odgłosy splecione w jeden wątek. Mężczyźni siadają na obrotowych stołkach, które skrzypią przy każdym poruszeniu. W tym miejscu niemal słychać mijający czas. Charlie i Maurice obsiedli Bena. Wszyscy trzej piją piwo z małych kufli. Lorca waruje wesoło pod dłonią Charliego.

Jak ci się podoba Hiszpania, Ben?

Jest w porządku.

Ja i ten pan bywamy tutaj od dawna. O jakim czasie mówimy, Maurice?

Powiedziałbym, że od dziewięćdziesiątego drugiego, Charlie. Albo dziewięćdziesiątego trzeciego?

Czas, Benny? Jak puch na wietrze.

Benny? – zagaduje Maurice. – Grobową masz minę. Złap trochę luzu w kościach. Pijemy sobie *cerveza*, płuczemy gardła, nic więcej.

Charlie pochyla się i czule odzywa się do psa:

Kto jest moim ulubionym zawodnikiem?

Pies bez krępacji wywraca oczami. Charlie Redmond z miejsca rozpoznaje melodię każdego psa i wie, jak ją zanucić. Teraz zaczyna szeptać, jakby komentował mecz futbolu:

Zidane przy piłce... Obraca się na pięcie... Podnosi głowę... Dośrodkowuje w pole karne... Raúl! Raúl nie trafia, bramkarz przejmuje piłkę... Nie! Bramkarz puszcza piłkę! Lorca dobija! Cały stadion Bernabéu skanduje jego imię.

Maurice nachyla się do Benny'ego, żeby podzielić się z nim sekretem:

Chcesz znać moje zdanie? Ten Charlie Redmond to facet, który się komunikuje z psami na poziomie instynktownym. Wiesz, co mam na myśli?

Za chuja nie wiem, stary.

Prawie wstają na tylne łapy, żeby z nim pogadać.

Tak mówisz?

W tym momencie Charlie zadaje psu pytanie i przez chwilę uważnie nasłuchuje.

Słyszałeś? Mówi, że Raúl to najbardziej samolubny szczeniak, jaki kiedykolwiek włożył korki. W życiu piłki nie podał.

U środkowego napastnika to nieomal zaleta – odpowiada Maurice. – Byłem dokładnie taki sam, a dali mnie na lewego skrzydłowego.

Uczciwie mówiąc, Maurice, nie umiałeś tak sprawnie przejąć piłki jak Raúl.

Nigdy nie twierdziłem, że grałem na poziomie stadionu Bernabéu, panie Redmond.

Charlie pochyla się, jakby znów słuchał głosu psa.

Co on do ciebie gada, Charlie?

Twierdzi, że chłopak wcale a wcale nie mówi nam wszystkiego, Moss.

Słuchajcie – odzywa się Benny. – Dzięki wam za piwo, ale czas już na mnie. Serio.

Maurice sprawnie obraca się na skrzypiącym obrotowym stołku i wpycha Benny'emu kciuk w oko. Młodzieniec krzyczy, ale Irlandczyk sprawnie zasłania mu dłońią usta.

Szczerze, Ben? – mówi Charlie. – W terminalu Algeciras widzieli dużo gorsze rzeczy.

Osobiście wierzę, że to jedno z najnikczemniejszych miejsc na ziemi, Ben.

Charlie węszy w powietrzu, robi zmartwioną minę...

No bo powąchaj tylko. Czujesz ten smrodek czegoś nawiedzonego? Woń prochów i kości.

Są w drodze, Benny? Co nam powiesz?

Nie wiem, o kogo chodzi.

Dill. Albo Dilly.

Kiedy była w Grenadzie, Ben?

Proszę – mówi Benny. – Proszę, przestańcie.

W porządku. Rozumiemy. Chciałbyś już kontynuować swoje zwykłe harce. Wiemy to.

Ten Benjamin – odzywa się Charlie. – Jemu się marzy czarna plaża. Gadanie o pierdołach. Chciałby być otoczony kółkiem kołyszanych wiatrem dredów. Chce dziewczyn i psów wsłuchanych w jego słowa. Chce melancholijnie spoglądać na księżyc, plotać bzdury o gwiazdach, liniach geomantycznych, Jah Rastafari oraz magicznym znaczeniu liczby dwadzieścia trzy.

Chujek nie pójdzie sobie znaleźć pracy, co?

Bez szans.

Dobra! – oznajmia Benny. – Ja lecę.

Maurice pochyla się, sadza go na stołku i gryzie chłopaka w bark. Charlie zagłusza krzyk Benny'ego, chwytając jego wargi czubkami palców.

Ben? Bez urazy.

Są w drodze, Benny? Co nam powiesz?

Nic nie wiem. Nie mogę wam pomóc. Może być, że raz w Grenadzie spotkałem jakąś Dilly. Ale to było dawno.

Charlie wstaje ze stołka, posmutniały. Chwyta psi sznur. Odsuwa się od pozostałej dwójki i staje plecami do nich. Ciężko oddycha, jakby próbował nad sobą zapanować.

Maurice po ojcowsku kładzie Benny'emu rękę na ramieniu.

Po pierwsze, Ben: przepraszam, że ugryzłem cię w bark. To było niepotrzebne. Gorszący wybryk. Ale zostałem źle wychowany, wiesz? Nie cieszyłem się takimi przywilejami jak ty. Podejrzewam, że twój stary był księgowym albo kimś takim, co? Albo prowadził ośrodek wypoczynkowy? Tak to zwykle jest. Z wami. Z szuszwolami. A ja? Pochodzę z ulicy, gdzie stały same szeregowki i nigdy nie padał nawet promień słońca. W wieku czterech lat zostałem posłany do pracy. W Corku. Byłem, widzisz, biletowym w autobusie numer osiem, na trasie do St. Luke's Cross. Ale to wszystko stare dzieje, lata słodkiego pacholęctwa, które już nie powrócą. Oj, nie, nie wrócą. Nigdy bym nie pomyślał, że skończę w takim stanie. Jako mężczyzna ze złamanym sercem, który nie widział swojej Dilly już trzy pierdolone lata. Potrafisz sobie wyobrazić, co to z człowiekiem robi? Ale jeszcze raz cię przepraszam, Benny. Naprawdę. Będziemy się do siebie odzywać?

Benny ledwie kiwa głową, jest bardzo wystraszony.

W takim razie słuchaj mnie uważnie i weź sobie do serca, co powiem, dobrze? Widzisz tego tam jegomościa? Charliego Redmonda? Z Farranree?

Widzisz, co on próbuje zrobić? Stara się uspokoić oddech, Ben. Rozluźnić kręgosłup.

Tu woła do Charliego:

Rozluźniasz kręgosłup, Charles?

Skoro nie robię nic innego, to znaczy, że rozluźniam skurwiały kręgosłup, Moss.

To dobra wiadomość, Ben, bo wiesz, co będzie, jeśli on się nie rozluźni? Koniec zabawy. Serio mówię. Ten Charlie Redmond? Dżentelmen. Filozof. Człowiek tak wyczulony na emocje, że potrafi komunikować się na poziomie cielesnym z najdelikatniejszymi ze stworzeń, czyli psami. Ten Charlie Redmond? Sam jest oddany jak stary pies – i równie ostry! Jeśli zachodzi potrzeba. I powiem ci, że Dilly Hearne od dziecka, odkąd była maleńka jak płotka, cieszyła się jego wyjątkową sympatią. Oczkiem w głowie mu była. Odwiedzał nas cztery, pięć razy w tygodniu, żeby jej przynosić płyty DVD, komiksy, ukradkiem dawać słodycze, a kiedy nie przychodził, mała wysiadywała przy oknie na piętrze, wypatrując swojego wujcia Charliego. Minęły trzy lata, odkąd ostatni raz widzieliśmy Dilly, i możesz sobie wyobrazić, jak to znoszę ja, ojciec dziewczyny: to dla mnie piekło. A ten tu Charlie Redmond? Z nim jest tak samo źle, a nawet jeszcze gorzej. Zero spokoju, zero ukojenia, nic, póki nie wróci jego mała Dilly.

Charlie powraca do pozostałej dwójki wraz z wesołym psem i kuca naprzeciwko Benny'ego. Odchyła połą marynarki, wyciąga nóż i rozgląda się uważnie. Pokazuje Benny'emu ostrze z każdej strony, następnie chowa je za pazuchą.

Szkoda by było, żebym musiał pieskowi urznąć pierdolony łeb. Wiesz, o co mi chodzi, Ben? No to odpowiedz. Czy Dilly ma się tu pojawić? Dilly Hearne?

Mała jest.

I ładna.

*

Na ławce troszkę na zachód od okienka z napisem INFORMACIÓN znów siedzą Maurice i Charlie, a między nimi Benny. Charlie trzyma psa na sznurze i cicho mu podśpiewuje.

Od trzynastego czy czternastego roku życia – odzywa się Maurice – Dilly zaczęła na całego robić sceny. Samookaleczenia. Jakies głosy w nocy. Uciezka do lasu pod Ummera, gdzie zakopała się żywcem. Bez telefonu do matki czy do mnie. Bez nawet jednego esemesa. My już chodzimy po ścianach z nerwów, a jejmościanka leży po barki zagrzebana w pierdolonej ziemi. I powiem ci, Ben, było ciężko zmagać się z tymi oscarowymi występami, ponieważ za młodu dziewczyna była...

Skarbem – mówi Charlie, przerywając piosnkę.

Najpiękniejszym skarbeńkiem. Pooglądała z człowiekiem telewizor. Śmiała się do rozpuku. Ten jej chichocik? Dalej odbija się echem w mojej piersi.

Czy ona jest w drodze, Ben?

Ale zanim się obejrzałem – kontynuuje Maurice – skończyła czternaście lat i zdążyła się wkręcić w muzykę i książki o białej magii, drzwi do sypialni zamknięte, a ona kisi się w środku niby kupa kompostu. Z tą miną.

To jest tak – odzywa się Charlie – że w Algeciras zbiera się konwój twoich. Niektórzy ruszają do Tangeru, inni wracają. Rozchodzi się o to, kto się zajmie psami. Przynajmniej tak nas przekonywał nasz kolega z Malagi.

Uderzasz do Maroka na zimę, Ben?

A ktoś inny wraca zaopiekować się psem? Tak to działa? I zawsze robicie ruch dwudziestego trzeciego.

Ze względu na znaczenie magiczne tej liczby – dodaje Maurice.

Wydaje ci się, Ben, że pozwolimy na tę wycieczkę do Maroka?

Myślisz, że nie wiemy, jak tam jest? Jak się dziewczyna tam zgubi, to może się już nie znaleźć.

Od dziewięćdziesiątego czwartego pływaliśmy do Maroka i z powrotem, synku.

Ten tutaj, Charlie Redmond? Jedyne gość, o jakim słyszałem, że przesmuglował dragi do Maroka.

Ach, mnóstwo starych historii, Ben, mnóstwo przygód. Ten tu jegomość, Maurice Hearne? Masz ty pojęcie, że patrzysz na faceta, który w Atlasie

Wysokim kupował dragi za kozy?

Ileż to byśmy mogli opowiadać, Benny. Czy próbowałeś kiedyś kupić trzysta pięćdziesiąt kóz od gościa z Marrakeszu?

Na krechę.

Z akcentem z Corku.

Maroko? Od lat znamy je na wylot.

Teraz Maurice podnosi się i staje naprzeciwko Benny'ego.

Gdzie są te wszystkie dziewczyny z psami, Benny?

Czemuż cię opuściły, Benjaminie?

Słuchajcie! Raz czy dwa. Nie więcej! Tyle gadałem z Dilly. I to było kawał czasu temu.

Bladozielone oczy ma dziewczyna – mówi Maurice. – Po Cynthii je wzięła, co była protestantką z Kinsale, bo dobrze się wżeniłem. Myślałby kto, że przekazała córce parę porządnych protestanckich cnót.

Nie mówi za dużo – oznajmia Benny. – Z tego, co widziałem. Trzymała się raczej na uboczu.

Przełom: Maurice i Charlie obdarzają chłopaka uśmiechem, stają się czuli, dobroduszni.

Robiła słoneczne dyski – dodaje Benny.

Robiła, kurwa, co?

Mówią na to „słoneczne dyski”. Na to, co robią dziewczyny. To takie drewniane... wisiorki? Do noszenia na szyi. W gorące dni dziewczyny wypalają na nich wzory przy użyciu lupy. Później idą po dziesięć euro za sztukę, dwadzieścia za trzy sztuki. Na targowiskach itede.

Jezu Chryste – wyrzuca z siebie Maurice.

Spokojnie, Moss.

Wiesz, że ona zdała egzamin na koniec młodszego cyklu z dziewięcioma wyróżnieniami, Charlie?

Odpuść, Maurice.

To nie takie łatwe, Charles! Dziewczyna o nieograniczonych możliwościach! A tylko się człowiek odwrócił, poszła w cholerę do jebanej Hiszpanii szlając się z kudłatymi bydlakami i handlować szmelcem na poboczu jak, kurwa, trędowata! I to w dwudziestym trzecim roku życia? Przecież to jeszcze gamuła! Gamułowata dzierlatka! Pieprzony kij od szczotki namówiłby ją na Maroko, gdyby mu ptaka przytroczyć!

A dlaczego uciekła? – pyta Benny. – Zadałeś sobie kiedyś to pytanie?

Maurice i Charlie wymieniają uśmiechy miękkie jak jedwab.

Ho, ho! – wykrzykuje Maurice. Pełnymi ekspresji ruchami Charlie kuśtyka za ławkę i opiera dłoń na ramieniu Benny'ego. Wystawia się spokojnie i życzliwie:

Nie wiem, czy zacząłeś to już pojmować, Ben, ale masz tutaj do czynienia z kurewsko okropnymi ludźmi.

Maurice z szerokim uśmiechem nachyla się ku młodzieńcowi.

Paskudny z nas duet – mówi.

Zwyrodnialcy – dodaje Charlie. – Czarcie nasienie.

O której chcieliście się przeprawić, Ben? Na którym promie? To już ustalone?

Wtem echo psiego szczeknięcia tworzy w pobliżu wyłom w tłumie. Benny z nadzieją spogląda w jego stronę. Maurice i Charlie zerkają po sobie, Charlie ciągnie mocniej za sznur Lorki.

W zasięgu wzroku pojawiają się dwie dziewczyny.

Włosy mają zaplecione w dredy, na plecach dźwigają ciężkie plecaki.

Spod obszarpanych ubrań wystaje skóra brązowa jak łupiny orzechów.

Jedna z dziewczyn prowadzi psa na sznurze.

Rozdział drugi

WYTATUOWANY CYCEK

W Maladze i poza nią, styczeń 1994 roku

Mężczyzna w Café Central na Plaza de la Constitución pił *café solo* i czekał. Otaczał go nieustający szmer rozmów starych Andaluzyjczyków. Zgniatali serwetki w kulki i rzucali je na wykafelkowaną podłogę. Starcy spluwali, ściągając przy tym twarze. Ich skóra miała kolor migdałów. Powietrze było niebieskie od unoszącego się leniwymi falami papierosowego dymu. W zimowym słońcu staruszki nosiły futrzane płaszcze do kostek. Malowały sobie komicznie wysokie brwi, które przydawały im wyglądu wiecznie zaskoczonych. Ekspresy do kawy również jakby się śmiały i pluły. Goście kawiarni pili *café solo* i *con leche*, i *cortado*, i gorącą czekoladę, pogryzając długie, kręte, osypane cukrem *churros*. Zbolały grubas z Birmingham przybył z kilkuminutowym opóźnieniem. Na jego twarzy malował się wyraz głębokiego cierpienia moralnego, kiedy zajmował miejsce naprzeciwko Maurice'a Hearne'a. Potężne cielsko Anglika klęśło miękko – wydawało się, że siedzisko spowijają niewypowiedziane pretensje.

Cholerny, zdziecinniały dureń z ciebie – odezwał się nowo przybyły. – Gdybyś miał choć krztę rozumu, wstałbyś od tego stołu i uciekł stąd ciupasem. I byś się nie oglądał, Maurice. Ni chuja byś się nie oglądał.

Zamówił czekoladę i porcję *churros*, na której żerował maleńkimi, nerwowymi gryzami. Mówił ściszym głosem, jakby się obawiał, że ktoś ich podsłuchuje. Wziął od kelnera długopis i kartkę, po czym podał je Maurice'owi. Powoli wyrecytował dane odbiorcy i numer konta bankowego, a zrobił to śpiewnie, monotownie, w rytmie przypominającym odmawianie modlitwy. Powiedział, że istnieje tylko jeden sposób. Najpierw wpłaci połowę kasy, później będzie mógł spotkać się z Karimą.

Powinni ci ten durny irlandzki łeb przebadać – dodał. – I próbuję cię teraz obrazić, synu, bo moja matka była z hrabstwa Mayo. Ale ci ludzie? Ci ludzie to spektakularnie fatalny pomysł. Wiem, co mówię. Wypływasz na zbyt głębokie wody. Powinieneś ten świstek papieru wyrzucić. Zapomnieć, że kiedykolwiek widziałeś moją pospolitą bużkę. Bo ci ludzie, Maurice... Słodki Jezu, synu Boży, nie.

Zapłacił za kawę Maurice'a, mocno uściśnął mu dłoń i wstał.

Przemyśl to – powiedział przed wyjściem. – Wracaj do domu. Miej jakieś życie. Znajdź rentowną pracę. Narób se bachorów.

Znów sam, Maurice przyglądał się sobie w kawiarni niby odległy obserwator. Wzrok rozmywał mu się na krawędziach – ze strachu. Tłok się przerzedzał. Hiszpańskie kawiarenki działały według niepojętego harmonogramu: teraz jesteśmy wszyscy, teraz znów nas nie ma. Futrzane płaszcze ciągnęły się po kafelkach. Poważni, odziani w białe koszule kelnerzy zmiatali serwetki i pety. Główny kelner wyglądał jak Salvador Dalí bez wąsa, wypił lampkę koniaku i wydawał się posilony. Było jak na pogrzebie – wokół smutne twarze Andaluzyjczyków. Maurice wysączył ostatnie łyki zimnej kawy i wyszedł.

Na ulicy zmierzchało, idącego Irlandczyka spowijał mrok jego młodości, a dookoła klany wróbli toczyły wewnętrzne potyczki albo skakały

wesoło po śmietnikach. Na Alameda Principal Maurice przeszedł pod palmami, na których wciąż wisiały świąteczne lampki ułożone w napis FELICIDADES. Skala wydatków i strach podnieciły go. Podobał mu się radosny i tajemniczy szmer wieczornych ulic, próbował więc wychwycić jakieś słowa. *Vale* – powtarzało się w kółko i brzmiało niczym ubolewanie, westchnienie. W barze przy Alameda nakarmił monetami automat telefoniczny i wykręcił numer aparatu na korytarzu budynku mieszkalnego w dzielnicy St. Luke's Cross. Czuł, jak kobieta po drugiej stronie pędzi po schodach, tych nawiedzonych schodach, żeby podnieść słuchawkę, i liczył kroki – osiem, dziewięć, dziesięć – do wybrzmienia jej cichego głosu...

Widziałeś się z nim?

No, żebyś, kurwa, wiedziała. Jezu Chryste.

Tak?

Wielki, spocony, birminghamski skurwiel. Powtarzał, żebym spierdalał do domu.

I myślisz, że to już?

Okaze się jutro. Myślę, że będzie w porządku.

Nie jest za późno, żeby się wycofać.

Będzie w porządku, Cynthio. To tylko uprawa.

Ale Maurice, posłuchaj.

Tęsknię. Strasznie chcę cię zobaczyć.

Taa, to fantastycznie, ale póki co...

Wszystko będzie w porządku. Niedługo wrócę. Nadal będziemy mogli się słyszeć.

Przez miasto pędziły ławice sardelowych twarzy, płynęły prądy nocnego ruchu ulicznego. Światła portu migotały radośnie, tańcząc po czarnej wodzie. Maurice doszedł aż do plaży Malagueta, żeby uporządkować myśli, żeby strach nieco opadł. Od razu poznał, że w okolicy plaży nocami krąży heroina. Napięta siatka linii trzymała w ryzach ciężkie morze. Usiadł na piasku, w ciemności, i słuchał nocy, ruchu ulicznego, szybkiego, syczącego świstu andaluzyjskich głosów.

Uznał, że jeśli nie zaśnie, to nie da rady, żeby śnił o ojcu.

*

Karima była chudą kobietą koło czterdziestki, dość ładną na swój zdzirowaty sposób, o seksownie krzywych zębach. Odsłaniała je w sardonicznym grymasie, gdy zaciągała się ogromnymi buchami papierosowego dymu, jakby w żaden sposób nie dało się zaspokoić palącego łaknienia jej saharyjskich płuc. Jej wąska twarz marszczyła się na wdechu i rozluźniała do uśmiechu na wydechu. Prowadziła swój mały, schludny samochodzik przez nowe osiedle wysoko na wzgórzach Malagi.

Masz twarz – powiedziała. – Taką... Jak to mówią w filmach? W bajkach? W Walcie Disneyu?

Nie wiem, czy to mi się podoba – odparł Maurice.

Chodzi mi o te małe stworki – ciągnęła kobieta. – W lesie. Jak to jest?

Jechała, kręcąc głową – nie mogła znaleźć słowa. Skierowała auto na niedokończoną drogę, na sam szczyt nowej inwestycji. Ponad czerwoną ziemią wzgórz krążyły duże, złowieszcze ptaki drapieżne. Budynki lśniły bielą niczym ogryziona kość i wydawały się niezamieszkałe – wokół nie było innych samochodów. Daleko w dole Morze Śródziemne lśniło odbitym światłem zimowego słońca.

Elf! – wykrzyknęła Karima.

No dobra – odrzekł mężczyzna.

Jesteś elfem – dodała. – Z twarzy.

Nie obrażę się – odpowiedział. – Chodzi ci o to, że mam elfie rysy. To próbujesz powiedzieć?

Elfie?

Podobne do elfa – wyjaśnił. – Albo z cechami przywodzącymi na myśl elfy.

Na tym etapie z całą pewnością zastanawiali się oboje, jak by to było się pieprzyć.

Bardzo dziwne – powiedziała kobieta.

Matka Maurice'a zawsze powtarzała, że chyba znaleźli go w lesie pod Ummera. Nawet jako dziecko, jeszcze w wózku, zdawał się dostrojony do jakichś dziwnych częstotliwości. Karima zaparkowała przed surowym, jeszcze nieotynkowanym budynkiem. Wokoło ani żywej duszy. Miała na sobie džinsy z niskim stanem i bladocytrynowe polo adidasa. Marki trampek Irlandczyk nie rozpoznał. Zapaliła kolejnego papierosa i uśmiechnęła się do niego, odsłaniając okropne, pożółkłe, pociągające zęby i ciepły mrok paszczęki. Poprowadziła go do niewykończonego mieszkania, gdzie pokazała mu schludnie zapakowane sto kilogramów rozdrobnionego marokańskiego haszyszu. Produkcja bez wątpienia na skalę gospodarczą. Maurice usłyszał, że dziś lub w ciągu kolejnych kilku dni będzie w porządku. Może przysyłać ludzi. Później można zorganizować spotkanie w porcie w Maladze.

I tak to będzie – powiedziała. – Nie musisz nigdy oglądać Tangeru.

Wrócili na zewnątrz i wsiedli do samochodu. Tym razem pojechała inną trasą, skręciła w nieutwardzoną alejkę.

Coś jeszcze zobaczymy – wyjaśniła.

Zabrała Irlandczyka do kolejnego niewykończonego mieszkania. Gdy tylko odryglowała drzwi, poczuł smród ludzkiego syfu. Mężczyzna jedynie w żółtych spodenkach sportowych leżał przykuty do chromowanej nogi od wyspy kuchennej – miał opaskę na oczach i knebel w ustach. W mieszkaniu nie było mebli, ścian nie otynkowano. Więzień wydał z siebie przytłumiony jęk i obrócił się, odsłaniając zakneblowane usta. Był spocony z bólu. Podłużny ciemny siniak biegł mu przez połowę uda. Dobra – powiedziała Karima, po czym wyszli.

Gdy byli z powrotem w samochodzie, uśmiechnęła się.

Czasami jest też tak – stwierdziła.

A, jasne – odparł Maurice.

Z wolna pokręciła głową. Jej żal zdawał się słodki, dziewczęcy.

Francuz – oznajmiła. – Wszyscy Francuzi to chuje.

Tak mówią, to prawda – odpowiedział Maurice.

*

Karima zawiozła go do baru w górach – opustoszałego, jeśli nie liczyć właściciela. Był to chudy jak trzcina mężczyzna w średnim wieku. Miał minę, jakby wszystko układało się dokładnie tak, jak go ostrzegano. Innymi słowy – wyglądał na katolika. Oglądanie na małym telewizorze nad kontuarem jakiejś mistyczki mówiącej głębokim, chropawym głosem pochłaniało go całkowicie. Maurice nie znał języka, ale z łatwością stwierdził, że kobieta rozmawia z umarłymi. Unosiła dłonie nad fotkami podstarzałych Hiszpanów. Dusze sprowadzone do pustych skorup polaroidów. Posępny barman nie odwrócił wzroku od ekranu, nawet kiedy napełniał kufle piwem.

Wierzysz w umarłych? – zapytała Karima.

W jakim sensie?

Myślisz, że nas widzą?

Tam, w dole?

Tak.

W tej chwili?

Tak.

Oby, kurwa, nie.

Może tylko nas słyszą – stwierdziła.

Karima pochodziła z gór Rif, ale obecnie mieszkała w Maladze. Kiedy znów podniosła głowę, żeby spojrzeć w telewizor, Maurice postarał się o dobry widok na jej dekolt. U góry lewego cycka dostrzegł maleńką wytatuowaną liczbę „13”. Wiedział, że obecność Karimy w jego życiu stanie się czymś ważnym. Wiedział, że za sprawą jakiegoś zmysłowego objawienia. Na dole ekranu, pod mistyczką, przepłynął numer telefonu – barman wyciągnął zza kontuaru długopis, żeby go zanotować.

Karima odwróciła się w kierunku Maurice'a i się uśmiechnęła, gdy znalazła go zagłębianego wzrokiem w swoim dekolcie.

Skąd takie myśli teraz? – zapytała.

Mistyczka na ekranie zakryła twarz dłońmi i krzyknęła rozpaczliwie – wydała z siebie nagły, przesywający dźwięk, niesamowity, niczym zawołanie sowy. Tak najwyraźniej brzmiały wieści z drugiej strony.

Nie słyhać, kurwa, nic dobrego – stwierdziła Karima.

No i tyle – odparł Maurice.

*

Nazajutrz przyleciał Charlie Redmond. Nigdy wcześniej nie leciał samolotem. Zdawało się, że dzięki tej wyprawie jego pewność siebie nieco podskoczyła – a był to skok zupełnie zbędny. Pierwszej nocy maszerował w tę i we w tę po Alameda Principal, jakby był jakimś bossem. Z uniesionym kinolem i rozkołtysanymi ramionami oglądał się za młodymi Hiszpankami, które go mijały, i spokojnie, powoli kiwał głową, niby koneser wciągający w nozdrza woń rzeczy rzadkich i cennych. Miał na sobie dwuczęściowy welurowy dres od Gio-Goi, kapelusz z opuszczonym rondem marki Kangol i brazylijskie – kurwa, brazylijskie – trampki. Podeszwy wykonano z naturalnego kauczuku, z czego Charlie zwierzył się głosem pełnym cichego zachwyty. Co miesiąc kupował lajfstajlowe magazyny „The Face” oraz „i-D” i godzinami ślęczał nad rozkładówkami, studiując je melancholijnie i ze znawstwem w oku.

Starasz się wyglądać jak przedstawiciel jebanego narkobiznesu? – zapytał Maurice.

Narkobiznesu? – odbił piłeczkę Charlie. – Robię w imporcie i eksporcie, przyleciałem na targi branżowe.

Siedzieli w barze przy Alameda Principal, popijając piwo i zajadając tapas.

Co to za gówno, Maurice?

Ośmiornica, Charlie.

Jaja sobie robisz?

Nie widzisz? Patrz. Są maleńkie macki i cały ten szajs.

I my to niby mamy jeść? Zechcieliby się jeden z drugim puknąć w czoło.

Wyraźnie nerwowy, wziął kęs i przez chwilę przeżuwał podejrzliwie, po czym rozluźnił się i uśmiechnął – ciepło i szeroko.

Cudo – powiedział.

Ale pod jego lewym okiem pojawiło się mimowolne, nerwowe drganie, jakby pod skórą szamotała się jakaś małeńka ptaszyna – zwiastun ciężkiej nocy.

Pojechali taksówką do portu, żeby spotkać się z ludźmi Karimy i zorganizować transport.

Rozgrywamy wszystko tak, jakby to był nasz dziewięćset osiemdziesiąty dziewiąty raz – mówił Maurice – a nie pierwszy.

Charliemu Redmondowi nie trzeba było tłumaczyć. Z nim było tak, że wchodził do pokoju i tamci już wiedzieli. Jeden rzut oka i, kurwa, wiedzieli. Wystarczyło tylko zerknąć w smutne oczy pana Charlesa Redmonda i stawało się jasne, że sprawy mogą się potoczyć bardzo różnie.

Nad malagijskim portem wisiało sprane nocne niebo, a cumy i olinowanie posezonowych jachtów szemrały nerwowo na wietrze.

W łukach światła z portowych latarni dryfowały mewy o komicznych, a zarazem makabrycznych oczach. Po chwili oczekiwania do Irlandczyków podjechał dżip, a jego potężnie zbudowany kierowca uśmiechnął się i przywołał ich szerokim, teatralnym gestem.

Zaczynamy – powiedział Maurice.

Rozdział trzeci

U WYBRZEŻY BERBERII

W porcie Algeciras, październik 2018 roku

Dziewczyny z psem okazują się wiedźmami z regionu Estremadura.

Co jest niespodziewanym zwrotem akcji – stwierdza Charlie Redmond.

Estremadurki mają na imię Leonor i Ana. Angielski znają w ograniczonym stopniu. Ich pies wabi się Junior Cortés. Uśmiechy mają lśniące i żywe. Ich tatuaże przedstawiają symbole okultystyczne. Dziewczyny twierdzą, że nie znają Benny’ego, a on potwierdza, że tych konkretnych nigdy wcześniej nie spotkał. Lorca i Junior Cortés podchodzą do siebie z rezerwą, ale także z zainteresowaniem. Wszystko wygląda jak mały zlot rodzinny.

Może właśnie stąd biorą się nasze wszystkie problemy – mówi Charlie. – Z rodzin. Albo ich braku.

Maurice z wdziękiem wraca z monopolowego, niosąc trzy butelki wina musującego i papierowe kubki.

Albo wznosimy się nad poziom zwierząt polnych – oznajmia – albo zostaje strzelić sobie w pierdolony łeb.

Dziewczyna ma na imię Dilly Hearne – tłumaczy Charlie. – Dill? Albo Dilly?

Trzy lata jej nie ma – dodaje Maurice – a mnie, jej tatulkowi, serce dynda na wierzchu.

Przyda nam się hiszpańskie słowo na szuszwola, Moss. Uciekła z waszymi, dziewczyny... Wiecie, o co mi chodzi?

Możliwe, że była w Grenadzie. Całkiem niedawno.

Nie znam Dilly – mówi Leonor.

Dopiero przyjechałyśmy z Kadyksu – mówi Ana.

Kadyks! – podejmuje Maurice. – Opowiadałem wam już, jak kiedyś w Kadyksie zabijałem się w starszej kobiecie?

Żaden wróbel w promieniu wielu kilometrów nie był bezpieczny – stwierdza Charlie.

Gorrión! – wykrzykuje Maurice i nalewa wino, kręcąc nadgarstkiem w przesadnie pompatycznych ruchach.

Leonor i Ana śmieją się niepewnie, po czym przyjmują kubki i zaczynają sączyć ich zawartość. Benny bierze łyk i odkrywa, że wino koi jego nerwy. Psy zaczynają traktować się z większym luzem i kładą się na ziemi. Noc posuwa się w czasie. Port Algeciras widywał już dziwniejsze rzeczy. Maurice i Charlie znajdują się teraz u progu wielkiego wspomnienia. (Algeciras jest miastem, które zawsze sprzyja wspomniani).

Rodziny? – odzywa się Maurice. – Nic mi, kurwa, nie mówcie o rodzinach. Maurice Hearne – mówi Charlie. – Człowiek kurewsko przemielony przez życie, nie uwierzylibyście, jak bardzo.

Maurice wstaje, smutnym uśmiechem zdradza nabytą mądrość i spogląda ku wysokim oknom.

Wiecie, że w życiu istnieje tylko siedem prawdziwych dystrakcji? – pyta.

Weź je wymień, Moss.

Od góry? Pragnienie śmierci.

Jasna sprawa – przytakuje Charlie.

Wiadomo – mówi Maurice. – Wszyscy szukamy biletu na tę drugą stronę. Później jest niewątpliwie pożądanie, bo każdy chce pociupciać.

Przynajmniej na jakimś przyzwoitym poziomie – wtrąca Charlie.

Mam pełną świadomość, że jest coś takiego jak miłość – ciągnie Maurice. – Czyż sam przez połowę dni od urodzenia nie byłem zakochany

po frajerskie uszy? A później jest sentymentalizm, nierozzerwalnie związany z miłością i pożądaniem. Następnie żałoba, która nam tym bardziej ciąży, im dłużej żyjemy.

Nawarstwia się – dodaje Charlie – jak sam skurwysyn, do oporu. Ta nasza żałoba.

Jest ból – wymienia dalej Maurice. – Z gatunku fizycznego i umysłowego.

Żołądek mi się odzywa – mówi Charlie – a za nim biegusiem leci dupa.

Ja niedawno miałem suche wymioty – zwierza się Maurice – i tajemniczy ból rozchodzący się z lewego płuca.

Przejdziemy do umysłowego, Moss?

Nie, panie Redmond, nie przejdziemy. Bo całą kurewską noc byśmy tu spędzili.

Wymieniłeś dopiero sześć, Maurice. Tych dystrakcji.

Ponieważ niespodziankę zostawiam na sam koniec, Charlie.

A jest nią?

A jest nią chciwość, Charles. Jest nią nasza stara przyjaciółka chciwość.

*

Noc powoli mija. Brak wieści o kolejnym promie. W porcie w Tangerze pojawiły się trudności. Trudności po żadnej ze stron nie są niczym nowym. Ani śladu Dilly Hearne. Charlie Redmond splata za głową długie, kościste palce. Cierpliwy jak posąg. Maurice Hearne obraca w dłoniach melonik i wpatruje się w przesuwające się powoli rondo, jakby na jego oczach cofały się lata.

Ten stary Charlie? – mówi. – Mężczyzna o bardzo atrakcyjnej osobowości. Pod wieloma względami. Nie twierdzą, że anioł z niego. To znaczy, za starych czasów? Paskudna z nas była para. Barbarzyńcy. Oj, czegośmy nie próbowali! A w grę wchodziła gruba forsa, co zawsze wszystko komplikuje. Zaraz stuk-puk do człowieka stara przyjaciółka chciwość.

Ustrzel wywłokę, ustrzel wywłokę – wtrąca Charlie.

Słuchajcie no, słodkie skarbeńki. Wiecie, jakie bym wam mógł opowiedzieć historie o tym, co przeszedłem? Leniwemu kundlowi byście takiego kurewstwa nie życzyli. Bez urazy, Lorca. Bez urazy, Junior Cortés. Pieniądze, rozumiecie, mieszają się we wszystko. Na którymś etapie trzeba zrobić bilans. Trzeba wyrównać rachunki. A, tak się składa, ja i ten jegomość znamy się tak długo, że chodziliśmy do tej samej klasy. Razem siedzieliśmy na lekcjach z przedsiębiorczości w młodszym cyklu. Biznesy! Dobrze mówię, Charlie? Tak je nazywaliśmy? Wtorek rano, podwójne biznesy – człowiek chciał wydrapać sobie oczy. To się wszystko działo w Corcu, za oknem deszcz, o, lało jak z cebra. Były z nas straszliwe koniotrzepy. I te nasze fryzy! A jak próbowaliśmy zajrzeć dziewczętom z gimnazjum zakonnego pod spódnicę! Aż byśmy dostali zeza. Sama woń wystarczyła, by pękło chłopięce serce.

Jak estuarium – dodaje Charlie Redmond.

Ale cóż się stało przez lata? Pieniądze się pojawiły. Duże pieniądze. Oj, naprawdę ciekły grubą strugą. Nieważne, jak nam się szczęście odwracało – koń był tuż-tuż, a za zwycięstwo płacono czterdzieści do jednego. Mówiąc metaforycznie. Szło o poważną mamonę i ja ani przez chwilę nie twierdzę, że Cynthia nie powinna była mieć ślicznego domku, a nasza córka porządnej opieki. No i, rzecz jasna, potrzebowaliśmy, żeby pieniądze spływały tak właśnie, jak spływały. Charlie miał swoje byłe, którymi trzeba się było zająć.

Takie jak Fiona, kurwa, Condon? – odzywa się Charlie. – Ta baba ssała z człowieka pieniądze jak pompa. A że łożyłem na jej dzieci po poprzednim? Trzy tysiące osiemset euro miesięcznie: tyle w pewnym momencie szło do jednej Fiony Condon. Chłopak potrzebował butów do gry w piłkę i tak dalej. Ale musiały, kurwa, być ze złota? Niemożliwe.

Sporo kasy gdzieś się zapodziało – ciągnie Maurice. – I się nie znalazło. Niemożliwe, żeby Cynthia całą wydała. Chociaż próbowała. I nie twierdzę ani przez minutę, że nie zasługiwała na wygody. Te jej pieprzone sofy? Sofy z Kopenhagi sprowadzała. I moim zdaniem, zasłużyła na to wszystko i na jeszcze trochę.

Dilly Hearne – rzuca Charlie. – Mała jest. I ładna.

Możliwe, że nas wykończyła – stwierdza Maurice.

Ma to we krwi – odpowiada Charlie.

Zielone oczy – mówi Maurice. – Po matce wzięła parę rozkosznych protestanckich oczu.

Cynthia. Świeć Panie nad jej duszą. Najjaśniejsze zielone oczy miała.

Były jak pierdolone morze – wzdycha Maurice.

*

Gawęda to płynie powoli, to znów spada kaskadą. To wzbiera, to się rozpręża. Leonor i Ana wiedzą z doświadczenia, że w porcie w Algeciras trzeba uzbroić się w cierpliwość, gdy kursy promów stają się niepewne. Znają także niezmiennie gromadzące się tu dziwactwa. Wkrótce śpią wsparte na plecach. Psy również zasypiają. Benny, bardziej niespokojny niż dziewczyny, spać nie może – ciągle wypatruje jakiejś luki. Maurice wyciąga się na ławce niby na katafalku, z dłońmi złożonymi uroczyście na piersi. Charlie Redmond wkłada w jego uścisk niewidzialny różaniec i zbiera się do mówienia, własne dłonie unosząc i otwierając na znak szczerości. Maniackim żarem jego uśmiechu można by oświetlić kaplicę – uśmiech Charliego to ożywiona rzecz sama w sobie. Przemieszcza się po terminalu jakby niezależnie od niego, pozostawiając za sobą koronkowy ślad histerycznej groźby.

Żeby człowiek w moim wieku – zaczyna – musiał się tak szarpać, by związać koniec z końcem? To nienaturalne. Powinienem się byczyć, siedzieć na farmie w jakiejś, kurwa, Walii.

Zwraca się w stronę Benny'ego, psów, śpiących dziewczyn.

Wiecie, że nie mam nawet marnego dachu nad głową? – mówi. – Powinienem już dawno odpłynąć w górę rzeki. Odjechać w stronę zachodzącego słońca. Spoglądać z góry na morze ciemne jak wino. Nie powinienem mieć na głowie spraw innych niż wystrój wnętrz i lekkie rozrywki miłosne. Jak to widzę? Nowoczesny dom z widokiem na skąpaną w księżycowym blasku zatokę. Brzmi znajomo, Maurice? I ogrzewanie podłogowe. Zmywarka, co do mnie pogaduje. Mała zmywareczka tańcząca w rogu. Zachodnie hrabstwo Cork. Może gdzieś za Berehaven?

Wtem zrywa się gwałtownie, jakby na wystrzał pistoletu startowego, i obraca się na chorej nodze, żeby wyczarować pokój, w którym miałyby osiąść na emeryturze.

Plan otwarty! – wykrzykuje. – Cudownie! Daje wrażenie płynności. Och, a te piękne, stare deski podłogowe! Bardzo ładnie się wyrobiły! Jak u tej, jak jej tam, z kanału czwartego? Sarah Beeny. Programy o remontach. Cudo. Ciepłutkie deski podłogowe pod stopami. W promieniach słońca. Ale też całość taka rozkosznie oszczędna. Żadnej tandety. Próbuję odsunąć od siebie te skłonności. Wychowałem się na pierdolonym krawężniku. A to, jak wewnątrz otwiera się na zewnątrz, te odzyskane deski podłogowe, ta płynność, te pola, to morze, te lasy...

Charlie? – zagaduje Maurice.

Brzmi znajomo, Moss? Piękny nowy domek pod Berehaven? A ty wyłożony w środku jak baranek na Bożym pastwisku?

Daj spokój, Charles.

Czemu, Moss?

Siądź, chłopie, i odsapnij. Rozluźnij się. Aż ci nerwowe kolory na twarz występują. Żółć taka.

Charlie siada i łyka zmętniałe resztki wina z dna butelki.

Nie mówię, że harowaliśmy w kopalni, Maurice – zaczyna. – Nie mówię, że zasuwaliliśmy na robotach drogowych. Ale musieliśmy dużo pracować

i dużo podróżować, narażać się na wielkie niebezpieczeństwa i wielkie niewygody. I na tym etapie życia wujek Charlie chciałby poczuć się właściwie wynagrodzony za te trudy.

Wiem, Charlie. Wiem.

Obaj mężczyźni rozpierają się na ławce. Zamykają oczy w milczącej, tajemnej synchronii. Benny, który wyczekiwał dla siebie okazji, oddala się od Irlandczyków niezauważony, zabierając ze sobą skradającego się bezszeletnie Lorcę. Szybko znajduje policjanta.

Chodzi o tamtych mężczyzn – tłumaczy.

Zaspany gliniarz patrzy, ale tylko się uśmiecha.

Tamtych dwóch? – mówi. – Proszę się nimi nie przejmować. Są tu zawsze.

*

Zimna biel księżycy wychwala zbliżającą się zimę. Morze zrobiło się tej nocy rozdrażnione, złowieszczo bije pianę. Brak wieści od strony Tangeru. W białych światłach terminalu promowego Maurice Hearne i Charlie Redmond wyglądają niczym duet z wodewilu, ale dziewczyny z dreadami śpią twardo – tylko pies, Junior Cortés, przytomnie obserwuje przedstawienie.

Brakuje nam jednego człowieka i jednego psa, Charlie.

Zdarza się.

Jeśli naprawdę tu w ogóle byli.

Mężczyźni siadają na ławce. Widać w nich żal. Widać cierpliwie znoszoną niedolę. Znowu unosi ich wspomnieniowy dryf.

Nieźle się w tamtych czasach szarpaliśmy – mówi Maurice.

Nie jest to dla mnie nowa wiedza – odpowiada Charlie.

Ściany się roztapiały, czas leciał, jakby spadł ze schodów. Prawie ciągle byliśmy na potężnym haju. Żałuję wielu rzeczy. Wiele mnie ominęło. Cały kawałek życia przeleciał mi przez palce. Nie pamiętam nic z dziewięćdziesiątego siódmego roku, Charles, a z dziewięćdziesiątego ósmego też nie jestem za mocny. A Cynthia? To dzięki niej przetrwałem.

Cynthia potrafiła podtrzymywać.

Chociaż mam powody, żeby myśleć, że miała z nas wszystkich najbardziej nie po kolei w głowie.

Co było nie lada sztuką, Maurice.

Ale, Jezu, Charlie, jak nami groza trzęsła w nocy.

Pieniądze przywołują grozę, Moss.

Było tyle mamony, a my raz po raz na skraju nędzy. Jak to, kurwa, możliwe? To znaczy, Charlie, wiesz, jak czasem było. Jak płynęły pieniądze.

Pamiętasz tę noc w domu przy Evergreen Street? Kiedy zgubiliśmy tonę pierwszorzędного towaru z Maroka?

A później znaleźliśmy. Pod Midleton.

Tyle tej pieprzonej forsy przeliczyliśmy na tamtej kanapie. Szczerzyliśmy się jak głupi do sera.

Była też noc z czterema Holendrami w łodzi.

Dość.

Ale czas się nie cofa, Charlie. Cynthia nie żyje i nic jej nie wróci.

Odpuść, Maurice. Trudny temat. Nie musimy o tym gadać.

Ale Maurice Hearne pada na kolana jakby w napadzie histerii. Wzdycha, a w tym westchnieniu wybrzmiewa cała historia sztuki aktorskiej.

Leonor budzi się i obdarza go uśmiechem.

Przypomnij mi, która ty jesteś?

Leonor.

Śliczne imię, co nie, Charlie?

Piękne. Jak odświeżacz powietrza.

Widziałaś może tę dziewczynę? Fotka już troszkę stara, ale wciąż może wyglądać podobnie. Dilly Hearne?

Nie widziałam.

Czemu nas wszyscy okłamujecie?

Maurice pełźnie na czworakach po podłodze i dyszy niby pies u stóp dziewczyny.

Jezus – wyrzuca z siebie Leonor.

Dla niego już trochę za późno – odzywa się Charlie.

Powiedz nam jedno, Leonor, skoro masz sprawną żuchwę. I pytam z czystej ciekawości. Co sprawia, że to jest atrakcyjne? Ten sposób życia, który sobie wybrałaś.

To wolność – mówi Leonor.

To bieda – komentuje Charlie. – Bieda jest zawsze wolna i darmowa.

*

Siedzą, aż noc znów ustępuje dniowi. Przez ciemność przebija się ostre, czyste światło dwudziestego trzeciego października. Leonor i Ana siedzą

ze swoim psem, Juniorem Cortésem – zwierzę ma dziki język i oczy spiskowca. I dziewczyny, i pies chętnie słuchają Irlandczyków, którzy otoczyli się migotliwym pierścieniem utkanym z dziwnych, wirujących słów.

Nie kocham już swojego ciała – mówi Maurice Hearne – w sposób świadomy. Szkoda mi czasu.

Ja pogodziłem się z tymi starymi kośćmi – odpowiada Charlie Redmond, kręcąc nadgarstkami.

Jestem jak pierdolona małpa – kontynuuje Maurice. – Te długie ramiona, ten okropny, masywny, zwarty tors.

Wygrzebuję się co rano z łóżka – mówi Charlie – jęcząc i stękając tak, że własnych myśli nie słyszę.

Mam takie nieustające uczucie – odpowiada Maurice – jakbym był w innym pokoju, za ścianą, i w ogóle się nie słyszał.

Wy chyba rozumiecie – rzuca Charlie, cały spochmurniały – jak to mężczyzna może znaleźć się pod wpływem uroku? Gdy osiągnie pewien wiek.

Uroku? – pyta Ana.

Kiedy przekroczy granicę pięćdziesiątki – tłumaczy Maurice. – Coś w tych okolicach.

Rozprawiają o starzeniu się i śmierci. Wspominają tych, których oszukali, i tych, którym pomogli, o miłościach pierwszych i miłościach straconych, o wrogach i przyjaciółach. Przywołują dawne dni w Corku i Barcelonie, w Londynie i Maladze, i w nawiedzonym Kadyksie. Opowiadają o wrażeniach z tamtych miejsc. Rozmawiają o tym, że znów są tu, u wybrzeży Berberii, jakby przyciągani magnesem.

Takich jak my ciągnęło tu od wieków – stwierdza Maurice.

Stąd przez morze prosta droga – dodaje Charlie.

Gdy teraz im się przyglądamy, obraz staje się jasny: szerokie, pirackie uśmiechy, dowcip ostry niczym kordelas.

Poczytajcie sobie o Rifinach – rzuca Charlie.

Tych, co pochodzą z gór Rif – klaruje Maurice. – Prowadzić z tymi ludźmi interesy to jakby przytulać worek węży.

A ojcowie ojców ich ojców? – ciągnie Charlie. – Tuzinami ściągali szeregiem, z latarniami w dłoniach, na nadmorskie wzgórze. Rozpraszali się i raz po raz wznosili, po czym opuszczali światła: góra, dół, powoli, rytmicznie, jak do słodkiej muzyki...

Widzicie to? – pyta Maurice.

...więc z morza wyglądało to zupełnie jak kołyszący się statek. A to przyciągało inne łodzie, żeglarzy, co chcieli się przywitać, zapytać, jak tam połów – zamiast tego roztrzaskiwali się na skałach. Rifeni wtedy hyc na brzeg z nożami, żeby dokończyć robotę.

Ten tok myślenia – komentuje Maurice – może się zrodzić tylko z częstego zażywania rośliny *Cannabis sativa*.

Ziela asasynów – wcina się Charlie.

Czarnego, oleistego haszyszu Rifenów – ciągnie Maurice. – Oj, wydaje się człowiekowi, że padł martwy i znalazł się w niebie. A czy wy, swoją drogą, zdajecie sobie sprawę, że ten tu pan koło mnie sam gardła podrzynał?

Na co pirat Charlie Redmond rozpira się na ławce z uśmiechem błyszczącym jak brylant.

*

Lecz dzisiaj w trawce nie ma już pieniędzy. Teraz pieniądze są w ludziach. Morze Śródziemne stało się morzem niewolników. Lata poszły naprzód, Maurice'a i Charliego zostawiły w tyle. Mężczyzn opanowuje nastrój elegijny, niedola, ciężar w kościach. Są także spłukani i pogrążeni w żałobie. Ana wstaje, uniesiona ziewnięciem. Przeciąga się tak mocno, jak tylko pozwala na to beztroskie, dwudziestotrzyletnie ciało. Z radością przyjmuje blask nowego dnia, który rozświetla wysokie okna. Wyciąga dłoń w kierunku Juniora Cortésa, a ten przysuwa się i przytulnie węszy dziewczynie w okolicy pachwiny.

Ten pies wie, gdzie nos zamoczyć – komentuje Charlie.

To wrodzony talent – odpowiada Maurice.

Ana rzuca Charliemu gniewne spojrzenie, kuca na ławce i wpatruje się głęboko w oczy Maurice'owi, po czym mówi:

Perroflauta.

Co proszę?

Hiszpańskie słowo na szuszwola – tłumaczy – to *perroflauta*.

To znaczy „pies i flet” – dodaje Leonor.

To teraz pójdzie jak z górki – stwierdza Charlie.

Perro... flauta... – Maurice przymierza się do słowa po cichu i w zadumie.

Mówią to jak przekleństwo – mówi Leonor.

Bo nas nie lubią – stwierdza Ana. – Mówią, że jesteśmy brudni. Nie chcą obozowisk. Nie chcą psów. Dlatego pływamy do Maroka.

A kto zajmuje się Juniorem Cortésem?

Ludzie przyplływają, my wypływamy. Psy są wspólne. Nie można zabrać psów na drugą stronę.

Mamy potwierdzenie – rzuca Charlie.

Czekacie na swoich z Tangeru?

Może.

To zależy od promów.

Mężczyźni wiedzą, że jeśli kiedykolwiek zobaczą jeszcze dziewczynę imieniem Dilly, będzie to zależec także od kaprysów losu oraz zmiennych potrzeb wieku młodzieńczego. Leonor i Ana odwracają się teraz i szepczą między sobą, śmieją się po cichu, po czym wstają i zaczynają zbierać swoje rzeczy – w ogóle nie ma w nich lęku przed Irlandczykami.

Dzięki za alkohol – rzuca Ana.

Powiedzcie nam chociaż coś więcej o tym całym wiedźmiarstwie – nalega Charlie.

Tak się składa, że ja mam z wiedźmami duże doświadczenie – odzywa się Maurice.

Ciągnie do ciebie ten typ, Moss, czarownice, od zawsze.

Wiedziałaś, Charlie, że do palenia czarownic używa się świeżo ściętego drewna?

Brzmi jakoś sensownie.

Klątwy? Uroki? – mówi Maurice. – Ze wszystkim się zetknąłem. Może dla mnie rzucicie zaklęcie, drogie panie?

Kogo chcesz zczarować? – pyta Leonor.

Masz długopis? – odpowiada Maurice. – Mógłbym zacząć robić listę.

Robisz tak – tłumaczy Leonor – że bierzesz kawałek materiału. Może być skrawek starego ubrania osoby, na którą chcesz wpłynąć. I wkładasz do środka rzeczy.

Jakie rzeczy?

Włosy... tam z dołu?

Łoniaki?

I z palców... to coś?

Paznokcie?

Paznokcie. Ło-nia-ki. Zaschniętą krew, może z tamponu.

Ludzie, kim wy w ogóle jesteście? – komentuje Charlie.

Oraz – dodaje Ana – do wewnątrz. Środek chemiczny.

Nazywa się antymon – wyjaśnia Leonor.

Myślicie, że istnieje zaklęcie, które przywróci mi córkę?

Mała jest.

I ładna.

Możliwe, że była w Grenadzie.

I to niedawno.

Dill? Albo Dilly? To zdrobnienie od Dilys.

Rozdział czwarty

KOCHANKOWIE POD PÓŁNOCNĄ BRAMĄ

W Corku i w Maam Valley, i w Barcelonie, i w Londynie,
i w porcie Berehaven, od marca 1994 do kwietnia 1999 roku

Był przekonany, że mieszkanie jest obserwowane. Przez większość czasu nawet nie zmrużył oka. To, co przywieźli z Malagi, chwilowo stłumiło niepokój miasta. Oraz rozzłościło jego starsze wilki. Wybiliśmy się ponad swój stan za szybko. Rozmawiał z Karimą przez automat telefoniczny na nawiedzanej klatce schodowej starego domu przy St. Luke's Cross. Wkrótce miał nadejść nowy transport. Leżał w łóżku, a obok niego na podłodze walały się pliki banknotów. Cynthia wierciła się we śnie, mamrocząc słowa z odległych głębin grozy. Jej chude udo było blade jak wosk. Włamią się do mieszkania, wezmą pieniądze, a jego zostawią na śmierć. Cynthię pobiją do nieprzytomności albo jeszcze gorzej. Charlie Redmond już ukrywał się na zachodzie kraju. Osłabły z bezsenności Maurice wyjrzał ze swojego orlego gniazda ponad miastem, a mgła podnosząca się znad rzeki późnym zimowym rankiem zdała mu się gęsta i złowieszcza.

*

Kiedy dzień zajaśniał skromną pełnią światła, jakie mógł z siebie wykrzesać, Maurice i Cynthia przeszli się na spacer. Ich zakochanie

przebiegało zwyczajnym, głupekowatym trybem. Jaki smak miały jej czarne włosy. Jaka była zawsze naelektryzowana. Nawet powietrze stawało się przy niej poruszone. Poszli nad rzekę przechadzać się w jej chłodzie. Zniżyli głosy do konspiracyjnego szeptu maskowanego przez nadržeczne dźwięki. Trzymając się za ręce, skierowali się ku dawnej bramie północnej i przez chybotliwy most weszli w budzące się miasto. Panował taki chłód, że psie szczeknięcia materializowały się w kłębach pary. Ona i on snuli się nad rzeką niczym młodociane przybłądy, jakby tutaj świat na chwilę się od nich oddalił. Wierzyli w przeznaczenie i drugie połówki. Wierzyli w nawigowanie według własnej ciemnej gwiazdy.

Kobieta umiała mówić tak, żeby zdał sobie sprawę, że nie znajdzie wyjścia. Uzmysławiała mu, że nie ucieknie od siebie samego. Widziała, co nadchodzi.

*

Ukryli się w Maam Valley. Mężczyzna wierzył, że ścigają ich wilki. Wilki w bluzach na suwak i trampkach marki Fila. Maurice i Cynthia nauczyli się tam prowadzić samochód. Życie na wsi zdawało się dziwne i komiczne. W powietrzu czuło się jeszcze mocny, kościsty uścisk zimy, ale wieczory stawały się już dłuższe, a drogi po deszczu lśniły jak czarne ozory. Właściciel domu, John James McGann z Clifden, pozwolił parze jeździć poobijanym fordem fiesta, nieopłaconym i nieubezpieczonym. McGann roztaczał wokół siebie zapach słodkiego alkoholu, jakiegoś sherry. Jego oczy zasnuwało blade bielmo, cienkie niby ćmie skrzydło. Człapał z miejsca na miejsce, łapiąc powietrze na wzór ryb, jakby porażony obrazami jakiegoś innego świata, który widoczny był tylko dla niego. Nosił sztruksową marynarkę koloru marmolady. Był złośliwy i powolny. Maurice i John James wyczuwali nawzajem swoje myśli. Rozmawiali o pieniądzach. Gospodarz, typ raczej przedziwnego mentora. Wynajmowana przez niego chatka stała na wzniesieniu nad Loch an Oileáin. Jezioro było czarne i niepokojące. Mieściła się na nim niezgrabna wysepka, jakby niepewna swojego miejsca w większej całości. Góry Maumturk w tle wyglądały arcyważnie. Ich zbocza

przypominały tępe, nieprzychylnie twarze bez wyrazu. Maurice'a i Cynthię wypełniała w tej przestrzeni miłość.

Dni były piekielnie zimne, ale wieczorem od morza ciągnęła w głąb lądu magia okupująca wszelkie zakątki, dopóki całe to miejsce nie otworzyło się na sny.

*

Cholernie podobały mu się jej dłonie. Na wąskim łóżku w chatce szeptali i wwiercali się w najgłębsze pokłady nocy, a po wszystkim leżeli oszołomieni i szczęśliwi.

Znów rozpasaliśmy się jak świnie – powiedziała.

*

Podobało mu się także, że dom leżał na wzniesieniu. Zawsze mógł zobaczyć, co się zbliża. Brak telefonu wytwarzał idealną sytuację. Maurice zadzwonił do matki z pubu w Maam Cross i powiedział jej, że są z Cynthią w Barcelonie.

Słyszę, że duży tam ruch – odparła.

Zaaranżowany za pośrednictwem Karimy transport zarobił dla niego sto siedem tysięcy funtów irlandzkich. Taka sama kwota powędrowała do Charliego Redmonda. Cynthia zadzwoniła z pubu w Maam Cross do ojca i powiedziała mu, że są z Maurice'em w Londynie i wybierają się do Indii.

Wydaje mi się, że powinnaś dać mi Maurice'a do telefonu – stwierdził ojciec, na co kobieta rozłączyła się.

Z pubu w Maam Cross wykonano także telefon do Charliego, który oznajmił, że na południu pogoda jest niepewna. Lepiej było pozostać w ukryciu.

Nocą Maurice cierpiał na poty, kołatanie serca, majaki. Cynthia, na klęczkach, w łóżku, uspokajała go i powtarzała, że go kocha. Wyznał jej, że jego ojciec w młodości wpadł kiedyś w tak fatalny stan, że trzeba go było przypiąć pasami do łóżka.

To tylko lęk – powiedziała.

To właśnie lęk przed tym, że staniemy się własnymi rodzicami – tłumaczyła – sprawia, że stajemy się własnymi, kurwa, rodzicami.

Nie była w błędzie: to umysł projektuje ciało.

*

A później zapadli się na trochę w cichość tamtego miejsca. Lata mijały, oni zaś wciąż wspominali ten czas jako najlepszy w ich życiu. Kiedy mieliśmy góry i mieliśmy wodę.

Niech to będzie senny czas – mówiła, powoli obracając w jego stronę białe udo.

Tłumaczyła, że pieniądze nie mogą pozostać tylko gotówką. Muszą na siebie pracować. Wieczorami, gdy światło słoneczne odpierało jeszcze napór mroku, próbowali jeździć samochodem.

„G”, „h”, „s” – powtarzał Maurice. – Gaz, hamulec, sprzęgło.

Nie jestem jebaną debilką – odpowiadała Cynthia.

W wieczornym świetle przydrożne rowy ożywały ptasim śpiewem. Prowadziła samochód z prędkością trzydziestu kilometrów na godzinę po bocznej drodze za Maam Cross. Drobne ptactwo wystrzeliwało z poboczy.

Słyszysz jaskótkę?

Patrz, kurwa, na drogę, Cyn. Bo wjedziemy w pole.

Wyglądała pięknie za kierownicą – skupienie sprawiało, że jej brwi podrygiwały niczym gąsienice. Powiedziała, że najważniejszą sprawą było trzymanie się na dystans od Charliego Redmonda.

*

Maurice podrzucał McGannowi czynsz do Clifden w każdą środę. Mężczyzna był jak wyjęty ze starej historii – wiekowy licytator z nosem czerwonym od sherry. Bez przerwy zadawał najemcom nietypowe pytania.

Nie było żadnego poruszenia na jeziorze, Maurice? Tam na wyspie?

Nic godnego uwagi, panie McGann.

Mówię ci: miej oko na tę wysepkę. Ona może ci któreś nocy przynieść wieści.

Maurice rozmawiał z tym dziwnym starcem o deszczu i morzu, o wypływających statkach, o tym, jak cienka jest gdzieś tam ziemia w tym regionie. Rozmawiał z nim o domach i o cenach ziemi.

Dobry czas na kupno – stwierdził McGann.

Że niby dla mnie?

A co innego zrobisz z pieniędzmi?

*

Kiedy spoglądał z góry na jezioro, wiedział, że na wysepce ukrywano zwłoki. Choć może nie ostatnio. On i Cynthia skokowo nabierali odwagi w prowadzeniu fiesty. Ona zaczęła rozprawiać co wieczór o miastach, ludziach, życiu. Byli oboje za młodzi na Maam Valley. Idylla dobiegała końca, a gdy do drzwi zapukał maj, Maurice kupił chatę Johna Jamesa McGanna za czterdzieści tysięcy funtów. Nim minął miesiąc, wynajęli ją na całe lato i polecili mieszkać w Barcelonie.

*

Pieprzyli się z dzikim zapałem. On pluła, gryzła, klęła. On gadał pojebane rzeczy. Ten pasek błękitnego nieba w szczelinie między zasłonami, ręka mężczyzny między udami kobiety. Rozkoszne rozwarcie, i mokry mlask, i cały dzień nic nie musimy robić, Cynthio. A w każdym razie nic pilnego.

*

Popołudniami spacerowali po Barri Gòtic. Gargulce pochylały się nad wąskimi, prastarymi uliczkami, a w powietrzu unosił się szmer fontann. Ona i on przymierzali ciuchy w obskurnych sklepikach. Słuchali house'u na kasetach przysłanych z Corku, a także zespołu The Pixies, ale tylko

pierwszych trzech albumów. Transport, który wyruszył z Ceuty, w gwiaździstą noc dotarł do Eyerias na półwyspie Beara i przyniósł im kolejne osiemdziesiąt tysięcy funtów. Cynthia zastanawiała się, czy na tym etapie nie dałoby się wyrugować Charliego z interesu.

Pewnego deszczowego dnia na tyłach salonu gier przy Carrer de la Portaferriassa zrobili sobie oboje tatuaże – maleńkie liczby „13” nad lewą piersią.

*

Przy cynkowej ladzie baru na Plaça de la Vila de Gràcia, znanego z przetworów z sardeli, nad małymi kuflami piwa Estrella Damm Maurice przemawiał spokojnie przez ponad godzinę, usiłując ukoić nerwy Charliego Redmonda, który dwa dni wcześniej zostawił za sobą trupa w londyńskim Deptford.

Kłopoty po prostu mnie dopadają – powiedział Charlie, a po jego wrażliwej twarzy spłynęła pojedyncza łezka. – Ja ich nie szukam, Maurice. Same pukają do mych drzwi. Otwierasz, a tam opresja. Z wielkim, durnym uśmiechem na gębie.

Tutaj chwilę odetchniesz.

Odetchnę? Nie widziałeś, co zostawiłem za sobą na podłodze pierdolonego kibla w mieszkaniu przy Barfleur Lane.

Z poczucia niesprawiedliwości Charliemu aż opadły ręce. Cynthia wolałaby, żeby nie zbliżał się na mniej niż tysiąc kilometrów.

Możemy pomóc ci urządzić się w Maladze – oznajmił Maurice.

Już mnie wyganiaasz?

Na placu przed barem stał obszarpany chłopak z fletem i ze starym psem na sznurze. Zagrał fałszywie parę nut i wyśpiewał do kundla jakieś słowa, a kiedy te niemelodyjne dźwięki rozniosły się w powietrzu, Maurice wyrwał się z własnego ciała i całą scenę zobaczył z góry. Plac przyodziwiał niską tonacją wieczorną – nuty ściszone i jedwabiste – a teraz szybkim krokiem przemierzała go Cynthia.

Weszła do knajpki i mężczyzna znów znalazł się w swojej skórze. Kobieta uścisnęła Charliego i ucałowała go w policzek, posyłając przy tym Maurice'owi spojrzenie „zabierz go stąd, do chuja”. Bezpieczniej jednak było trzymać Charliego Reda blisko.

*

W cichych godzinach popołudnia uliczki dzielnicy Gràcia pustoszały. Maurice zadzwonił do swojej matki z budki telefonicznej przy placu.

Przyszedł jakiś człowiek, co cię szukał, Moss – powiedziała matka. – Drapieźny dziwoląg w gajerze.

W gajerze?

Cały wypindraczony – potwierdziła. – Gotowy na każdą okazję.

Mężczyzna zdał sobie sprawę, że wiedziała wszystko.

Nic nie powiedziałam, Maurice. Stałam i udawałam głupią. A nasz koleżka tylko na mnie filuje, uśmiecha się pod nosem i pyta: „Czy on

wciąż siedzi u Hiszpanów, psze pani?”

Cynthia stwierdziła:

Zostawimy jedno miejsce, kupimy drugie. Będziemy mieli udział w nieruchomości.

Następnego dnia Maurice wpłacił zadatek na kupno baru w dzielnicy Eixample. Wiedzieli, że miasto zyska na wartości. Spacerowali po nim wieczorami. Od chińskiej dzielnicy trzymali się z daleka, ponieważ w każdej bramie śpiewała heroina. Zatrudnili dziewczynę imieniem Laura, masochistkę z miasteczka Sitges, żeby wieczorami przejmowała prowadzenie interesu. Ściągnęła do baru innych masochistów i wkrótce zyski się podwoiły.

Ale co my ze sobą zrobimy, Maurice?

No i nadeszło. Odwieczne pytanie.

Bo kim my, do chuja, jesteśmy?

Och, należymy do prastarego gatunku – odparł. – Kupców i handlarzy.

*

Okolice Stroud Green. Kościec Londynu. Słabe światło dnia, jakby skruszone. Dilly w swoim bujaczku siedziała dziwnie cicho, z szeroko otwartymi oczami. Cynthia wyszła na godzinę. Na zewnątrz przez cały dzień parkowała biała furgonetka. Półśmiech małego elfika w bujaczku – mojej łamaczki serc. Maurice zapalił blanta w otwartym oknie. Charlie

Redmond ukrywał się teraz w Maam Valley. Wszystko szlag trafił. Poza pieniędzmi, które były bajeczne.

A oto i ona, zbliżała się z tą swoją grobową miną. Ostatnio trudno ją było wyczuć. Zima ich przygniotła.

Wyjęła mu jointa z dłoni i zaciągnęła się ponuro. Chłód dnia pokrywał jej policzki. Luty chyba w każdym miejscu jest paskudny. Po urodzeniu dziecka Cynthia schudła. Maurice wolałby być w Hiszpanii. Londyn – szary jak gołębie pióra, jak popiół z niedopałków, jak cmentarna glina. Ogromny lęk, głęboki i niewypowiedziany: czy to przez miesiące ćpania w trakcie ciąży dziecko gapiło się teraz ze swojego bujaczka niczym jebane zombie?

Do tego matka zagroziła, że przyjedzie z wizytą. Człowiek chciałby się rzucić pod ciężarówkę. Głuchy pomruk wieczornych pociągów. Twarz Cynthii – czy było w niej coś do odczytania? Co teraz, co dalej? Czuła się słaba i zmęczona, miotła się. Dym krążył między nimi.

W głębi ulicy stoi furgonetka, Maurice.

Ta biała?

Stała godzinę temu i stoi nadal. W środku dwaj faceci. Potężne skurwiele.

Pokręcił głową i podniósł dziecko – Dilly kopała nóżkami jak naelektryzowana, rozciągając do granic swoje śpioszki.

To nic takiego.

Dwóch mężczyzn. W furgonetce. W głębi jebanej ulicy, Maurice.

Wkrótce znowu się ściemni – na tle lutowego wieczoru włączyły się światła wszystkich klatek.

Myślisz, że oni by się zapowiedzieli?

Cynthia wydmuchnęła przez uchylone okno chmurę gęstego, zielonkawego dymu.

A skąd mam, kurwa, wiedzieć?

Maurice wdrapał się na kanapę, żeby zobaczyć dalszą część ulicy. W ramionach dalej trzymał gaworzącego szkraba. Był jak lis z uniesionym nosem. Ochraniać szczenię.

Tuż przed postojem taksówek – powiedziała kobieta.

Mam się tam przejść?

Ani się, kurwa, waż wyjść za drzwi, Maurice.

Zaryglowała drzwi na dwa spusty. On włożył dziecko z powrotem do bujaczka. Polizał bibułę, żeby skrócić jointa.

Może sprawdzają liczniki – powiedział. – Może są od zbierania abonamentu na radio i telewizję.

Jakie, kurwa, liczniki?

Może są z Rady Gminy?

Przez większość dnia i nocy ulica była cicha. Panowała posępna lub może napięta atmosfera. Dziecko zaczęło delikatnie kwilić. Podniósł je znowu i zabrał do kuchni, gdzie odkręcił kran. Wyrzął na podłużny ogródek za domem, kończący się stromym wałem kolejowym. W pole widzenia z rykiem wdarł się pociąg. W wieczornych światłach wagonów migały milczące twarze. Ależ się lisy darły nocami. Łkanie Dilly ucichło, kiedy kranówka wirowała w zlewie. Zadowolona dziewczynka drgała bezgłośnie w ramionach mężczyzny.

Wyleźli z fury, Maurice!

W chuj wielkie hiszpańskie mordy.

Bary jak stąd do Madrytu.

Oparli się o bok samochodu i z pasją palili pety – spokojnie spoglądali w stronę domu.

Maurice zawiązał małą w ciepły kocyk.

Cynthia wrzucała rzeczy do torby: portfele, karty.

Wyszli tylnymi drzwiami – po cichu zaszyli się w zimnym i martwym lutowym ogrodzie.

Zapadała już noc.

Ukrywali się w ogródku, dopóki całkiem się nie ściemniło.

Przeszli przez wał i zsunęli się na tory.

Przerażeni, szli w cieniu nasypu.

Żwir tańczył pod stopami.

Spod nóg czmychały małe ssaki.

Nocna wyprawa przez Haringey, Crouch End, Stroud Green.

Ciche oddechy w wielkiej paszczy Finsbury Park.

Niesieni pulsem arterii Seven Sisters Road.

Spędzili bezsenną noc w domu gościnnym w Crouch End. Noc dłużyła im się jak dekada. Maurice czuł się stary jak nigdy dotąd, ale tak, miał Dilly, milczącą i piękną, i tak, zdecydowanie był w niej zakochany. Nadeszła pora wrócić do Irlandii.

Nadmorskie skały, słony wiatr, dom.

*

Oglądany ze wzniesienia port Berehaven zdawał się skrzyć zimnobłękitnymi ostrzami w kwietniowym słońcu. Dilly nuciła pozbawioną melodii przyśpiewkę, a jej oczy śledziły wczesnego motyla – tańczącą w powietrzu biało-żółtą plamkę, bladą jak mgiełka jej oddechu. Dziewczynka miała niezdrową, jasną jak popiół cerę. Budowlaniec Murphy przyglądał się jej z uśmiechem.

Ta mała odleciała na własną planetkę – powiedział.

Mnie to mówisz? – odparł Maurice.

Dotyk dziecięcej ręki był wilgotny. Mężczyzna potarł kciukiem śliską, wewnętrzną stronę dłoni szkraba – w jakiś sposób go to uspokajało. We troje przemierzali gołe akry działki. Leżała na płaskowyżu pośród kamiennych wzgórz nad miastem. Na jednym końcu wznosił się jakiś dziwny, porośnięty krzakami kopczyk. Projekt zakładał budowę domów na planie półksiężyca. Sierp miał, według pierwotnej aranżacji, osłaniać od zachodniego wiatru.

Dałoby się na tyłach zasadzić kilka drzew?

Cóż... – odparł Murphy.

Nic się nie przyjmie?

To pieprzona skała – powiedział Murphy. – Nie przyjmie się nic ładnego.

Przynajmniej będzie widok. Maurice wziął córkę na ręce, ostentacyjnym stęknieniem podkreślając swój wysiłek. W rzeczywistości trzyipółletnia

dziewczynka ważyła tyle co nic. Pokazał palcem świat rozciągający się na południu.

Niezły widok, co, Dill?

Poprowadził jej wzrok przez dachy miejskich domów, maszty i krzątaninę portu aż ku wyspie Bere i jeszcze dalej.

Osiedle Widokowe? – rzucił Maurice.

Przysiółek nad Portem? – zasugerował Murphy.

A może coś irlandzkiego?

Ano – zgodził się Murphy.

Jak ci pasuje irlandzki, Dilly?

Dziewczynka uśmiechnęła się nieśmiało.

Coś z *croí* – powiedział Maurice. – Czy *croí* nie znaczy „serce”? *Croí briste* – oznajmił Murphy i obaj się roześmiali.

Grań Złamanego Serca – odezwał się Maurice. – Racja, tak tu pizdzi, że może człowieka połamać.

Murphy melancholijnie grzebnął nogą w ziemi.

Jedno ci powiem: moje *croí* będzie kurewsko *briste*, jak zacznę kłaść w tej skale fundamenty.

Kiedy możemy zacząć?

To zależy od paru rzeczy.

Na przykład?

Pożałował pytania. Chodziło o ten kolisty kopczyk porośnięty głogiem. Zapiął anorak Dilly pod samą szyję dla ochrony przed wiatrem. Musnął palcami jej zimny policzek. Krzywiła usta identycznie jak jej matka. Wszystkie rysy i gesty z góry ustalone.

Przewieje ich tu do gołej kości, Dill – powiedział – jeśli nie uda się posadzić paru drzewek.

Wydawało się, że budowlaniec Murphy uznał to za afront. Zmarszczył brew i wbił posępny wzrok w swoje trapery marki Caterpillar.

Tu jest zachodnia Irlandia – stwierdził. – Wiatr, kurwa, lubi powiać.

*

Przeszedł się z Dilly przez plac w Berehaven. Na nadbrzeżu kupił turbota, kilka przegrzebków, trochę solirodu. Obiecał córeczce, że koniec z makrelą – uśmiechnęła się.

Pójdziemy się czegoś napić, Dill? Znajdziemy matkę.

Powoli zaczynał być na głodzie, ale miał jeszcze godzinę. Dało się to zapić. Jeszcze nie minął ranek, a pub pękał w szwach. Nic dziwnego, że w kraju było jak było. Pełen ośmiornic trawler wtoczył się do portu – jego załoga siedziała w barze West End i imprezowała na całego. Piwo Corona szło całymi skrzynkami, podobnie jak red bulle z wódką, a marynarze, zalani w sztok, paskudnie przewracali się na chwiejnych nogach. Wielki Czwartek. Ostatni rok stulecia. Maurice posadził Dilly na barowym stołku i nalał jej napoju pomarańczowego z lodem.

Twoja matka mnie zeżre za tę fantę – rzucił.

Kilku wyrzuconych na brzeg młodych Hiszpanów ze smutkiem sączyło alkohol z długoszyich butelek, przemieniając West End w ponurą hiszpańską piwiarnię. Pewnie pochodzili z Galicji. Jest tam bardzo irlandzko. Melancholijnie i w ogóle. Rudo. Kiedy ostatni raz widziano tam Maurice'a, próbował przeruchać się aż nad Zatokę Biskajską. O tej porze roku atmosfera w Berehaven robiła się często hiszpańska.

Barmanka z lśniącym ćwiekiem w ustach wślizgnęła się w pole widzenia i nachyliła się przez ladę w kierunku Maurice'a.

Jak idą sprawy tam w górze? – zapytała.

Wdechowo – odparł.

Poczuł ukłucie pożądania, ale mogło jeszcze minąć. Cynthia pojawiła się tak, jak pojawia się plotka – nie wiadomo skąd. Oczy gorejące po wkłuciu igły. Ucałowała córkę w czubek głowy, zbierając przy tym posępne, zdziwione spojrzenia. Trzymali się z dala od wszystkich. Już pojawiły się pytania: budujecie tam domy? A plan ruszył naprzód?

Czy z działką jest coś nie tak? – zapytała Cynthia.

W jakim sensie?

Co jest nie tak z tym jebanym miejscem, Maurice?

Wiele. Jesteśmy na półwyspie.

Hiszpanie garbili się jak w jakimś rytuale. Jakby wywoływali Dzieciątka Jezus. Ekipa od ośmiornic robiła się coraz głośniejsza i bardziej rozdrażniona. Marynarze tonęli w rozerotyzowanych uściskach. Strzelali sobie nawzajem gumkami od majtek. Spod rolety zaglądał do środka wąski horyzontalny pas miejskiego placu. Zatrzymał się na nim wypakowany na wczasy SUV i wypluwał z siebie oddział grubych dzieci. Małe cholery wyglądały, jakby żywcem zjadły pół kraju. Do Cynthii i Maurice'a niepostrzeżenie przysunął się pachnący polami i środkiem dezynfekującym starzec.

Jedynie Ruscy – rzucił.

Co proszę?

Jedynie jebani Ruscy – objaśnił mężczyzna – mają mniej klasy niż my, kiedy zarobią kilka funtów.

Brązowożłote światło pubu zdawało się wybaczać wszystko. Cynthia wyglądała w nim dobrze, a dziecko było piękne.

Kości tak mi się już zeźliły – mówił dalej mężczyzna – że muszę się końską maścią nacierać. Jak wam pasuje to miejsce tam na górze?

Jest bajka – odpowiedziała Cynthia.

Jak to na początku – skomentował Maurice.

Ile domów?

Jeszcze to ustalamy – stwierdziła Cynthia.

Damy znać – dorzucił Maurice.

I już był na głodzie. Niedługo będzie musiał się znieczulić. Harmonogram dnia miał precyzyjnie zorganizowany. Strzelił sobie działkę na tyłach sypialni o pierwszej albo dziesięć po. Cynthią już się zajęli. Razem wypracowali plan dnia dostosowany do dziecka.

*

Wynajęli nieumeblowany dom między fałdami gór Cahá. Obserwowali, jak noc przetacza się przez księżycowy krajobraz półwyspu. Szczelnie opatulona Dilly wierciła się w pokoju w głębi i gaworzyła niezrozumiale przez sen. Cynthia i Maurice siedzieli na leżakach przy wyciągniętym z kominka ruszcie. Powietrze było tej nocy nieruchome i łagodne. Pili hiszpańskie wino i palili *charas*. Żadnej heroiny aż do rana. Istniało coś takiego jak dyscyplina. Cynthia zaczęła ponownie dopytywać się o plac budowy i mężczyzna w końcu wyznał prawdę.

Gadają jakieś pierdoły – powiedział – o elfim forcie.

Ruchem nadgarstka kobieta zakręciła ciemną niczym atrament rioją. Ona i Maurice uśmiechnęli się do siebie.

Kojarzysz ten taki niby-kopczyk na skraju działki? – dodał mężczyzna.

No – odparła.

Było to okrągłe wzniesienie usypane z ziemi, otoczone głogowymi chaszczami – dziecko zawsze wyglądało smutno, gdy się tam bawiło.

Nie wspomniałeś o tym.

Bo to pierdoły, Cynthio.

To Murphy ci o tym powiedział?

Mówił, że niektórzy z jego chłopaków mogą tam nie chcieć budować. Przynajmniej murarze.

I kiedy zamierzałeś mnie o tym poinformować?

To bzdury.

Budowlańcy nie chcą pracować na działce, za którą zapłaciliśmy czterysta osiemdziesiąt pięć tysięcy, bo myślą, że stoi tam elfi fort. I ty uznałeś, że to niegodne wzmianki?

Elfi fort to przesada – odparował. – Typowy lokalny przesąd o jakimś miejscu. Chodzi o ten kopczyk na skraju działki. Najwyraźniej posiada wszelkie cechy elfiego fortu.

A ty, kurwa, od kiedy się znasz na cechach elfich fortów, Maurice?

Istnieje coś takiego jak pierdolony Internet – powiedział.

Zajrzeli do Dilly, która wciąż twardo spała. Włączyli modem – rzeźił jak podduszany, kiedy bardzo powoli łączył się z siecią. Pili rioję i przyglądali się zdjęciom elfich fortów.

To jest trochę...

Trochę dokładnie to, za co zapłaciliśmy pięćset kafli.

Czterysta osiemdziesiąt pięć – poprawił Maurice.

Nie warto było wczytywać się w apokryfy. O budowniczych, którzy ledwo wycięli z takiego miejsca krzewy, a już dostawali zapaści albo galopującego raka. O przekierowanych autostradach.

Wyciągnęli butelkę whiskey. Cena za taką powierzchnię, za widok na port oraz góry, zdawała się przystępna. Wrzucili do ognia kilka patyków i pijąc whiskey, rozmawiali o tym, co przeczytali: o fortach zwanych *raths* i *liosanna*. Kiedy ich usta przypominały sobie te pradawne słowa, brały ich we władanie dziwne czary.

*

Dopadły ich obsesyjne myśli, że prześladowuje ich pech. Leczyli się heroiną. Umiarkowane dawki, które charakteryzowały dawne, szlachetnie powściągliwe obyczaje, teraz poszły się jebać. Szprycowali się jak konie. Naraz otaczała ich zewsząd aura nieszczęścia, niczym znerwicowana wioska. Kamienne wzgórza plotkowały o niefarcie, a wiatr przywiewał te pogłoski pod stopy Maurice'a i Cynthii. Pech, pech – ta myśl zakorzeniała się w głowach, pęczniała i owocowała. Chronili się przed ideą pecha, profilaktycznie biorąc brawurowe wręcz dawki kokainy. Łoili whiskey Powers, Jameson – pierwsze śniadanie z butelki, drugie wciągame z lusterka. Dziewczynkę mogłyby równie dobrze wychowywać koty wygrzewające się w promieniach słońca, które zadały sobie trud, by w kwietniu padać na dachy Berehaven. Budowa od początku była katastrofą. Młody gość ze Sneem, typ szerszy niż wyższy, złamał sobie nogę pierwszego dnia robót. Wśród przekupek z Berehaven wieść rozniosła się z prędkością pieprzonego pożaru. Smagany wiatrem plac budowy opanowały tamtego ranka fatalizm, pomieszanie zmysłów, niezdrowa introspekcja. Drugiego dnia jakiś cep z młotem pneumatycznym o mało nie pozbawił się nim szansy na ożenek. Piątego dnia trzydziestodwulatek z Glengarriff dostał mikroudaru podczas mieszania piasku ze żwirem. Budowlaniec Murphy zaczął już mieć problemy z uzupełnianiem zespołu, stał się przybity i przepijał całe drętwe wieczory w barze West End. W czwartki rano Maurice jeździł do Corku, żeby złapać pierwszy pociąg z Dublina, którym przybywał tygodniowy zapas heroiny. Dziesiątego dnia – w piątek – on i Cynthia zdali sobie sprawę, że ich towar był w tym tygodniu strasznie rozcieńczony, i o to właśnie się wściekali, kiedy z Hiszpanii zadzwonił Charlie Redmond z wieścią, że motorówka z półtonowym ładunkiem ich marokańskiego haszyszu została zatrzymana przez Guardia Civil, kiedy wpływała do miasta La Línea de la Concepción. Pech, pech. Wyglądało na to, że łódkę wypatrzone w Ceucie, no ale co robić? W głosie Charliego Redmonda pobrzmiwała niefrasobliwość, na którą Maurice Hearne nie miał, kurwa, siły. Kładzenie fundamentów w skałach wzniesienia nad Berehaven było okropną harową. Kamienie wrzeszczały i pojękiwały groźnie, kiedy się w nie wwiercano. Dzieci skał wybuchały płaczem. Wykuwamy ślady, gdzie kuć nie mamy prawa. Odpowiemy za to. Pech, pech. Maurice zaczynał się zastanawiać, czy Cynthia nie czuje mięty do budowlańca Murphy'ego, który był wprawdzie wielkim,

przystojnym, nieokrzesanym skurwielem, ale wobec pań zachowywał krztynę gracji, a czerń jego depresji być może przydawała mu aury liryzmu. Maurice pojechał sam na wzgórze nad budową i patrząc na nią z góry, masturbował się żałośnie do myśli o dziewczynie, która popołudniami pracowała w barze West End. Razem z Cynthią robili speedballe z kokainy i rozcieńczonej heroiny, dawali sobie w żyłę, pieprzyli się, a później się kłócili. Pech, pech. Koło placu codziennie przejeżdżali strażnicy z ciekawskimi uśmieszkami. Pierwszego ranka trzeciego tygodnia, kiedy fundamenty zbliżyły się do elfiego kopca, kolejny robotnik zaczął obficie pluć krwią i tyle go widzieli. Połowę budowlańców stanowili teraz hiszpańscy rybacy, którzy wysiedli tu z trawlerów i do niczego się nie nadawali, bo masakrowała ich pogoda. Nastał mokry kwiecień i pośród morskiej wilgoci zrobiło się tak zimno, że Maurice Hearne znów zaczął słyszeć nocą stare głosy. Ale obstawali przy swoim. Istniało coś takiego jak barani upór. Na wzgórzu zaczęły wyrastać domy: dziewięć budynków na planie półksiężyca, które miały się razem nazywać Ard na Croí. Kilka kilometrów dalej wzdłuż wybrzeża przechwycono łódź z kokainą wartą dwa miliony funtów, a Maurice został wezwany na przesłuchanie. Była środa wieczór. Szybko stało się jasne, że o niczym nie wie. Kiedy opuszczał posterunek, detektyw rzucił: „Lepiej wstań wcześniej, Moss, żeby nie spóźnić się na ten pociąg z Dublina”. Maurice chciał znów wyjechać, ale teraz zapuścił korzenie. Pierdolona Irlandia. Z jej uśmiechniętymi diabłami. Gadającymi skałami. Nawiedzonymi polami. Pamiętliwym morzem. Dzikością i walką. Upiorem melancholii. Sposobem, w jaki cię dopada.

Rozdział piąty

MATKA PIĘĆ I JEJ PIĘĆ CÓREK

W porcie Algeciras, październik 2018 roku

Czas biegnie tu dziwacznie wykrzywionymi torami. Są takie dni i noce, że za chuja nie wiesz, ani gdzie się znajdujesz, ani która godzina. Ludzie przychodzą i odchodzą. W ich twarzach wieczność, na ustach gości bezgłośnie siedem życiowych dystrakcji. Wkrótce znów przypłyną i odpłyną statki. Gdy poruszamy się wodą, nasze serca również są poruszone. Jesteśmy kurewsko skomplikowanymi maszynami. Teraz w porcie Algeciras godziny zlewają się ze sobą. Dla murszejących irlandzkich gangsterów trwa długie oczekiwanie...

Wiesz, nad czym się zaczynam zastanawiać, Maurice?

Powiedz, Charlie.

Nad śmiercią, Moss.

Zaczyna się.

Czy to jest taki zły interes, jak się powiada?

Że co?

Czy w pewnym sensie nie czujesz ulgi, kiedy woła cię Czarna Anielica? Cii... Słuchaj... Trzepot jej skrzydeł... Słyszysz?

Charles?

Czy nam się opłaca to życie, Maurice? O to pytam. Biorąc pod uwagę wszystko to, co się w nim odpierdala?

Nie spodziewałbym się, że to będzie piknik, Charlie. Mówiąc o śmierci.

Uważasz, że po niej nic nie ma?

Nie mówię, że nic nie ma, tylko że nie spodziewam się pikniku.

Ja mam dosyć wesoły pogląd na Wielką Eókę. Tak się składa.

Co ty, Charlie, widzisz tam, na końcu drogi?

No raczej nie jest to ukwiecona polana. Tego nie twierdzę ani przez sekundę. Nie widzę też skąpanej w świetle księżyca zatoki. A nad zatoką czekają na człowieka wszystkie dawne dzierlatki, jedna za drugą, w kwiecie wieku. Rumiane poliki, roześmiane oczy. Tego za nic nie widzę. Ale, Maurice, wyobrażam sobie jakiś rodzaj... bezruchu. Wiesz? Jakiś rodzaj... ciszy.

Cudo – mówi Maurice Hearne. – Taki spokój.

Jak człowiek pomyśli, co znosimy w życiu... Pod kątem hałasu.

To jest, panie Redmond, kakofonia.

Przychodzimy na świat z krzykiem, niesieni falami wrzasków naszych biednych matek.

Nasze biedne mamusie rozprute jak materace.

I co robimy pierwsze? Sami zaczynamy się drzeć i szlochać. Napełniamy płuca i dawaj: lecimy na całego. A jak schodzimy ze sceny, hen, na końcu życia? Bardzo często tak samo. Drąc się i rycząc.

A co się dzieje pomiędzy?

Hałas, Maurice, nic tylko hałas i konsternacja.

Człowiek szuka chwil ciszy w tym całym życiu, Charles. Ale czy znajduje?

Chyba w dupie.

Albo, może być, w miłości.

Możliwe.

Kochałem ją, Charlie.

Wiem. Bardzo mi przykro.

Trwało to całkiem długo. Znałem ją, wiesz? Cynthię. Wiedziałem, kim była.

Zastanawiasz się, dokąd odeszła?

Taa. Nie spodziewałbym się, że to jakiś piknik, Charlie.

To znaczy, co, jeśli jest tam tylko...

Więcej tego samego.

Po tej drugiej stronie. Co, jeśli jest tam tylko...

Hałas?

*

Do portu przybija prom z Tangeru. Wrócił ruch przez cieśninę. Przez terminal człapie sennie kilku młodzieńców. Na barkach dźwigają ciężar Afryki. Obserwują ich paciorkowate oczy na wpół wystrojonych, na wpół zapuszczonych Irlandczyków.

Dilly Hearne.

Dill albo Dilly.

Mała jest.

I ładna.

Z dredami. Ten typ, co z psem na sznurze chodzi. I ta charakterystyczna kompleksja.

Mężczyźni siedzą na ławce niespokojnie. Ich punkt obserwacyjny mieści się na samym wierzchołku stosu przeżytych lat. Są dostatecznie starzy, żeby sięgać wzrokiem daleko w przód i w tył.

Zrobiło się trudno – mówi Maurice. – Z Dilly. Gdy podrosła. Kiedy miała czternaście czy piętnaście lat, szlajała się z miejsca na miejsce z miną jak trędowata. A ta jej szkoła? Naprawdę mnie irytowała, szczerze mówiąc.

Szkoła Sióstr Wieczystej...

Takiej czy innej pierdoły. Pamiętam jeden taki dzień, Charles, w szczytowym okresie, taki dzień, kiedy naprawdę miałem ważniejsze rzeczy na głowie. Ale mnie to, rozumiesz, gryzło. Myśl o biednej Dill w tamtej szkole. To zatelefonowałem do dyrektorki i sprawiłem jej bezlitosne słowne batożenie. Powiedziałem: słuchaj no, paniusiu, dobra? Nie twierdzą, że ja tu jestem od decydowania o mundurkach, ale czy pani masz pojęcie, z kim masz do czynienia? To są bardzo otwarte młode osoby. Wciąż nieukształtowane. Piętnastoletnie dziewczęta. A pani im każesz paradować w tych okropnych, starych szmatach? Paskudnych, bezkształtnych spódnicach i swetrach zwisających do kostek jak worki.

Pani próbujesz sprawić, że dziewczyny się wyprą same siebie! A one są przecież piękne! Wiesz pani, co to jest? Jebane katolickie hidżaby!

Toś jej dogadał, Maurice.

Nie twierdzę, że miałem w tamtym momencie prawo udawać moralną wyższość. Podczas rozmowy byłem jakąś milę od wybrzeża hrabstwa Clare z półtonowym ładunkiem marokańskiego haszyszu w ładowni i taką trwogą w sercu, że rany Jezusa. Woda falowała, łódź się przechylała... Boże, ratuj... Kiwam się tak i kołyszę o milę od Fanore... Zimowy poranek i ani śladu Charliego Redmonda i jego pierdolonej ciężarówki... I myślę sobie: Maurice, jesteś już za stary na te hece... Myślę: teraz liczy się moja córka, ona powinna być moim... priorytetem, wiesz?

Bajeczny był z ciebie tato, Maurice. W moim mniemaniu.

Ale w tamtej chwili mgły jakby się nagle rozstały... I pojawiły się dwa reflektory... Płonęły... Jak na dłoni... Pośród szarego ranka... Nad starym nabrzeżem w Fanore... A oto był i on, Charlie Redmond z dzielnicy Farranree... Taki człowiek, co to nigdy by cię nie zawiódł.

*

Jak myślisz, Charlie – doczekamy końca?

Statki wpływają, statki wypływają. Może się jeszcze dziewczyna pojawić.

Ale wiesz, nad czym się zastanawiam?

Nie zastanawiaj się, Moss.

Czy to piękne dziewczyny chodzą po trupach?

Wiedzielibyśmy. Jakimś cudem. Na poziomie intuicji. Gdyby dziewczyna już nie dychała.

Myślisz, że chce nas oszachrować.

Ma szachrajstwo we krwi. Jej matka była identyczna. Podła do szpiku.

A jaka wygadana, ta Cynthia. Jak wróciłem bez oka – wiesz, z Tangeru? Tylko na mnie spojrzała, po wszystkim, co wycierpiałem, i mówi: „A ty myślisz, że, kurwa, kto jesteś – Thom Yorke?”

Nie kojarzę gościa. Albo czekaj... To nie był ten kulawy chłopak z Summerhill?

To koleś z zespołu Radiohead, Charlie.

Nigdy ich nie lubiłem. Parszywe jęczybuły. A wiesz, ile te chujki zarabiają? Powinni zasuwać na ukulele na ulicy.

Ten gość zezuje jednym okiem.

Nieważne, ile zarabia. Z tym wyciem jak zarzynana koza? Powinien zasuwać na bębenku.

Myślisz, że byłem dzięki temu przystojniejszy, Charlie? Na swój specyficzny sposób? Z tym pojebanym okiem?

Dodało ci trochę charakteru, Moss.

Znaczy, że wcześniej go nie miałem?

Za młodu wyglądałeś dość pospolicie, Maurice, mówiąc zupełnie szczerze.

To trzeba mu przyznać. Wiekowi. Dodaje człowiekowi fasonu. Na swój sposób.

To z desperacji ten fason. U jegomościów w pewnym wieku. Ale wiesz, jaka jest prawda, Moss? Że mimo całego naszego stękania, jęczenia, jakbyśmy wpadli w środek koncertu Radiohead w jakiś deszczowy wtorek, w rzeczywistości jesteśmy w kwiecie wieku. Ty i ja? Jesteśmy jak trzecia po południu w letni dzionek.

Ciężko mi się tym cieszyć, Charlie. Mam pewne poczucie winy. Nadal.

To jasne, że je masz. O mało dziewczyny nie zabiłeś.

Ciężko do tego wracać. Nawet teraz.

Wiem, Maurice. Przepraszam.

*

Spod kamiennego nabrzeża portu Algeciras sączy się wilgotna mgła wspomnień – to jedno z miejsc na świecie, które stworzono do porządnego uzalania się nad sobą.

Mój ojciec.

Charlie Redmond uśmiecha się ponuro. Patrzy w wysokie okna. Kręci głową w zadumie.

Zdaje mi się, że był najbledszym facetem w Corku – mówi.

A to nie lada wyczyn – stwierdza Maurice.

Powinien był zostać księdzem. W ogóle się nie mnożyć. Oszczędziłby światu całej kupy zmartwień. Wierzył w Boga i skromne przeznaczenie. Wierzył, że ziemia jest łez padołem, a my odwiedzamy ją jedynie na chwilę.

Możliwe, że wcale nieźle obstawiał, Charlie.

Odszedł na emeryturę w piątek. We wtorek dostał rozległego wylewu. W wieku lat sześćdziesięciu pięciu dał się zakopać w rozmokłej glinie. Facet, co się przez całe życie do pracy nawet raz nie spóźnił.

Stare kości. Sądząc po tym, ile wyciągnął mój nieszczęsny tato.

To były dla ciebie trudne czasy, Maurice. Ile miałeś lat? Osiemnaście? Dziewiętnaście?

Stało się to po przeprowadzce do nowego mieszkania. College Road. Koło katedry Świętego Findbara. Ojca coś gryzło od środka. Siadał na leżaku przed wejściem i puszczał płyty Hanka Williamsa. Hank nigdy niczego dobrego nie wróżył. Było wtedy lato, koło jedenastej wieczorem, wciąż jeszcze nie za ciemno. Stary na leżaku. Matka wynosi mu filiżanki mocno zaparzonej herbaty. Hank daje na całego z głośników przenośnego gramofonu Sanyo Music Centre. Matka działała według zasady, że na nerwy to tylko mocna herbata. Ojciec na tamtym etapie już nie pracował. Zostawił port w Corku.

Jak praca się kończy – komentuje Charlie – to ją od siebie odganasz.

Siedział na zasiłku dla niepełnosprawnych. Sypiał tyle, co pchełka. Komunikował się z jakimiś osobliwymi siłami, Charlie. Wierzę w to, kurwa, absolutnie. Był jak... odbiornik. Dla kurewsko dziwacznych transmisji. Matka maszerowała do niego ze smutną buźką i z kubkiem mocnej herbaty. Z tekstów Hanka obficie sączyła się samotność. Z Abbey Tavern naprzeciwko wychodzili podpici klienci, bez jednego zmartwienia. Środek lata, wciąż jasno, gdy wybijała jedenasta, a matka już wyczekiwała przeciągu. „Ani się obejrzymy – mawiała – aż zacnie wieczorami ciągnąć, nadciągnie do nas”. Żeby musiał tego słuchać biedny facet, który, odkąd wyjrzał na świat, pogrążony był w niebosko głębokiej depresji. Ale on dobrze wiedział, że bez niej ssałby kciuki w pokoju bez klamek.

Małżeństwo – odzywa się Charlie. – Piękne i okrutne.

Panikowanie z mojego powodu trzymało ich przy życiu. Byłem dla nich błogosławieństwem. Panika napełniała ich chęcią życia. „Maurice skończy w tutejszym areszcie. Co z nim wtedy będzie, Noel?” „Może niech jedzie do Anglii”. „A będzie mu tam lepiej, Noelku?” „Jak nie pojedzie, to już dla niego więzienną pryczę grzeją tutaj w Corku, Ciss”. Mój ojciec. Na leżaku o północy, a w tle żałośnie zawodzi pod niebiosa Hank Williams senior.

Maurice widzi to bardzo wyraźnie, nawet teraz: blada, letnia noc, z Abbey Tavern wciąż wytaczają się późni goście. Ojciec, polegając przy drzwiach na swoim pasiastym leżaku, dociera do kresu, a pod okapem katedry o północy kłębią się nietoperze.

Wydaje mi się, że tylko dwa razy w całym życiu porozmawialiśmy od serca. Ja i ojciec. Jedna taka rozmowa trafiła się tej pierwszej zimy na College Road. Siedzieliśmy przed telewizorem w niedzielę po południu, dawali mecz piłkarski ze stadionu Highbury, grudniowa niedziela to była.

Na boisku płaty śniegu. Gracze w zimowym oświetleniu wyglądają na niebieskich. Niedzielne popołudnie w bloku: woń pieczonego mięsa, wszędzie pełno dzieci, słychać ryki.

Charlie, ojciec patrzy na mnie. Pyta: „Co ty zamierzasz ze sobą zrobić, Moss?”. I w tamtym momencie widziałem, że odchodzi, widziałem, że zmierza w stronę domu. „Właściwie nie wiem, tato – odparłem. – Może pojedę do Anglii”

Grał Arsenal z Manchester United. Wściekła, roziskrzona rozgrywka. Ojciec pochylił się i podciągnął skarpety. Nie odrywali wzroku od meczu i pilnowali, żeby nie patrzeć w swoją stronę.

Powiedział: „Może to i dobrze, Moss. Co nie znaczy, że w Anglii będzie łatwo. Ani trochę. Opowiadałem ci kiedyś o moim ciężkim czasie w Wolverhampton? To było jeszcze zanim poznałem twoją matkę. Wolverhampton było beznadziejne, Moss. Czarni żywili się psim żarciem. Noga mi się powinęła tak, że nie wiedziałem, gdzie góra, gdzie dół”

O wpół do czwartej światło wpadające z zewnątrz było blade i nieprzyjemne. Znajomy głos komentatora kołł popołudnie niczym narkotyki. Świat napierał z każdej strony, a równocześnie się rozwierał – zupełnie jakby oddychał – Maurice Hearne miał zaś wówczas dziewiętnaście lat. Niespodziewanie z londyńskiego nieba do bramki stadionu Highbury cudem wpadła piłka: wolej strzelony na czuja z dwudziestu siedmiu metrów. Ojciec Maurice'a bez zawahania wstał na równe nogi i zaczął klaskać. Chłopak uśmiechał się, ale gest nie podobał mu się ani trochę. Rodzic znów usiadł, krzywiąc się przy tym. Maurice już wtedy zwracał uwagę na własne nastroje i przemiany, i wiedział, że to samo w sobie nie jest dobrym znakiem. Wewnętrzne ukłucie związane z brakiem rodzeństwa nie do końca dawało się opisać słowami. Niespodziewanie z zimowego nieba spadły nań słowa ojca, które trafiły w sedno sprawy:

W ogóle nie jesteś podobny do moich, Maurice. Jesteś jej plemię.

Chłopak dostrzegł w tym stwierdzeniu szczodrość i chęć pocieszenia – wcale go nie przekonały.

I prawie nic na tym nie tracisz, Moss.

I wiesz co, Charlie? Kilka tygodni później, nim całkiem minęło Boże Narodzenie, facet znów trafił na oddział zamknięty.

Przykre, Maurice.

Szara jak dym cegła. Wiktoriański relik. Wariatkowo. Zielony korytarz, przez który przetoczyły się trzy wieki bólu i równie dużo niedoli. Maurice'a nie wpuszczono na sam oddział. Zaprowadzono go do pokoju odwiedzin, który wyglądał jak sala przesłuchań. Wilgoć i odłóżący tynk, głęboka nienawiść irlandzkiego miasta. Czekał, paląc papierosa.

Po pewnym czasie postawny pielęgniarz przyprowadził powłóczęgo nogami ojca. Mężczyzna rozplakał się na widok syna. Jego twarz pokrywały małe zadraśnięcia w miejscach, gdzie niedokładnie go ogolono.

Oj, tato, nie płacz, dobra?

Sięgnął przez stolik, żeby położyć ojcu dłoń na ramieniu – Jezu, kurwa, Chryste – ale coś kazało mu się zatrzymać.

(Coś? Ziemia, powietrze, niebo, nasz Kościół, nasze morze, nasza krew).

Kto ci dał, kurwa, te laczki?

Wielka Stopa – odpowiedział ojciec.

Pielęgniarz przyniósł kubek herbaty oraz krem angielski. Mężczyzna jadł pospiesznie i bez smaku, jakby to robił za karę, a herbatę wysiorbał w paru chłopskich haustach. Był z niego wiejski chłopak, któremu pomieszało obwody w głowie. Powinno się go trzymać z dala od jakiegokolwiek miasta.

Powiem ci, mama cię odwiedzi dziś wieczorem.

Na ścianie wisiał gigantyczny zegar, który rozciągał chwile bez litości. Maurice mógłby zapytać ojca, jak się miewa, ale coś mu na to nie pozwalało. Nie czuł żadnego lęku na widok ludzkich zgliszczy po drugiej stronie stołu. Ojciec słyszał już wszelkie pod słońcem wyrazy niepokoju, a mimo to wciąż był w stanie siorbać krem angielski.

Sypiasz coś, tato?

A tak, sypiam.

Myślę, że o mnie się nie musisz więcej martwić, tato. Wiesz to, prawda?

Mężczyzna nie był w stanie się odezwać, ale pokiwał głową.

Ja bym tak nie dał rady – powiedział Maurice. – Jesteś ode mnie silniejszy.

W towarzystwie ojca i pielęgniarza Maurice wrócił korytarzem, którym przyszedł. W popołudniowym ruchu. Wśród uwiędłych biedaków w poplamionych piżamach. Płaks i śmieszków. Błdych, obwisłych dup wystających spod szpitalnych koszul. Spojrzeń jak u kosmitów. Ktokolwiek golił tych biednych skurwysynów, miał niesamowitą trzęsawkę.

Dwa dni po wyjściu ze szpitala ojciec podciął sobie nadgarstki w wannie. Do drzwi łazienki przyczepił taśmą kartkę jako sygnał dla matki, żeby nie wchodziła. „Zadzwoń po pogotowie”

I tak to w życiu jest, Charlie.

Najpierw zabierają ci kasę, potem ubranie.

*

Statki czekają w kolejce i właśnie przybija kolejny: wysiadają z niego dzieciaki z dredami, rozwalonymi plecakami, spieczoną skórą, ale Dilly

Hearne z nimi nie ma. W terminalu promowym w Algeciras nastąpiło późne popołudnie. Maurice Hearne wzdryga się i gwałtownie sięga ręką ku górnej części pleców, na twarzy maluje mu się strach...

Miałeś pan kiedyś jakby gwiżdżący ból w lewym płucu, panie Redmond?

Czy to takie złowieszcze rwanie, jakiego pan wcześniej nie czuł, panie Hearne?

Tak jest.

Poczekaj, jeszcze się z nim zaprzyjaźnisz.

Maurice nachyliła się do przyjaciela, odzywa się cicho i strachliwie.

Jebany Chryste w niebiesiech, ja mam pięćdziesiąt jeden lat, Charlie.

Żyłeś pełną gębą, Maurice. Nieważne, co będzie. Wyciągnąłeś z życia więcej niż ja.

To prawda.

Tragiczny przypadek ze mnie.

Oj, oj.

Charlie Redmond wycisnąłby łezkę ze szklanego oka. Przecież w oczach matki byłem jasnookim chłopczykiem. Jak aniołek. Mógłbym do świętych obrazków pozować. Rodzicielka myślała, że trzyma w dłoniach Boże Dziecię. A wiedziałeś, Maurice, że stepowałem jako dziecko?

Tego nie wiedziałem.

Zgarniałem za to medale. Mógłbym nimi obwiesić całą swoją pierś i jeszcze pół pleców. Matka płakała z dumy, aż łzy ciekły po jej drobnej zuchwie. Prawie mdlała z emocji. Póki nie spadła plecami w dół z balkonu w Rosscarbery po wypiciu trzech czwartych butelki ginu z Corku. Co też odcisnęło na mnie swoje piętno. Ale moim głównym problemem była energia.

Co ty, kurwa, nie powiesz?

W moim przypadku jej nadmiar. Musiała szukać ujścia. I wiesz, gdzie je znalazła.

Energia to trudna sprawa, Charlie. Dla mężczyzn. Wiesz, że nawet porzuciłem samogwałt? Ze względów energetycznych.

Nie zaszkodzi ci. Ramię ci mało z barku nie wyskoczyło, Moss.

Zastosowałem zupełną odstawkę. Całkiem zakręciłem zawór. Myśląc, że jakoś zregeneruje się moja esencja.

I jak ci z tym było?

Strułem się. Chodziłem w tę i we w tę z oczami jak na szypułkach. Każdej kobiecie od lat siedemnastu do siedemdziesięciu rzucałem zbieralne spojrzenia. Ślinałem się jak pies, Charlie.

Z samogwałtu nie można tak po prostu zrezygnować, Maurice. Może stanowić niezbędny wentyl bezpieczeństwa dla jegomości w każdym wieku.

Aż dziwne, że nikt o tym w dorosłym życiu nie wspomina. A wszyscy trzepią.

Pełną parą. Ale co w tym dziwnego, że o tym milczymy? Czego byś oczekiwał? Analizy technik?

Na tym etapie raczej nie zmienię przyzwyczajeń, Charlie. Jeśli mam być szczerzy.

Czyli znów to robisz?

Oj, Boziu, jeszcze jak.

Matka Pięć i jej pięć córek.

Nie zawiodły mnie ani razu.

*

Znów zapada zmrok: zasłona ciemności okrywa cieśninę niczym powolny przypływ. Statki ponownie wypłyną dziś w nocy w morze, ale jeszcze nie teraz.

W terminalowym bistro słychać jęk wiatraków, w którym pobrzmiewa coś szklanego czy kruchego, a za tło robi mu szemranie hiszpańskich i marokańskich głosów.

Maurice i Charlie zajmują wysokie stołki przy barze i w milczącym porozumieniu postanawiają zamówić kolejną brandy.

Jak to jest po hiszpańsku, Charlie? Ta brandy.

Hennessy – odpowiada Charlie.

Może to nas z powrotem nastroi?

Całkiem możliwe, Maurice.

Prosi o dwa kieliszki Hennessy. W chwili, gdy są nalewane, czas zdaje się jaśnieć i migotać, przeszłość traci stabilność. Zmienia się i układa na nowo.

Obracając się z wolna na stołku, Maurice Hearne zostaje przeniesiony w czasie o prawie dwie dekady wstecz, w okres, któremu towarzyszyły nadzwyczajne niepokoje i który prawie zakończył życie jego córki.

Rozdział szósty

ZAKŁĘCIE

W okolicy Berehaven i w Sewilli, i w Maladze,
i znów w okolicy Berehaven, grudzień 1999 roku

To z pogrążonego w cieniu okresu jej życia. Miała cztery lata. Końcówka stulecia sprawiała wrażenie takiego dziwnego czasu. Jakby każdy się żegnał. Wczesna zima była jasna i mroźna. Mieszkali za Berehaven. Na wzgórzu żyło się surowo. Maurice znajdował się w ciężkim stanie. Cały niespokojny i jakby jasnowidzący – i chciał jebać wszystko wokół.

*

Przebywał głównie w wolnym pokoju. On i Cynthia przechodzili gorszy okres. Rankami zaglądał do niej, kiedy spała. Jak ona ruszała ustami. Musiała śnić wściekłe koszmary. Zaglądał do Dilly, która na wpół spała, a kiedy zwracała się w jego stronę, mówił do niej, a z jego ust wychodziły zwariowane rzeczy. Powiedział jej, że ma we włosach maciupeńkie elfy: że wiszą na każdym pasemku, nieważkie. Powiedział: „Będą cię chronić, jeśli mnie stanie się coś złego”

Miał pewność, że nadchodzą złe czasy.

*

Szereg dziewięciu domów nazwali Ard na Croí. Wznosił się nad miasteczkiem, nad lodowatym portem. Nie byli w stanie sprzedać domów – wciąż trwało pasmo nieszczęść. W całym zespole zabudowy nie było nikogo poza ich trójką. Mieszkali w ostatnim budynku, pod numerem dziewięć. Rankami Maurice siadał, pijąc kawę z kubka z Tangeru, i patrzył na stary kopczyk, który na jego oczach oddychał. Był tego pewien. Panowała jasna, barwna zima, a na wzgórzu nie rosły żadne drzewa, więc nawet przy ciężkiej niepogodzie na tle nagich skał pojawiały się ptaki: jasne sznury zęb przecinające szarość, błyskające niczym klejnoty złotem i czerwienią – piękny widok, Maurice nie potrafił go już znieść. Jego usta formułowały słowa, a on nie wiedział, skąd się brały. Niebo zaczął widzieć jako swoistą membranę. Własna głowa zdawała się wielkości planety, niebo zaś stanowiło jedynie osłonę dla pulsującego mózgu – zbyt cienką. Mógł w każdej chwili eksplodować niczym gwiazda.

*

Nie zaznał spokoju od miesięcy, długich niczym cała długa zima. O zachodzie słońca przeżywał histerię. Przeżywał napady wściekłej zazdrości. Rankiem, gdy pojawiały się promienie słońca, światło na chwilę przynosiło ulgę i na pół godziny – może – mężczyzna stawał się znośny. Nocą w każdym jęku morza słyszał pomówienia, był pewien, że Cynthia pieprzy się na boku. Łykał każdą zwariowaną wizję, jaką podsuwał mu chory mózg. Ze szczegółami widział każdą scenę. Zamieszany był w nie każdy mężczyzna, z którym rozmawiała. Maurice zaczął dokładnie śledzić jej rozkład dnia. Wychodził, po czym wracał, próbując ją przyłapać. Parkował na wzniesieniu i w mroku obserwował dom, z zapuszczonym silnikiem i sercem walącym w piersi. Odkąd się wprowadzili, nie przespał ani jednej nocy. Nocą leżał i słuchał szeptów wiatru, deszczu. A morze – jakże ono jęczało!

*

Zachody słońca były monumentalne. Jeśli akurat nie było kłótni, rodzina wyjeżdżała drogą na skraj półwyspu i patrzyła, jak niebo wypełnia się

krwią, i żegnała dzień, a Dilly machała łapką zniżającemu się słońcu, kiedy zaś ognista kula niknęła w ciemnym morzu, mówiła:

pa, pa, do zobaczenia, powodzenia

dziwnym głosem staruszki, który od niedawna przybierała – i te wypadki przynosiły właściwie wielką ulgę, bo oto odliczaliśmy wszyscy w samochodzie – raz, dwa, trzy – cali i, kurwa, zdrowi.

*

Zima przyniosła jasne, wolno mijające dni. Odstawili większość narkotyków. Godziny stały się żmudne i ociążałe, wlokły się naprzód jak stare konie. Maurice przeleciał w Bantry szuszwolkę w nadziei, że pozbędzie się wściekłości – wściekłość narosła. Gdy wieczorami telefonował do matki, pytała: „Jak tam?” – i było to pytanie z podtekstem. „Nie masz się czasem niezbyt dobrze, Moss?” Odpowiadał, że trudno powiedzieć.

*

Pewnej niedzieli w samochodzie oddał się czynności seksualnej z barmanką z Berehaven, myśląc, że to mu zresetuje mózg. Ni chuja nie zresetowało mu to mózgu. Naszła go natomiast dziwna wizja.

*

Była to wizja Guliwera przyszpilonego do ziemi – skóra rozciągnięta tysiącem ostrych szarpnięć i przymocowana do podłoża przez żonę, dziecko, matkę, martwego ojca, tamten zielony korytarz, zbrodnie i uzależnienia, wrogów i, co gorsza, przyjaciół, dłużników, bezsenne noce, własną gwałtowność, zazdrość, nienawiść, popierdolone pożądanie, pragnienia, osiem pustych domów, jego ofiary, nienazwane lęki i walenie serca w mroku, i wszystkie wędrujące nocą zagrożenia, i wszystkie duchy, i to, czego się domagały, i miejsca, które odwiedził

w życiu i do których tęsknił, i wielkie połączenie ciszy na łysych jak kość wzniesieniach (co mieszka w tych pordolonych skałach?), i samotność, której tak strasznie pragnął, i spokój, którego tak potrzebował, i miłość, której potrzebował, a wciąż był jeszcze młody, w najogólniejszym sensie, naprawdę bardzo młody – ale tak, leżał przyszpilony do ziemi, jak cholera.

Boże, jak bardzo chciał odejść.

*

Łodzie ruszyły w morze. Trawlery kołysały pokryte rdzą cielska w zimowym słońcu. Port zawsze usługiwał sam sobie. Maurice trwał w dziwnym, hybrydowym stanie. Zastanawiał się, czy nie wjechać samochodem do oceanu.

Nocami, jeśli akurat został wpuszczony do łóżka, w półświecie jarzeniowych lamp zza okna, u boku żony, delikatnie obrysowywał palcami tatuaż na jej cycku – liczbę „13”. Pragnął zadać jej ból. Pragnął poświęcić jej resztę swojego życia. Rozkopali starą ziemię, której nie należało budzić.

Zaglądał do Dilly, śpiącej i nasiąkającej wczesnoporannym mrokiem, i myślał o pożegnaniu – z własnym dzieckiem – i jak by to, kurwa, było.

*

Tej zimy zazdrość drążyła Maurice'a jak choroba, lecz czasem ustępowała i – choćby przez kilka godzin – mógł żyć własnym życiem, odetchnąć, jak się zdało, pełną piersią, zasilić życie energią prosto z łona, która go napełniała w jednym tylko celu. Znał kobiety z Berehaven i Bantry. Przynosił im podarki w postaci kokainy i olejku haszyszowego. Mówił do nich ściszym głosem, nie opowiadał dowcipów i odczytywał ich seksualne myśli, zanim zdążyły dotrzeć do ust. Nastawała pora

beznadziejnego pożądanía. Nasienie chciało być rozsiane, rozprowadzone, i to szybko. Nasienie niosło też nowinę o nadejściu śmierci, być może nawet rychłym.

*

Oczywiście chciał zostać przyłapaný na swoich gierkach i spalony żywcem w ramach kary, i żeby jego prochy rozsypano na cztery wiatry, w morzu.

Poza tym, skoro ruchać kogoś innego, to najlepiej każdą osobę w zasięgu wzroku, każdą istotę na dwóch nogach, z płucami, zdolnościami poznawczymi i przeciwstawnymi kciukami.

Taka logika nim kierowała.

*

Lecz mimo wszystko przychodziły noce łaski, kiedy Maurice i Cynthia byli znów sobą, znów w swoich ciałach, gdy mogli siedzieć sam na sam w milczeniu przez trzy szlachetne godziny, wpatrując się w płomienie. A później spokojnie, skromnie pieprzyć się na dywanie.

A zima była jasna i mroźna.

Gdybyś tylko mógł się wyspać – mówiła kobieta – to może by ci przeszło.

Stulecie zdmuchiwało swoje ostatnie, piękne i krótkie dni niczym świeczki.

W głębokiej melancholii ona i on siedzieli na podłodze, przy akompaniamencie westchnień, jakie w noc posyłało czarne wzgórze, i chwilę rozmawiali o pieniądzach, które im zostały, i o tych, które przepadły, co w dziwny sposób przynosiło ukojenie.

Lecz w tym powiewie melancholii pokojem wstrząsnął przykry dreszcz i Cynthia zwróciła się do Maurice'a – sączyli wtedy białą rioję, która zdążyła już ogrzać się w kieliszkach – ze stwierdzeniem, że wywęszyła jego wyskoki.

Czuję to w twojej pierdolonej gębie – powiedziała.

*

Za jaką pizdę ty mnie bierzesz, Maurice? Za jaką jebaną idiotkę, co nie umiałyby tego wywęszyć? Mam nie czuć, kiedy przychodzisz z tym do mnie do domu, prosto od którejkolwiek zdziry, z którą akurat byłeś? Na kogo dzisiaj padło? Kogo ruchałeś? Powiedz mi, że to nie ta mała, rybiooka cipa z baru Haven.

Cynthio – odparł – posłuchaj.

Ta jej jebana chuda dupa! Wiesz, co się stanie? Złapiesz jedenaście rodzajów francy i wszystkie przyniesiesz tu, do domu! Bo ona się nabija na wszystko, co zlezie z pierdolonej łodzi! Chuj ci odpadnie, Maurice! I może to lepiej! Ale że później tu przychodzisz, z tymi sarnimi oczętami? Że tu przychodzisz ze swoim „gdzie byłaś, Cynthio”? Ponieważ twój popierdolony mózg nie może znieść myśli, że jesteś z kimś, kogo ktoś inny chce przelecieć, i zjarłeś moje życie! Zjarłeś je! Zostałam sama w łóżku, nie wiedząc, czy w ogóle żyjesz! W pierdolonym Tangerze! W jebanej Maladze! Zostałam sama, Maurice!

*

Został tak długo, jak długo mógł to znieść, a później jeszcze trochę, następnie zaś odszedł. W środku nocy. Odszedł wiedziony chwilowym oziębieniem serca i nawet się nad tym nie zastanawiał, szczerze mówiąc. Po prostu wsiadł do samochodu i jechał, aż skończyła mu się droga, następnie wspiął się w niebo. Bez pożegnania.

*

Kiedy znów stał się sobą, tym razem sam, znajdował się w białej Sewilli.

Była zimowa noc.

Siedział przez chwilę przy cokole pomnika na placu. Nad jego głową stała wykuta w kamieniu podobizna jakiegoś starego bojowego wygi. Wokół tłoczyła się grupka japońskich dzieci. Uliczny grajek śpiewał płacziwym głosem balladę o mrocznej cygańskiej miłości. Maurice strzelał palcami – nie w rytm piosenki, ale po to, by przekonać się, że żyje.

Przespacerował się po placu, mijając najpierw jedną, później drugą budkę telefoniczną. Gdyby zadzwonił i usłyszał głos żony albo córki, nie miałby innego wyboru, jak tylko wrócić, a tego zrobić nie mógł.

Z powrotem, w pensjonacie, trząst się, gdy leżał na łóżku w pokoju wychodzącym na patio, na którym szeptały paprocie. Było zimno jak na księżycu. Tak zimno, że Maurice czuł przepływającą w żyłach krew. Gdy wchodził, musiał wyglądać prawie jak nieboszczyk, ponieważ właścicielka zapukała do drzwi, niewzywana, żeby wręczyć mu pękata pomarańczę i cztery paracetamole. Życzyła mu szybkiej poprawy samopoczucia. Nigdy nie widział równie doskonałej pomarańczy. Jarzyła się niczym nowa miłość. Dręczył go taki ból, że ledwie był w stanie coś wypić.

Hiszpańskie noce wypełniał wówczas smutek. Maurice dopił zawartość butelki, którą miał przed sobą, i położył się pod cienką kołdrą twardego jak kość, jednoosobowego łóżka. Na nocnej szafce leżał przewodnik – mężczyzna zaczął go czytać, żeby zająć czymś myśli, delikatnymi palcami przewracał strony i dowiedział się, że w tysiąc trzydziestym pierwszym roku niejaki Abu al-Kasim ogłosił niepodległość miasta od Kalifatu Kordoby i odtąd znany był jako król Sewilli, Abbad I.

Słowa zacięły się i jeszcze raz przewinęły przez usta leżącego w lodowatym pokoju Maurice'a...

k r ó l – S e w i l l i , k r ó l – S e w i l l i

...nawet kiedy już odłożył książkę i zgasił światło, one dalej wybrzmiewały...

k r ó l – S e w i l l i , k r ó l – S e w i l l i

...właściwie to składały się w swoisty rytm...

k r ó l – S e w i l l i , k r ó l – S e w i l l i

...na swój sposób senny i uspokajający. Wydawało się możliwe, że nowa rzeczywistość zdoła się utrzymać.

*

Czy potrafił pozbyć się wszystkich sentymentów, które przypominały haki wbite w miękkie części ciała? Małe leśne stworzonko obróciło się i pokazało miękki biały brzuszek – taki był Maurice Hearne pośród zimowej nocy. Koniecznie muszę wyłączyć ten pierdolony mózg...

król – Sewilli, król – Sewilli

...wyłączyć mózg i postarać się zapomnieć, że wypaliłem własną rodzinę do szczytu.

*

Każdy narkotyk ma płeć. Kokaina jest męska. Heroina dziewczęca. Z tą dziewczyną sypiali oboje. Sam jeden w zimnym pensjonacie, Maurice w ciszy myślał o Cynthii i wspólnie spędzonym czasie. Przypominał sobie wszystkie szczegóły. Kiedy na początku zamieszkali razem w mieszkaniu w St. Luke's Cross – jeszcze nawet przed Dilly – rozpościerał się stamtąd widok na Summerhill, na stację Kent i jej bocznice, na drugą stronę rzeki i położone tam doki. Wieczorami siadywali na kanapie i palili trawkę – czasem też trochę heroiny – słuchając płyt, patrzyli na światła i panoramę miasta roztaczającą się za oknem niczym amfiteatr. Octowa nuta palącej się na folii hery pachniała intensywniej niż seks. Wypluł pestkę zielonej oliwki na jej odsłonięte udo. Chowiała w sobie niedopowiedzenia – pokłady skrytości – i to właśnie jej tajemniczość go zniewoliła. Łączyła ich telepatia. W łóżku przemawiali do siebie ciemnymi słowami. Grozili sobie przemocą i gryźli się. Większość nocy i dni spędzali razem. Ze swojego gniazda nad St. Luke's Cross widzieli, jak zima zakrada się do miasta, chcąc zadusić je gęstymi mgłami i szarością, aż cały Cork zapadnie w narkotyczny sen. Widok świateł przepalających opary znad rzeki o zmroku poruszał Maurice'a do głębi.

*

Było zbyt zimno, aby po prostu leżeć. Wstał i ruszył przez noc, przez ulice. Przemierzył zakręty dzielnicy żydowskiej pod bułatem księżyca i odszukał jedyny bar, który całą noc pozostawał otwarty. Usiadł przy wykafelkowanym kontuarze i zamówił biały rum. Barman obsłużył go tak, jakby go wybudzono z koszmaru. W lokalu siedziało stadko wczesnoporannych pracowników zbrojących się do starcia z nadchodzącym dniem – kilku, na oko, policjantów i grupa krępych,

krótkonogich listonoszy pijących kawę z brandy i ze skondensowanym mlekiem. Maurice siorbnął swój rum, co wydobyło z jego trzewi kwasowy posmak zdrady. Lecz jego dłoń musiała nadal przerzucać kartki nocy.

Nad kontuarem wisiał automat telefoniczny. Mężczyzna znał numer na pamięć i wiedział, że kobieta po drugiej stronie odbierze o wpół do szóstej rano, ponieważ zamieszkująca wzgórze nad Malagą Karima sypiała jak lisica. Natychmiast roześmiała się na dźwięk udręki w jego głosie.

Oj, Maurice – powiedziała – co tym razem zrobiłeś? Zabiłeś kogoś?

Powiedziała, że musi wysłać list. Nie dzwonić, napisać. Zamówił kolejny kieliszek rumu. Jego życie układało się gdzieś poza nim. Gdzieś obok.

*

Cynthio – napisał – przykro mi, że do tego doszło. Czuję, że nie byłbym teraz zdrowy dla Ciebie ani dla Dilly. Nie jest ze mną w porządku. Tylko zatrujęm dom. Ale radzę tu sobie i jestem bezpieczny. Niedługo się odezwę. Nic się nie stało. Po prostu przygniotły mnie te wszystkie rzeczy. Muszę pobyć sam. Chciałbym Was obie mocno wycałować. Ale bardzo się wstydzę. Zrobiłem dużo złego.

*

Był to jeden z tych starych andaluzyjskich barów, które nie zamykały się od lat. Nad ranem rozbrzmiewał ponurą kakofonią. Zspanemu barmanowi latało oko nad stronami o piłce nożnej w gazecie. Biła od niego aura wielogodzinnej zmiany. Na bruku zaterkotała ciężarówka. Co może wiedzieć czterolatka? Jak szybko o nim zapomni?

Karima powiedziała Maurice'owi, że powinien zatrzymać się u niej, odpocząć i wydobrzeć. Niedorzeczności jego życia paradowały przed wykafelkowanym kontuarem, ciesząc gęby niby minstrele i strojąc sobie żarty. Maurice pochodził z sięgającego całe wieki wstecz rodu pomyleńców. Jego przodkowie od lat wpełzali za skórę nocy i pod nią drżeli. Znajdowano ich roztrzęsionych na skraju mokrych pól Irlandii. Znajdowano ich czołgających się po skałach i w morskich jaskiniach. Na szpitalnych oddziałach, w barach, w głębi lasu.

Poranek nadszedł niespiesznie.

*

Minął tydzień. Maurice wybrał się na spacer po wzgórzach nad Malagą. Odrzutowiec z bazy wojskowej z hukiem wystrzelił w niebo. Wymarły hotel stał zamknięty na cztery spusty, okna zaś miał zabite. Psie truchło przegniło do suchej kości. Daleko w dole łamało się błękitne, rozedrgane morze. Idąc, mężczyzna poruszał ustami – znów mówił do Dilly i Cynthii, szaleńczo i błagalnie.

Sprowadzało się to do pytania: czy nie lepiej wam beze mnie?

Na końcu drogi czekała Karima w swoim niebieskim japońskim autku. Zawsze jeździła jebanymi suszarkami. Uśmiechnęła się pokrzywionymi zębami, pięknymi oczami. Wstrzyknij mi działkę między palce stóp i powiedz, że mnie kochasz.

Zamiast tego pojechali do baru w górskiej wiosce. Skubali *ración* tortilli, popijając cortado i whiskey Jameson. Wysoko w rogu grał cicho telewizor. Barman przełączył na kanał z programem ezoterycznym. Czarne oczy mistyczki wpatrywały się prosto w kamerę. Znowu się zaczyna – pomyślał Maurice Hearne. Program był niskobudżetowy, kręcony na prowincji: w chwili przepowiadania przyszłości za plecami wróżbitki przeszła kobieta – mogła być jej siostrą – niosąc foliówki

z Lidla. Pod mistyczką wyświetlił się numer do indywidualnych konsultacji. Maurice sięgnął po długopis leżący w rogu kontuaru i zanotował. Karima się roześmiała. Barman zgłosił telewizor.

*

Tego wieczora Maurice zadzwonił do wróżbitki. Powiedział, że nie zna języka, ale usłyszał, że to nie problem. Podał obsłudze dane swojej karty i został przełączony do kobiety. Powolną, staranną angielszczyzną mistyczka oznajmiła, że słyszy kłopoty w jego głosie. Brzmiał żółto, chodziło o niepokój. Odparł, że tak, nie miewa się najlepiej. „Nie żartuj” – powiedziała. Wyjaśnił, że zrobił coś strasznego, a najgorsze było to, że być może postąpił właściwie. Dodał, że czuje się kierowany w określoną stronę przez jakąś zewnętrzną siłę. I że uczucie to nie zawsze bywa przykre. Odpowiedziała mu, że może poruszać nim Bóg, może wróg Boga, a może też wchodzić w grę *encantamiento* – nie znała na to angielskiego słowa, ale Irlandczyk się domyślił: zaklęcie. Kobieta stwierdziła, że nie wiadomo, czy to biała, czy raczej czarna magia. Możliwe, że nigdy nie uda się odgadnąć. Poprosiła, żeby przez chwilę milczał i tylko oddychał do słuchawki, jak najwolniej. W ten sposób dał wyraz swojej najgłębszej pustce. Po kilku minutach mistyczka powiedziała:

Jakie jest pierwsze słowo, które przychodzi ci do głowy?

Ummera – odparł.

*

Karima mieszkała pośród nadmorskich sosen w górach rozpościerających się nad miastem i morzem. Jakaś dziwna sowa krążyła nocą w górze, skrzecząc żałośnie pośród drzew. W dole światła Malagi płonęły zimnym ogniem. Karima złożyła swoje chude kości w wannie, a Maurice wstrzyknął jej działkę między palce stopy. Jego dłoń spoczywała

na szczupłej, brązowej łydce kobiety – kiedy napinała mięśnie, odlatywała, zamykała brązowe oczy, wykrzywione usta wiotczały.

Kocham cię – powiedział.

Odpierdol się – odparła.

Gładził jej łydkę, a ona, z na wpół otwartym okiem, wydała z siebie pomruk irytacji i lekceważenia. Prawie wystarczyło jej siły, by śmiechem odpędzić jego rękę. Umieeli się porozumiewać bez słów.

Z czego ja, kurwa, jestem zrobiony, Karimo?

Z tego samego – zdawała się sugerować – co każda inna osoba: ze wszystkich wyszeptanych nocą słów, wszystkich złamanych obietnic.

Wojskowy odrzutowiec znów przeciął niebo.

Sosny zsunęły się, zatrzęsły, zaszeleściły koronami, oburzona sowa zahukała tym głośniej.

W dole światła miasta falowały fertycznie.

Był tydzień przed Bożym Narodzeniem. Maurice pomógł Karimie się wysuszyć i razem z nią położył się na kanapie przy oknie wychodzącym na miasto w dole, po chwili zaś kobieta odzyskała mowę. Kazała mu zapomnieć o łodziach z haszem. Niedługo to nie one będą przynosić pieniądze.

*

Kiedy kładę tam rękę – powiedział – masz lekko... Powiedziałbym, że masz spłoszone oczy. Tak jakby trochę... zaskoczone?

Nic mnie nie zaskakuje – odparła. – Byłam tam dotykana, odkąd skończyłam dziewięć lat.

Jezu Chryste, Karimo. Od razu musisz wyskakiwać z takim mrokiem?

To żaden mrok – stwierdziła. – Zwyczajne życie.

Zapaliła papierosa. Dym wydmuchnęła w twarz Maurice'a. Stuknęła kieliszkiem o jego kieliszek i napili się przejrzystego alkoholu.

Z czym ci się to kojarzy? – spytał. – Kiedy cię tam dotykam?

Z cukierkami – rzuciła.

Wiesz, jak mnie rozwalić – powiedział. – Za każdym razem. Pamiętasz nasze pierwsze spotkanie? Był ze mnie taki szczeniak.

Dalej jest z ciebie szczeniak.

Mogę ci zrobić minetę, Karimo?

Niczego nie poczuję.

To nie odpowiedź. Poza tym, jak to się mówi, podejmę rękawicę.

Jaką rękawicę?

Tę, którą mi właśnie rzuciłaś.

Możemy trochę pomieszkać w Kadyksie – powiedziała.

Dlaczego tam?

Zostanę, to mnie zastrzelą albo jeszcze gorzej – odparła.

A dziwna sowa znów odezwała się swoim żalosnym zaśpiewem.

*

Gdy się obudził, wciąż panowała ciemność, a wiatr wiał między nadmorskimi sosnami. Okropnie bolała go głowa. Wziął tabletki i zapił piwem. Zajrzał do Karimy: spała na wznak i sprawiała wrażenie osoby cierpiącej na straszliwe nudności. Podeszedł bezszelestnie do łóżka, nachylił się i przycisnął usta do jej czoła. Pożegnał się i zapowiedział, że może niedługo wróci.

Później ukradł jej auto i przejechał osiem kilometrów do miasta po ciemku, bo nie umiał rozkminić działania jebanych reflektorów, a w pierwszych chłodnych promieniach zimowego słońca usiadł na plaży Malagueta i wiedział, że został zaklęty czarną magią.

Pech, pech.

*

Poleciał z powrotem do Corku. Wypożyczył samochód. Pojechał drogą na Macroom. Był to najkrótszy dzień w roku. Wszystko pragnęło wielkiego zakończenia, zaciemnienia jak w filmie. Gdy stanął przed nim las Ummera, niebo zaczęły już wypełniać pierwsze oznaki nocy, a drzewa piętrzące się gęsto na jego tle przypominały ciemny gmach.

Świat stał u progu zmiany, obracał się, by się z wolna wślizgnąć w nowy brzask, nowy czas, a Maurice nie mógł tego za chuja wytrzymać.

Zaparkował i wysiadł z samochodu, i poczuł złą moc zimnego, wilgotnego powietrza. Wsłuchał się w duchy lasu. Twarz przeorganizował do starcia z irlandzką pogodą. Tego nie wolno lekceważyć. Zmrużył powieki do ochrony przed wiatrem. Usta wykrzywił na deszcz. Powtórzcie ten grymas dziesięć tysięcy razy w ciągu życia, pomnóżcie przez pokolenia, epoki, ery i patrzcie, jak okopuje się pod skórą, przenika duszę etnosu, przygotowuje się do znieważenia świata i robi to...

k r ó l – S e w i l l i , k r ó l – S e w i l l i

...usta układał w słowa, żeby się uspokoić, lecz jego mantra nikła na smagającym wietrze i pod naporem deszczu.

Wszedł w gęsty mrok lasu Ummera, w sam matecznik, kiedy najdłuższa noc opadła z nieba niczym posępny ptak rozsiadający się na żerdzi.

Doszedł do punktu, który wyglądał na centralny, usiadł na zimnej, mokrej ziemi i prosił swoich zmarłych o przebaczenie i żeby dopuścili go do swego grona.

*

Ale cofnęła go zewnętrzna siła. Nawigując z użyciem skrawka gwieździstego nieba, wrócił do samochodu i wąskimi drózkami skierował się na zachód przez śpiące hrabstwo, w kierunku Beara.

Pił whiskey Powers z małpki wciśniętej między uda i zwalniał na zakrętach, które znał na pamięć. Kiedy się przewlókł przez Berehaven, jakby go diabli nadali, było po piątej rano.

Siedział przez chwilę w zimnym świetle portu, dopił whiskey, a później rozłożył fotel i próbował przespać swoją potrzebę, lecz nie był w stanie – zupełnie się rozleciał.

Ruszył w kierunku Ard na Croí. Samochód zaparkował wyżej, przy drodze. Szedł wzdłuż półkolistego pasa domów i patrzył, jak oddycha stary kopiec.

Wszedł bez najmniejszego chrobotu klucza. Wspiął się po schodach. Nasłuchiwał oddechu domowniczek. U szczytu schodów pozwolił płucom zwolnić, póki powietrze wokół niego nie znieruchomiało. Oczy przyzwyczyły się do mroku. Ani drgnął.

Zajrzał do Cynthii i zobaczył, że nie jest sama – długi, chudy jak patyk kształt Charliego Redmonda leżał obok.

Czyli to znowu się zaczęło – powiedział bardzo cicho, więc ich nie zbudził.

Odnalazł Dilly opatuloną w łóżku, śpiącą. Nachylił się i szepnął do niej. Poruszyła się we śnie i odezwała. Wziął ją na ręce i zniósł po schodach,

wciąż śpiącą, potem zabrał na zewnątrz – wyszedł tak samo bezszelestnie, jak wszedł, a ona, budząc się, objęła go ramionami i wtuliła się w jego bark, chroniąc się przed chłodem.

Dilly – powiedział.

*

Wiózł dziecko przez śpiące miasto. Ruch samochodu szybko ponownie ją uśpił. Pojechał do Cametringane i zatrzymał wóz przy wodzie koło pochylni. Dziewczynka wybudziła się, zatrzęsała i powiedziała: „Tato? Gdzie my jesteśmy, tato? Dokąd jedziemy?”

Wrócimy do domu, Dill.

Długa noc chowała za horyzont ostatnie kręgi swego kręgosłupa – jaszczurza noc – a jeśli w tej chwili odpalę samochód i pozwolę mu jechać, wszystko się szybko skończy.

Zrobimy to, Dill?

Co, tato?

Siedząc za kierownicą samochodu przy pochylni, położył dłoń na zaciągniętym hamulcu, dotknął uchwytu jego dźwigni i przekręcił kluczyk, żeby zablokować wszystkie zamki.

Wiesz, że cię kocham, Dilly?

Możemy jechać do domu? – zapytała. – Zimno mi.

A gdy zaczęła płakać, Maurice wyszedł z siebie – wystrzelił, nagle i gwałtownie, jak podniesiony dźwigiem – i zobaczył się tam, w zaparkowanym samochodzie, z dzieckiem, u progu śmierci, blisko miasteczka Berehaven, rano, w środku zimy, i zobaczył zakłęcie jako spowijającą go aurę czerni.

Ale odetchnął głęboko, potem znowu, i poczuł, jak przenika go życie:

wypuścił je i wciągnął.

Dilly złapała jego dłoń zimną, spoconą rączką. Maurice zlizął łzy z jej twarzy niczym pies. W kabinie samochodu zajaśniał nowy blask...

Spoza długiego cienia wyspy Bere nareszcie wychynęła tarcza słońca i jego słabe światło oświetliło buzię Dilly, która przywitała je swoim dziwnym, starym głosem:

O, hej, cześć, siema – powiedziała.

Rozdział siódmy

ICH PRZYPADŁOŚCI

W porcie Algeciras, październik 2018 roku

Maurice Hearne siedzi sam w bistro w terminalu promowym. Obraca w kieliszku resztki trzeciej brandy. Każdy orze, jak może. Ruch alkoholu jest znajomy: gładko rozgrzewa, zostawia posmak spokoju, a teraz stopniowo osuwa się ku skrusze. Wybija melancholijna godzina. Typowa przypadłość jegomościa o barwnym życiorysie. Choćby jednak Maurice niczego nie posiadał, przynajmniej ma swoje żale, a te nie pozostają bez wartości dla męczeńskiego autoportretu, jaki maluje się przed oczyma jego duszy. „Mam pięćdziesiąt jeden lat – myśli – a wciąż, przynajmniej połowicznie, jestem sam w sobie zakochany. Cokolwiek by mówić, trzeba to, kurwa, nazwać osiągnięciem”

Obraca się na stołku z ciekawością. Zdrowemu oku pozwala się poszwendać – rozgląda się po lokalu. Znowu Hiszpania – jej stara, niechlujna charyzma. Znowu się człowiek budzi i znowu Hiszpania. Kolejna przerwa w kursowaniu statków. Raz jeszcze możliwe zakłócenia po stronie Tangeru. Charlie Redmond od pół godziny wariuje i odprawia w terminalu drogę krzyżową – ot, męska energia w nadmiarze. Maurice jakimś sposobem wie, że Dilly jest w pobliżu: czuje we krwi, że ona znajduje się niedaleko, coś się w nim kłębi.

I nagle z wysokości przeżytych lat opada go straszliwa słabość – wspomnienie Cynthii, tylko przez krótką chwilę, przesywa go na wylot. Nie jest to rzadkość. Nigdy go nie opuści świadomość ich miłości ani ohyda jej braku.

Nienawiść nie jest sposobem na miłość – jest nim śmierć.

*

Będąc sam dla siebie źródłem rozrywki za dnia i w nocy – i słusznie, jeśli wziąć pod uwagę jego nerwy – Charlie Redmond kuśtyka niespiesznie w stronę okienka z napisem INFORMACIÓN. Opiera się na obwisłej półeczce. Z wyczuciem zawodowego komika wyczekuje na właściwy moment. Gdy ów nadchodzi, zwraca się z pełną uprzejmością do *informaciónisty* – tego samego typka o zgorzkniałej gębie.

Jak panu leci? – pyta Charlie.

Nie otrzymuje odpowiedzi.

Pocziwy z pana człowiek – mówi. – Miły dla oka i zasłużony dla zakładu. Tak czy inaczej. Skoro już tu u pana jestem. Interesują mnie trzy fakty, trzy... *informaciónes. Numero uno*. Czy ten tu jegomość, Charlie Redmond z dzielnicy Farranree, z miasta Cork w niepodległej Irlandii, nosi w sobie znamiona smutku?

Przerywa i z ogromnym zainteresowaniem przechyla głowę, jakby wsłuchiwał się w odpowiedź pracownika informacji, która jednak nie pada.

Rozumiem, chłopcze – stwierdza.

Obraca się w kierunku terminalu i przemawia doń z rozłożonymi ramionami i zwróconymi w górę dłońmi.

On uważa, że tak. Duch mi opada aż w podeszwy. Kim jest Charlie Redmond, zdaniem tego klienta? Starszym jegomościem smutnego serca. I czy to coś dziwnego? Po tym, co oglądały moje biedne oczy? Po nocy, kiedy rozprułem gardło gostkowi w Dillons Cross? Chłopak próbował akurat jeść obiad z kurczakiem. Rozgotowany zielony groszek aż odbił się od ściany. Ale to ginie już w pomroce dziejów. Teraz mam więcej na głowie. I, oczywiście, od Malagi kiepsko z moją dupą. Od ostatnich nieprzyjemności w Maladze. Jak tamta ośmiornica gapiła się na mnie z talerza. A ośmiornica nie była tam najgorsza. Ani trochę. Potrzebowaliśmy kierunku. I, kurwa, dostaliśmy, czego chcieliśmy. Tak czy inaczej. Skoro już tu u pana jestem.

Znowu obraca się do okienka, opiera się na półce, szczyrzy się w zabójczym uśmiechu. Traci kontrolę nad tym, jak głośno wypowiada słowa:

Información! Numero dos! Czy ten tu jegomość, Charlie Redmond z dzielnicy Farranree, z miasta Cork, wygląda panu na nikczemnika?

Słucha uważnie, z ciepłem i otwartością w swojej wiszącej przy okienku twarzy, zupełnie jakby *informacionista* ponownie udzielał szczegółowej odpowiedzi, czego nie robi. Charlie przez długą chwilę kręci głową, po czym ponownie zwraca się w stronę terminalu.

Mówi, że na skończonego dzikusa. Wynika tak z jego obserwacji. I nic dziwnego, bo wiecie, jakimi chodziłem ścieżkami? Ech, dziwnymi, dziwnymi. Powiem tak: nie chcielibyście zobaczyć Charliego Redmonda, jak idzie, o specyficznej porze nocy, przez osiedle w północnym Corku, a w jego oczach czerń. Mówię o starych czasach. Teraz to jestem

niegroźny kocur. Kocię wręcz, taki słaby. Ale dawniej? Charlie stoi pod drzwiami z psem u boku? Oj. Zwłaszcza jeśli ktoś wisił pieniądze. Chcecie pogadać o tym z psem? I posłuchajcie. Te psy? Potężne miałem w swoim czasie czworonogi. Był taki jeden, Krótki, ogar nad ogary. Bibułka mi lizał, jak robiłem skręty, i z odległości kilometra wyczuwał radiowozy. Mniej więcej. Miał na nie specjalny skowycik.

Popisy Charliego Redmonda, który swą mowę kieruje do nawiedzonego powietrza, bynajmniej nie wytrącają z równowagi terminalu promowego w Algeciras – my tutaj zupełnie się nie przejmujemy.

To znaczy, patrzycie na człowieka, który najszcześliwsze – pod wieloma względami – związki w życiu miał z psami. Częstokroć.

Jeszcze raz kieruje swoją uwagę na okienko.

I wreszcie – odzywa się – *numero tres*. To, na co wszyscy czekali. Trzy pytania i koniec, nie będę się z tym kłócił. Maszyny się nie pokona. A zatem... Czy ten tu jegomość, Charlie Redmond z dzielnicy Farranree, z miasta Cork w Irlandii, na podstawie wszelkich widocznych świadectw, tu tylko przed waszym obliczem, w tych zapracowanych oczkach onanisty, czy ten biedny Charlie wygląda na człowieka, który zaznał w życiu miłości?

Słucha uważnie odpowiedzi, która nie pada.

Dobra – rzuca i wraca, by siąść na ławce.

Tu mnie masz – mówi. – Widzisz aż za wyraźnie naturę przypadłości Charliego Reda... Zaznałem miłości, ale ją straciłem.

*

Terminalem porusza fala energii, pojawia się wyczekiwanie – zdaje się, że zaraz przybije lub wyruszy kolejny prom. Maurice Hearne taszczy swój niepokój na dół, z knajpy do poczekalni. Przychodzi taki czas, kiedy po prostu trzeba umieć żyć pośród swoich duchów. Podtrzymywać rozmowę. W przeciwnym razie szerokie pole przyszłości zmienia się w niezmierną pustkę.

Weź, kurwa, pomyśl o dobrych czasach, Moss – mówi sobie mężczyzna.

Pierwsze pół roku z Cynthią na heroinie to były najpiękniejsze dni wszech czasów. Miłość i opiaty – poprawić to nie leży w ludzkiej mocy. Chodzili po świecie niczym młode bóstwa. Którejś nocy schodzili z St. Luke's Cross przez Wellington Road. Którejś piątkowej nocy w deszczu. To była najlepsza noc w historii.

To było trochę szalone, co nie, Cynthio? Właściwie to zbyt, kurwa, szalone.

Zmierza do ławki na zachód od okienka z napisem INFORMACIÓN i dołącza tam do Charliego Redmonda. Swojego najstarszego przyjaciela, dawnego rywala.

*

Co oni tam teraz mają, Maurice? Co to za słowo?

Na co to słowo, Charlie?

To hydro-coś tam, Moss.

Ponika, Charlie. Hydroponika – o to chodzi?

Hydro-pizda-konika, Maurice. Wiesz, co to znaczy? Koniec z takimi jak my.

Ech, posłuchaj. Jesteśmy jak stragan z antykami. Małe skurwiele prowadzą hodowle we własnych sypialniach, pod lampami. Takiej trawy, jaka rośnie teraz w zachodniej Irlandii, nie kupiłbyś w górach Rif.

Albo kupują w jebanym Internecie.

To smutny widok, Charles.

To nie w porządku, Maurice.

Koniec całego stylu życia.

Takich jak ty i ja nie będzie już nigdy, Moss.

Patrzę na siebie łagodnie – powietrze jest brzemienne we wspomnienia.

Sporo przeszliśmy, stary druhu.

Od czego zacząć, Charlie?

Od wieczorów w Berehaven, kiedy praliśmy się na drodze?

Od nocy na pełnym morzu?

Od tamtej nocy w Judaszu Iskariocie?

Tego nie ruszaj, Charlie... Proszę.

Mieliśmy także dobre czasy, Moss.

Taa, mieliśmy.

Czasami los się do nas uśmiechał. Byliśmy dwa gołodupce, a trafiliśmy do Casablanki. Do Puerto Banús. Żarliśmy do porzygu w Marbelli. Był taki czas, że interesy kwitły.

Wiesz czemu, Charlie? Bo jeśli Irlandczycy dadzą się pociąć za gorzałkę, to za trawkę tym bardziej, kiedy w niej zasmakują, ponieważ uspokaja nerwy, a my jesteśmy wielce nerwowym ludem.

A jak mamy nie być, Moss? Chryste w ogrodzie Getsemani! Po wszystkim, co przeszliśmy? Po włączeniu się po tej udreźzonej, mokrej skale na skraju czarnego Atlantyku przez miesiące i lata bez końca, z wytrzeszczonymi mordami błagającymi o światło, zuchwami, co chodzą jak ciągane sznurkiem, i pożółkłymi dupami zwisającymi z tyłu?

Jedynie trawka nas ratuje, Charles.

*

Do portu przybija prom z Tangeru. Zmęczony tłum rozlewa się po terminalu. Pasażerowie wyglądają jak po ciężkiej próbie. Krótka przeprawa do Algeciras może poruszyć dziwne struny w duszy – temu szlakowi nieobce są kłopoty, w powietrzu wciąż pobrzmiwa muzyka dawnych podróży.

Mężczyźni obserwują nową zbieraninę – możliwe, że prom wypłynie dziś z powrotem.

Do terminalu wchodzi Dilly Hearne i teraz również jest w tłumie.

Jej fryzura to tleniona *pixie*, wygolona wysoko po bokach. Na twarzy ma okulary słoneczne Polaroid, vintage. Ubrana jest w męskie spodnie w pasy, ściągnięte wysoko w talii, i białą zapinaną bluzę z kapturem marki Veja. Ciągnie walizkę na kółkach. Porusza się w aurze spokoju – w wieku zaledwie dwudziestu trzech lat już zachowuje się niczym królowa.

Zauważa dwóch mężczyzn na ławce przy okienku INFORMACIÓN, widzi, jak omiatają wzrokiem tłum, i natychmiast odwraca od nich twarz, skręca w inną stronę.

Udaje się na górę, do bistro. Obserwuje ich stamtąd i pozwala sobie uspokoić oddech, a przynajmniej próbuje. Serce dudni w swej klatce i zatacza slalomy. Krew buzuje. Dilly wygląda znad ciemnych okularów:

Tak, to Maurice rozgląda się zdrowym okiem po budynku, i tak, to Charlie teraz wstaje, żałośnie, i powoli kuśtyka do okienka, po staremu powłócząc nogą.

Okej – mówi dziewczyna, odwraca się w stronę baru i zamawia brandy.

Rozdział ósmy

CAŁONOCNA PIJALNIA ALKOHOLI POD WEZWANIEM JUDASZA ISKARIOTY

W Corku, styczeń 2000 roku

Była styczniowa noc, trochę po czwartej nad ranem. Miasto trwało pogrążone w długim i mroźnym śnie zimowym. Jego zbite kształty górowały nad ciemną wodą rzeki na tle bezksiężycowego nieba. Przy południowych kejach jedynie miejscowe duchy kręciły się w bramach albo wysiadywały na schodach nadbrzeża ze swoimi historiami o dawnej miłości. Światła miasta drżały na powierzchni czarnej rzeki. Chwilami trudno było nie wierzyć, że jesteśmy tylko odbiciem, a prawdziwe życie rozgrywa się tam w dole, w ciemnych odmętach.

W Judaszu Iskariocie, nielegalnej melinie odsuniętej o parę kroków od kei, obowiązywało umówione pukanie, zakodowany rytm, który pozwalał wejść, jeśli się go wygrało kilkoma szybkimi stuknięciami, na taką oto melodię...

Za barem stał kapitan statku i obserwował lokal ze spokojnym uśmiechem. To Nelson Lavin o złotym zębie i samogłoskach

na przydechu. Sam nieobserwowany, wolnym i dobrotliwym okiem wodził po zgromadzonych...

Do Judasza ściągała klientela z nizin, lecz niepozbawiona uroku. Ludzie nocy. Śmieciarze. Moźni półświatka. Usadowieni przy niskich stolikach w słabym świetle. Owo słabe światło igrało z blaskiem łańcuchów wokół ich szyi i budowało aurę zdobnej w błyskotki grozy. W ciągu długiej nocy przez wysepki światła przy stolikach przewinie się nawet kilkudziesięciu zatwardziałców o niejasnych koneksjach.

Tendencja w Iskariocie była taka, żeby pić ciągiem, lecz z opamiętaniem. Nelson Lavin uważnie pilnował utrzymywania dekorum. Połuźnił mosiężny sygnet na małym palcu i powoli nim obracał, żeby zaś noc utrzymała pogodną nutę, potarł świątobliwymi palcami wprawiony w pierścień amulet. Lecz dżiąsła miał spuchnięte, a to dla Nelsona zazwyczaj stanowiło zapowiedź kłopotów.

Powoli rozglądał się po pomieszczeniu i przywoływał w myślach personalia gości, stałych bywalców, ich sytuację. Przetarł na błysk kontuar przeznaczoną do tego celu ścierką. Nachylił się do zaspanego Vincenta Keogha, włamywacza, który kołysał się co nieco na narożnym stołku.

Jak się sprawy kształtują, Vincent? W szerokiej perspektywie.

Krzywo i nieprzyjemnie, Nelson.

Weź no mi zrób przysługę, Vince: wyprostuj plery i spójrz przed siebie.

Znowu z uśmiechem przeskanował knajpę wzrokiem...

Coś tu nie grało w twarzach. Tak uważał Nelson. Całe miasto cwaniaczków o wrednych podbródach i kartoflanych nochalach.

Steve Bromell, handlarz kokainą, wpatrywał się z lękiem w niski blaszany sufit, jakby ten miał się zawalić, ale Stevie nawet w lepszych momentach wyglądał na przerażonego i często istniały ku temu powody. Prawie by tęsknił za swoją paranoją, gdyby mu kiedyś przeszła.

Dwie handlarki miłością, alfons, księżę wykidajłów.

Ludzie dyskretni.

Charlie Redmond pił sam z własnymi demonami, które tłoczyły się przy stoliku po drugiej stronie pomieszczenia.

Nelson wierzył, że coś da się wyczytać z upijania się Redmonda, z powolnych, tępych spojrzeń i sposobu, w jaki mężczyzna starannie i zapamiętale rozrywał na kawałki tekturowe podstawki.

Kamienne twarze, przepalone oczy, godziny spędzone w melinie.

W szklance, którą obracał w długich palcach Charlie Redmond, krążyła wolno i złowroźnie wódka – zataczające kręgi szkło łapało odbłaski przyciemnionych, bursztynowych świateł Judasza Iskarioty.

Nelson zanurkował pod klapą kontuaru i przemierzył knajpę z półlitrowką wódki Grey Goose – podłożył swoją dłoń pod dłoń Charliego, żeby zatrzymać szklankę, i dolał mu do pełna.

Wiesz, Charlie? Mówią, że wódka to nieelegancki napitek.

Kiepsko mnie wychowali – odparł Charlie Redmond. – Matka ulica i ojciec krawężnik.

Przejaw poczucia humoru był uspokajający, ale spuchnięte dżiasta Nelsona nie odpuszczały.

Jimmy Earls, burdeltata, siedział ciężko nad połówką stouta Beamish, wziął łyk i popił kropelką whiskey Powers. Mlaskał ze smakiem, gdy mamrotał pod nosem litanie swojej goryczy. Oszustka Rita Kane recytowała swojej przyjaciółce Sylvii szczegóły gwałtownego rozejścia z Edmondem Learym, pospolitym złodziejem, a Sylvia sięgnęła lewą dłonią do gardła i lekko ją zacisnęła, co było wśród mieszkańców Corku wyrazem najczystszej osłupienia. Alvin Hay, były bokser, płakał bez łez w drugim rogu, rozluźniając tym samym gulę w gardle – był to czas, kiedy umierała jego żona.

Z zewnątrz dobiegła starannie złożona seria puknięć – boy otworzył drzwi i wszystkie głowy powoli obróciły się w ich stronę na znak, że przybył Maurice Hearne.

Gdy wchodził, twarz miał szkaradną jak noc, ale Maurice złagodził jej wyraz i posłał uśmiech na tyły pomieszczenia, do Charliego Redmonda. Charlie wstał mu na powitanie i uścisnęli się.

Kłopoty na zachodzie, w Berehaven – tyle wyłowił z ich rozmowy Nelson Lavin. Kłopoty miłosne – najgorsza franca. Wziął ścierkę i zabrał się z uwagą do polerowania wszelkich załomów drewnianego baru.

Całe pomieszczenie wstrzymało oddech, w powietrzu przez chwilę wisało prawdopodobieństwo przemocy. Maurice usiadł na krześle naprzeciwko Charliego i rozprostował nogi. Charlie oparł długą, chudą

twarz na splecionych poniżej podbródka palcach. Gdy się odezwał, w jego błagalnym tonie dało się słyszeć głód.

Nelson ocenił zasoby ludzkie na wypadek pojawienia się nieprzyjemności. Jimmy Earls miał budowę solidną jak most z epoki wiktoriańskiej, ale psychicznie nie był równie tęgi, odkąd się otarł o śmierć w miasteczku Cobh, gdzie pewnej nocy ostrze noża zostawiło mu bliznę na wysokości nerki. Alvin mógłby się przydać, gdyby miał dobry humor. Boy stojący przy drzwiach był bezgranicznie dzielny i zapewne by pomógł. Nie dało się zgadnąć, jak potoczy się noc. Nelson dyskretnie wsunął dłoń pod kontuar i wymacał dla uspokojenia swoją pałkę z głogu.

Na zewnątrz wiatr nabierał siły – przy każdej kurewskiej okazji wygrywając istne arie operowe.

Od wiatru wzburzyły się miejskie światła na wodzie.

Ruszały się w tę i we w tę w powolnym, narkotycznym tańcu na czarnej skórze rzeki.

W Judaszu Iskariocie dwóch starych przyjaciół siedziało i konsultowało się ze sobą. Kłopoty szczególnej barwy – Nelson Lavin nie musiał się przyglądać, żeby to wyczytać.

Jimmy Earls ukradkiem przemieścił cielsko bliżej baru i trzepotem rzęs przywołał Nelsona na słówko.

Patrzysz tam?

No, kurwa, raczej.

Dym leci uszami, Nelson.

Kłopoty w tamtych stronach?

W Berehaven. Tak mówią.

Z powodu sikorki?

Przystojna kobita. Trza przyznać. I ostra.

To byli ludzie-legendy. To były niebezpieczne czasy. Dla zgromadzonych nastąpiła chwila pełna groźnego splendoru. Mężczyźni mieli w sobie coś jaszczurzego, gadziego. Nosili wykurwiste buty. Nelson i Jimmy Earls uważnie przyglądali się konfrontacji. Na razie przebiegała wśród szeptów i uśmiechów. Ci ludzie nie działali pochopnie. Dlaczego spotkali się właśnie tu i teraz? Być może istniała potrzeba, żeby ktoś widział to spotkanie i mógł o nim opowiedzieć.

Charlie Redmond nachylił się dla dyskrecji. Mówił z powagą, a Maurice Hearne przysunął się i słuchał. Teraz sięgnął po szklankę Charliego i wychylił z niej łyk wódki.

Z mieszaniną lęku i wyczekiwania Nelson Lavin i Jimmy Earls przypatrywali się całemu przedstawieniu z boku.

Jak oni stoją tak ogólnie, wiesz coś?

Kiepsko – powiedział Nelson. – Łódka im zatonięła w zeszłym roku.

Poruta w domu to ostatnie, czego im teraz trzeba.

Nelson wiedział, że ci dwaj mieli długą historię. Zaczęło się na Barrack Street w latach osiemdziesiątych. W pubie o nazwie Three Ones. Takie miejsce, że oczy wywracało na boki. Charlie i Moss – dwa gołowąsy przy stoliku w głębi. Towar schowany za krzyżem w kostnicy naprzeciwko. Młodsze chłopaki im go rozprowadzały. Nelson nalał Alwinowi Hayowi Drambuie i powiedział: „Weź się w garść, przyjacielu. Czy śmierć, czy życie, każdy dzień ma jakieś swoje konieczności i nie ma co się z tym kłócić”

Maszyny się nie pokona, Alvie – dodał.

A może by tak podejść do stolika, spróbować wyczuć sytuację? Maurice i Charlie siedzieli pochyleni i dyskutowali o czymś żywo. Jimmy Earls wyczuł zmartwienie Nelsona i został przy barze – w nerwowych sytuacjach uważał siebie za skałę. Był też po prostu z natury skłonny do pochłaniania plotek. Dolał do szklanki drugą połówkę piwa Beamish – gdyż całe życie utrzymywał, że picie pinty z kufła jest dobre dla ignorantów. Gdy czarny stout już osiadł, wyciągnął z wewnętrznej kieszeni puszczkę uniwersalnej oliwy do maszyn i dodał – licząc na głos – pięć kropli do szklanki.

Oburzający zwyczaj – powiedział Nelson, jak mawiał każdej nocy.

Tylko dzięki naoliwieniu nie wypadły mi jeszcze płuca – odparł Jimmy Earls.

Teraz Nelson odważnie wyślizgnął się z kontuaru i zaczął wędrować po melinie. Tu podniósł szklanę, tam kufel. Z wielką dokładnością obszedł stolik Hearne'a i Redmonda – inwazje na Rosję napotykały mniejsze komplikacje niż Nelson Lavin, kiedy się czasem musiał przejść po własnej pierdolonej knajpie. Przelotnie wsłuchał się w cichą, poważną rozmowę mężczyzn.

Czy wątróbką z frytkami można wyleczyć kaca, Maurice? – spytał Charlie Redmond.

Nie jeśli napchałeś się nimi wcześniej w Uptown Grill, Charlie.

Uptown Grill – westchnął Charlie. – Królewski lokal.

„Jezu Chryste – pomyślał Nelson – ależ są zapamiętali!” Kiedy przedreptał z powrotem na drugą stronę stolika, spotkał się wzrokiem z Maurice'em i drobnym zmarszczeniem ust zapytał, czy ten potrzebuje napitku.

Na razie dziękuję, Nelson. Noc jeszcze młoda.

Mężczyźni wrócili do rozmowy, a Nelson do baru, gdzie zgrabnymi ruchami przetańczył na drugą stronę klapy kontuaru.

I co? – zapytał Jimmy Earls.

Gadają o wątróbce z frytkami w Uptown Grill.

Nigdzie nie dają lepszej – skomentował Jimmy, pociągnął swojego stouta i się skrzywił.

Wydaje mi się, że się nakręcają – powiedział Nelson.

Na zewnątrz ostatnie taksówki sunęły stoicko niczym stare krowy. W szczodrym żółtym świetle kabin samochodów kierowcy wyglądali na samotnych. Apatyczne radiowozy niespiesznie krążyły po mieście. Mundurowi z Garda Síochána dobrze wiedzieli o Judaszu Iskariocie i cicho popierali jego działanie – funkcjonował niczym system kwarantanny.

Nelson chwycił ścierkę i zaczął polerować każdy sęk i każdą nierówność w drewnie. Zerkał na wiadomy stolik i zastanawiał się, za ile mógłby znów się tam przewinać. A może powinien wysłać Jimmy'ego Earlsa?

Mężczyzna przyjął polecenie entuzjastycznie niby mały pies, kiedy łapie w zęby patyk, po czym ruszył do toalety. Przemknął obok stolika niezauważony – chociaż ważył sto czterdzieści trzy kilogramy, z łatwością zniknął w pomieszczeniach tego rozmiaru, a nawet jeszcze mniejszych.

Przechodząc, usłyszał:

Jak to się stało, Charlie? Powiedziałeś jej coś konkretnego?

Ta chwila nadchodziła. „Równie dobrze mógłbym zostać tu, w kiblu, ze sprzętem w dłoni – pomyślał. – Biorąc pod uwagę, na co się zanosi”. Stał, wzdychał i odliczał krople rozbryzgujące się na pisuarze. „Z pytonem w dłoni – pomyślał. – To przez pytony występuje połowa niepokojów, jakie zachodzą w tym miejscu”.

Za barem Nelson zważył głogową pałkę w dłoni. Zbyt mało czasu minęło od ostatniego rozlewu krwi w lokalu, za sprawą którego trzeba się było

wyspowiadać na komisariacie Bridewell i na miesiąc zamknąć melinę: miesiąc, podczas którego Nelson Lavin siedział sam w domu i o piątej rano oglądał *Sędzię Judy*. Jimmy Earls pojawił się bezgłośnie w ten swój wstrząsający sposób. Jego cichy, chrapliwy głos sutenera przepłynął nad kontuarem:

Teraz przechodzą do rzeczy – powiedział. – Na całego.

Rozgrzana twarz Jimmy'ego mówiła: „Akcja!” Zmieniła się atmosfera. Nowinę dało się wywęszyć w powietrzu. Jej woń była równie silna, co smród palonych włosów. Vinnie Keogh obejrzał się przez ramię z chorobliwym niepokojem. Sylvia puknęła Ritę w grzbiet dłoni – teraz się nie oglądaj.

Lecz jakimś cudem wszystkie oczy zwróciły się w stronę stolika dokładnie w chwili, kiedy Maurice Hearne chwycił szklankę z wódką i chlusnął jej zawartością w twarz Charliego Redmonda. Rozsiadł się z uśmiechem i odstawił szkło na stół, a Charlie, który nawet się nie skrzywił, również w tej chwili nie zareagował. Siedział całkowicie nieruchomo i nie starł wódki z twarzy. Pozwolił jej zwyczajnie spłynąć po policzkach i skapywać na blat stołu, oblicze miał całkowicie pozbawione wyrazu.

Teraz Maurice przemówił do starego przyjaciela: szybko, bezpośrednio, ani z uśmiechem, ani całkiem bez, a mina Charliego pozostawała spokojna i nieporuszona. Jimmy Earls sięgnął po płaszcz zawieszony na haku poniżej kontuaru, ale zaraz go tam odwiesił – ta noc mogła przejść do historii.

Nelson pracowicie polerował drewno kontuaru. W jego opuchłych dziąsłach pulsowała krew. Znad śmigającej po blacie ścierki obserwował, jak Maurice strzela kolejnymi słowami na drugą stronę stołu, a Charlie Redmond nijak nie odpowiada. Czy to jedynie oskarżenie, czy może dało

się w tym wyczuć długą litanie, wylew dawnych pretensji? Nie dało się przewidzieć obrotu spraw, gdy w grę wmieszała się kobieta. Barman wierzył, że obaj mężczyźni odebrali komuś w przeszłości życie. Jimmy Earls zrobił leniwy wydech, żeby móc delectować się wiszącym w powietrzu zagrożeniem, zanim się całkiem ziści – tamtej nocy byłem na miejscu.

W którą stronę to pójdzie, Nelson?

Bóg jeden wie.

Myślisz, że coś trzeba powiedzieć?

Czujesz przyptyw odwagi, Jimmy?

Może zanieśiesz im napitku? Zrobisz niewinną buzię. Trochę jakby dla żartu, nie?

Może.

Taki gest niósłby wiadomość, że nie stało się jeszcze nic złego. Nadal możemy postępować łagodnie. Nelson ściągnął z półki butelkę Grey Goose, wziął dwie czyste szklanki i zanurkował pod klapę kontuaru. Sięgnął za bar, by przełożyć sobie ścierkę przez ramię. Żeby zachować właściwy, kurwa, porządek. Ze świątobliwym wyrazem twarzy powędrował do stolika tamtej dwójki – Maurice odsunął się z szeroko otwartymi oczami, Charlie pozwolił sobie na wyćwiczony półuśmiech. Nelson z afektacją, ale bez komentarza, wytarł nieliczne krople wódki z blatu i postawił na nich dwie świeże szklanki, napełnił je do połowy i wrócił na swoje miejsce.

Gdy był z powrotem za barem, odwrócił się, żeby zobaczyć, jak dwaj mężczyźni unoszą ku niemu szklanki w geście pozdrowienia. Całe pomieszczenie cudownie uległo nastrojowi. Maurice Hearne i Charlie Redmond znów nachylili się ku sobie i wrócili do rozmowy. Jimmy Earls puścił Nelsonowi oczko w uznaniu dla jego opanowania.

Na zewnątrz noc wygrywała niesamowitą melodię. Wiatr wiał w poprzek rzeki, kołysał kablami i linami, światła odbite na powierzchni wody rozpływały się i mieszały swoje barwy, ale odzyskiwały kształt i ostrość, gdy tylko ustawał powiew.

Było chwilę po wybiciu piątej szklanki.

Teraz to Charlie Redmond mówił. Bolesne sprawy – tak odczytywał Nelson, a Jimmy Earls się zgodził: widać to było w ruchu ust mężczyzny, w jego poważnych, szarych oczach.

Mamy do czynienia z rozmową od serca – skomentował Jimmy.

W rzeczy samej.

Wiesz, co mówią o tej sikorce?

Co takiego, Jimmy?

To ona kręci interesem. To ona decyduje. To ona wybiera czas.

Zawsze tak się mawia o sikorkach.

Może gadają tak ze względu na jej sposób bycia. Stawia człowieka na baczność.

Przy stoliku w głębi podniosły się głosy, a wszyscy obecni jak jeden mąż obrócili się w jego stronę. Mężczyźni w żadnym razie nie krzyczeli, lecz ich pobudzenie było ewidentne, mówili z pasją. Nelson Lavin złapał za głogową pałkę. Z kamienną twarzą, niczym sędzia, obserwował sytuację. Głosy znowu przycichły, Maurice i Charlie ponownie nachylili się ku sobie. Oczy pozostałych obecnych odwróciły się w inne strony. Jimmy Earls przysunął głowę...

Mam się tam znów zakręcić?

Tak zrób, Jimmy. Wybadaj odczucia.

Gruby sutener bezszelestnie przepłynął przez pomieszczenie. Jimmy Earls, pełzacz burdelowy. Bardzo zgrabny typ, jak na swoją tuszę. Cel na pisuar z zahaczeniem o problematyczny stolik. Na karku Maurice'a Hearne'a fałd skórny grubości jednofuntówki – był ogromnie spięty, podczas gdy oczy Charliego Redmonda spowijała pewna niefrasobliwość – w ocenie Jimmy'ego zupełnie niepomocna. Kiedy ich mijął, ponownie niezauważony, wychwycił z ust Redmonda następujące słowa:

Ponieważ Karima to knująca pizda.

Jimmy Earls raz jeszcze przekroczył ziemię niczyją i dotarł do toalety. Raz jeszcze stał tam ze sprzętem w dłoni. Zerknął na małe, wysokie okienko – nijak by się tamtędy nie przecisnął. A gdyby ktoś w tej chwili wyciągnął broń? Już teraz, choć zdarzenia tej nocy nadal się rozwijały, Jimmy z tyłu głowy układał narrację – zastanawiał się, jak będzie o tym opowiadał.

Kiedy znów mijał stolik, dostrzegł, że Maurice przycisnął do blatu dłoń Charliego i mówił do niego z intensywnością, która domagała się odpowiedzi.

Nelson trzymał rękę pod kontuarem – wszyscy wiedzieliśmy, co to znaczy.

I co?

Kto to, do chuja, jest Karima i czy jest w domu?

Kto?

Jakaś Karima?

Brzmi zagranicznie.

I jest z niej najwyraźniej pizda.

Gorąco się robi, Jimmy.

Mam nadzieję, że nie chcą kropnąć czyjejs starej flamy.

Myślisz, żeby ich zdjąć z boiska?

To mogłoby tylko zaognić sprawę.

Zdarzenia przyspieszyły:

Charlie Redmond zerwał się na równe nogi tak szybko, że jego krzesło się przewróciło.

Maurice Hearne wyciągnął się, wyszczerzył się w okrutnym uśmiechu i splótł dłonie za głową.

Charlie podniósł szklankę z wódką, podszedł do baru i z gracją stanął na jego końcu. Sączył gorzałkę, patrząc prosto przed siebie.

Trudno ocenić, jak wiele czasu minęło – atmosfera stała się nieruchoma i napięta – kiedy Maurice wstał, ruszył przed siebie ze szklanką w dłoni i stanął obok Charliego Redmonda, a następnie stuknął się szklanką z przyjacielem.

Z jakiegoś tuzina niewiarygodnych narratorów, którzy o tej porze nad ranem pozostali jeszcze w lokalu, wszyscy twierdzili, że dokładnie widzieli dalszy przebieg zdarzeń – nie licząc Nelsona, który ku własnej uldze był wówczas po przeciwnej stronie kontuaru – Jimmy Earls zaś twierdził wręcz, że słyszał, co się dalej stało, i dokładnie pamiętał dźwięk, z jakim Maurice Hearne jednym ruchem dobył z kieszeni nóż, opadł na klęczki i wbił go pod prawe kolano Charliego Redmonda, lecz to wydobywanie z ciała ostrza zadało prawdziwą ranę, ponieważ właśnie ten ruch rozciął więzadło z dźwiękiem rozrywania, co do którego Jimmy Earls przysięgał, że do grobowej deski go nie zapomni, a z nim zachowa pojedyncze, głuche westchnienie Charliego.

Nic więcej nie było, nic ponad głuche westchnienie.

Rozdział dziewiąty

URODZONA MISTYCZKA

W porcie Algeciras, październik 2018 roku

A teraz, w nocy, port Algeciras buzuje. Trwa ruch przez cieśninę. Powierzchnia ciemnej wody kotłuje się i pieni. Zupełnie jakby w głębinach trwała jakaś impreza. W powietrzu coraz silniej wyczuwalne są czarostwo i maligna.

Wewnątrz terminalu, w bistro, siedzi Dilly Hearne. Sprawnie wtapia się w otoczenie. Obraca się na stołku ukradkiem niczym wypatrująca zdobyczy sowa i widzi, że mężczyźni wciąż zajmują to samo miejsce na dole. Bardzo chce do nich podejść. Zaskakuje ją to pragnienie. Chce usłyszeć ich głosy. Z megafonu rozlega się obwieszczenie:

...llegará otro servicio desde Tánger y podrá ir otro servicio...

Kolejny prom nadpływa, kolejny odpływa. Dziewczyna nieźle opanowała język, chociaż lepiej go rozumie, niż w nim mówi. Obraca się na powrót w stronę baru. W Hiszpanii spędziła niewiele ponad trzy lata. Czuje, jakby od wyjazdu z Irlandii minęło pół życia.

*

Pierwszego dnia spacerowała ulicami Malagi i owszem, może patrzyła zimnym jak stal wzrokiem, z napiętą żuchwą, jakby szukała czegoś tajemnego, nowego powołania, jakby zdecydowała, że jest na to tylko jeden sposób, że tylko jedno może ją ocalić – muszę zrzucić tę skórę.

Dzień był gorący, powietrze suche. Miasto sprawiało wrażenie tak gwałtownego, tak bliskiego. Kaleka rozłożony na rogu Calle Larios i Alameda Principal poprawiał swój kikut ze spokojem w średniowiecznych oczach, dziwnie przyciągając dziewczynę.

Przykucnęła przy tym ludzkim wraku, odłożyła plecak na ziemię i zapytała, czy widział podróżników – *Inglese, Irlandese?*

Odparł: Masz na myśli te dzieciaki z dredami? Te, co chodzą z psami?

Ona na to: Taa, o nich mi chodzi.

Chciała popłynąć do Maroka, zamieszkać w jednym z obozów. Pragnęła miejsca, które nie rozumiało jej smutku. Chciała udać się do najdalszych zakątków samej siebie i przekonać się, co tam znajdzie.

*

Bez lęku obserwuje Maurice'a i Charliego podnoszących się z ławki. Coś w sposobie, w jaki się poruszają, odbiera jej lęk. Znów kierują się na ruchome schody do bistro, z niewinnymi twarzami, jakby wybierali się na spontaniczną ekspedycję.

Dilly wychyla brandy, zostawia kilka monet, po podłodze knajpy suną kółka jej walizki – bagaż ciągnie się za nią niczym oskarżenie, wydaje się

obwieszczać jej obecność, ale dziewczyna wie, jak zniknąć z oczu. Kręci głową, odwraca twarz, spogląda wszędzie, tylko nie w stronę zbliżających się mężczyzn. Terminal dziko tętni życiem. Dilly zanurza się w morzu ciał...

Stary półnagi *hombre* w nylonowych spodniach od dresu bierze łyk bursztynowej gorzałki i oblizuje zęby, patrząc, jak mija go dziewczyna, a ona celnym palącym spojrzeniem ściera mu z twarzy tę zjebaną minę.

Na podłodze pod bistro siedzi wyszczerzony, przyssany do piwa Cruzcampo, odziany w beżowy garniak ze sztruksu śmieć, który chyba właśnie się zeszczął.

Niewidomy sprzedawca losów na loterię opiera się plecami o swój kawałek ściany, z dłońmi przyklejonymi do marmuru, jakby sam podtrzymywał budynek. W okropnym, kleistym bielmie jego oczu da się dostrzec wysiłek.

Nabrzmiała, ostatnia tej nocy, fala tłoku.

Trajkoczące szynkożerne gęby wyglądają w ostrym świetle terminalu tłusto i jedwabście.

Wszędzie pierdolony džins.

Maurice i Charlie zupełnie nieświadomie przechodzą kilka metrów od Dilly. Dziewczyna wbija wzrok w podłogę i ciągnie walizkę dalej, podczas gdy oni wchodzą do knajpy.

Jezu Chryste – ale ich wiek sponiewierał.

Zjeżdża ruchomymi schodami i idzie usiąść na ich ławce niedaleko okienka z napisem...

INFORMACIÓN

*

Pierwsze miesiące w Grenadzie przemieszkała w tanim pensjonacie. Miasto spowijała atmosfera starych tajemnic, zachody słońca uderzały cierpkością. Otoczenie snuło historię złamanych serc. Miała osiemset euro, a później siedem trzy pięć. Trzymała pieniądze pod poduszką i z samego rana liczyła – szły tylko w jedną stronę. Sześć cztery zero. Była zdecydowana, żeby nigdy nie wracać do domu. W Grenadzie zaczął wstawać błękitny poranek. Zostało jej pięć trzy pięć. Na ścianie wisiał krwawiący Jezus – gapiła się na niego w półświatle świtu – seksowny, krwawiący Jezus w przepasce biodrowej. Wykrzywione usta, lubieżne spojrzenie – niech się odpierdoli.

Ostatnia rzecz, jaką powiedziała jej matka, brzmiała: „Nigdy tutaj nie wracaj, Dilly”

A w Grenadzie przez te pierwsze miesiące spała przeważnie w dzień i śniła o pustkowiach, czasem budziła się w grobowej ciszy popołudniowego zastoju i chciała iść położyć się wieczorem na zimnej pustyni pośród kwiatów kwitnących o zmierzchu – mętnych ametystów, milczących rubinów – i podlać je własną krwią.

*

Ale teraz pragnie posłuchać rozmowy dwóch mężczyzn. Wstaje z ławki i przesuwa się jakieś dwadzieścia metrów na wschód. Opiera się o ścianę i gapi w telefon, udaje, że przewija coś na ekranie, kiedy mijają ją, wracając z bistro.

Prawda jest taka, że Dilly już nie korzysta z sieci, ponieważ technologia to świńskie białe zło, a przez Internet człowieka mogą znaleźć i śledzić.

Dziewczyna zaszyła w walizce trzydzieści dwa fałszywe hiszpańskie paszporty.

Maurice i Charlie znów przemierzają terminal w kierunku ławki.

Dilly idzie za nimi, ale zachowuje dystans.

Mija trzech wysokich, chudych mężczyzn ze złej części Marrakeszu przycupniętych pod ścianą monopolowego, którzy mierzą ją wzrokiem i rozmawiają półgębkiem.

Powoli przemieszcza się za ławkę, kiedy Maurice i Charlie wracają na pozycje – mogłaby niemal wyciągnąć rękę i dotknąć ich karków. Nasłuchuje...

Przygarnąłbym znów czworonoga – mówi Charlie – ale nie wiem, czy wystarczy mi życia na małego psiaka.

Na pewno nie starczy ci na dwa – odpowiada Maurice.

*

W Grenadzie Dilly zamieszkała w jaskini w dzielnicy Albaicín z kilkorgiem Anglików i ich psami. Czynsz wynosił tyle, co nic, a i tak prawie nigdy go nie płacili. Psy zachowywały się przekomicznie. Na większość domów w skale nie mieli pozwolenia. Jej pokój był mały, smutny i bez okna. Jak pierdolona macica. Jak komora grobowa. Ściany

koloru kości i popiołu, ciężar niskiego sufitu – mieszkanie w jaskini okazało się szczególnie ciężkie. Niełatwo zrzucić dawną skórę. Czuła się tam bardzo samotna. Grota leżała na wzgórzach stanowiących sklepienie miasta. Słońce szalało. Dilly była jaszczurką Albaicín. Anglików nie nazwałaby przyjaciółmi, ale żyła wśród psów, a to nie było co. Oblubienica czworonogów: Coco, Ellie i Bo. Pozwalała im spać ze sobą w pokoju. Czasami opowiadała im szeptem o swoim ludzie. Tak mijały miesiące.

I tam, w Albaicín, w gorącym popołudniowym słońcu na placu kłębiły się i grały w berka obszarpane dzieciaki, a Dilly wykładała słoneczne dyski na płachtę z czarnego aksamitu.

Całe lato tworzyła szkłem powiększającym spiralne wzory, symbole płodności, krzyże, a także okultystyczne znaki i jedną Sheela-na-Gig.

Siadała na chodniku oparta o ciepłą skałę. Przestała się czuć jak żebraczka, kiedy trwała w tej pozycji, na takiej samej wysokości, jak gdyby była jakąś suplikantką. Wszystko zależało od tego, jak pokazuje się twarz.

*

Nic nie wiadomo o kolejnym wypływającym promie. Z megafonu słychać obwieszczenia, ale przeczą sobie nawzajem. Mężczyźni trwają na ławce czujni niczym jastrzębie i głupi jak buty. Chce do nich podejść, ale jeszcze nie może tego zrobić. Znow sunie do bistro na górze. Porusza się jakby w niespokojnym śnie. Na jego krawędzi słychać głosy. Docierają tu do niej z brutalnej przeszłości. Sen nabiera kształtu terminalu promowego w porcie Algeciras.

Chce porozmawiać z mężczyznami. Właściwie to nawet chce, żeby ją przytulili. Zrygałaby się na ten pomysł, gdyby mogła. W tym roku ma zamiar dotrzeć dalej na południe Maroka, na pustynię. Zamawia porcję tortilli. Barman wygląda na naćpanego jak jebany koala. Tortilla jest

za sucha. Smakuje jak danie ofiarne. Przez knajpę z łoskotem przetacza się fala nerwowości...

Krępy mężczyzna przy barze zaciska dłoń na kroczu, jęczy, puszcza, opiera czoło na metalowym kontuarze. Znow chwytą się za krocze. Wydaje z siebie krzyk.

Małeńki facet z twarzą jak rodzynek sułtański, z zaczesaną do tyłu grzywką, ubrany w liliowe spodnie i blezer, zjawia się w lokalu i próbuje sprzedawać ludziom skarpety, które przyniósł w foliowej torbie.

Dilly podchodzi do balustrady i patrzy na ławkę w dole, a Maurice i Charlie w doskonałej synchronizacji wznoszą głowy w górę – jakby ściągnięci jej wzrokiem.

*

Pewnego dnia pojechała sprzedawać słoneczne dyski w Maladze. Wybrała sobie miejsce pod ścianą katedry. Los sprawił, że wyrósł koło niej długi Maghrebczyk w dżelabie. Starannie rozwinął czarną płachtę. Rozstawił na niej drewniane figurki dostojnych Afrykanów. Dilly starała się czytać swoją książkę – amerykański horror: seryjny morderca grasujący w Ohio w świetle księżycy – ale słowa się jej nie trzymały. Godziny płynęły niczym wielka rzeka. Ani ona, ani Maghrebczyk nie mieli żadnych klientów.

Siedziała z telefonem w dłoni i przewijała zdjęcia tatuaży na Instagramie. Białe zło technologii unosiło się w powietrzu. Oglądała filmiki ze śmiejącymi się psami. Wstała, rozprostowała kości i zaczęła się przypatrywać afrykańskim posążkom, które stanowiły dokładne odzwierciedlenie ich sprzedawcy. Był bardzo wysoki, miał może ze dwa metry wzrostu, i w popołudniowym ukropie przypominał Hioba.

Skąd jesteś? – zapytała.

Uśmiechnął się ze zmęczeniem i wskazał doki, morze, jakieś miejsce za morzem.

Wiesz, jaka jest tutejsza *policja*? – rzuciła kolejne pytanie. – Znasz ich?

On tylko leniwie wzruszył ramionami: kto by to wiedział?

Są w mieście inne miejscówki? – drążyła. – Gdzie nas *policja* nie ruszy?

Może – odparł.

Podniosła jedną z jego figurek i obróciła ją w dłoni.

Skąd je w ogóle, do chuja, wzięłeś?

Jest takie miejsce przy lotnisku – odpowiedział. – Możesz tam wziąć autobus, jedzie dobrą trasą.

Uśmiechnął się, przykucnął i splótł chude kończyny, żeby przyjrzeć się dyskom. Dziewczyna wyjęła z plecaka szkło powiększające i pokazała mu.

Słońce – wyjaśniła.

Kiwnął głową i dalej podziwiał krążki.

Pochodzę z miejsca – dodała – bardzo daleko od słońca.

Gdzie to?

Irlandia. *Irlandes?*

Nigdy nie byłem.

I nie wychodzisz na tym gorzej, niż gdybyś był.

Jest nieładna?

Ach, to wspaniałe miejsce, ale skomplikowane, rozumiesz?

Słowa „skomplikowane” nie rozumiał. Powiedział jej, że powinna pojechać do magazynu przy lotnisku, gdzie można kupić rzeczy tanio, w ilościach hurtowych: biżuterię, chusty, cokolwiek.

Wtedy nie będziesz musieć siedzieć cały dzień na słońcu – dodał, po czym podniósł jej lupę i przyłożył do twarzy, powiększając swoje oko do olbrzymich rozmiarów.

To właśnie w hurtowni położonej w zapyziałej galerii niedaleko lotniska w Maladze Dilly poznała Frédérique, która to miejsce prowadziła – i trzeba było szczerze akcentować „q”, co samo układało usta w krzywy uśmiech. Frédérique była duża, puszysta i transpłciowa – trudno było zgadnąć, w którą stronę – oraz maczała palce we wszystkich nielegalnych interesach. Hurtownia funkcjonowała jako swoista przykrywka. Dniem i nocą wypełniała się starymi kanciarzami z marskością wątroby

i młodymi darmozjadami o ustach pomyleńców. To moi ludzie – czuła Dilly Hearne. Wkrótce zamieszkała w aglomeracji Malagi i codziennie odwiedzała lokal Frédérique, do której wpadali także gliniarze – oni też mówili jej po imieniu. Szemranych interesów i gier było mnóstwo. Pieniądze płynęły teraz z przewożenia ludzi. Każdy pochodził skądinąd. Gdy Frédérique zanurzała twarz głęboko w kubku i pociągała fajkę – późną nocą – opowiadała Dilly historie o miejscu, z którego przybyła. O lesie deszczowym w Brazylii. Mniej niż czterdzieści kilometrów, jak twierdziła, dzieliło ją od plemienia siedmiu rodzin, które w ogóle nie znały samochodów i elektryczności. Dilly długo wyobrażała sobie tych szczęśliwych Indian. Przypominała dziecko szukające pociechy w opowieściach. Wyobrażała sobie, jak jej żółte oczy płoną jaskrawym światłem nocą, w mroku dżungli, słyszała szeptane przez tubylców modlitwy i niski szum wielkiej rzeki, która płynie poza zasięgiem wzroku, lecz w pobliżu, a teraz – posłuchajcie – jakże skrzeczą w ciemności nienazwane ptaki.

*

Jeśli podejmie z mężczyznami rozmowę, będzie to oznaczało pewien koniec. Wychodzi na zewnątrz zapalić. Powietrze wypełnia nagle jakieś zakłócenie. Staje się zbite i naelektryzowane. Powinna odejść z tego miejsca i ani razu nie oglądać się za siebie. Ale chce porozmawiać.

W świetle lamp łukowych stadko marokańskich chłopców kopie piłkę na pustym placu obok kontenerów. Poza granicą portowych świateł wznoszą się brzydkie fasady bloków mieszkalnych. Miasteczko jak brzydsza siostra. Dilly często bywa tu przejazdem i nauczyła się jednego: im paskudniejsze miasto, tym życzliwsi ludzie.

Helikopter policji antynarkotykowej przylatuje znad wody i zawisa na chwilę nad lądowiskiem na dachu terminalu, po czym zniża się miękko, spoczywa. Widok jest bardzo uspokajający – dziewczyna czuje, jak jej tętno zwalnia wraz z obrotami śmigieł.

Unosi wzrok ponad linię wody. Nie powiedziano jej jeszcze, w którym hotelu ma się zatrzymać, gdy dotrze do Tangeru. Czeka na instrukcje od Frédérique.

Wyrzuca peta i próbuje wrócić do środka, ale musi podejść do automatycznych drzwi trzy razy, zanim te rozpoznają w niej istotę ludzką.

Trzyma się blisko ścian i przygląda się poczekalni oraz okienkom kas biletowych. Jedzie schodami na górę, a gdy to robi, kątem oka wciąż obserwuje mężczyzn. Ich niepowtarzalną kompleksję. Ich postawę. Znowu patrzą w jej kierunku i wtedy zdaje sobie sprawę, że jej nie widzą.

Szukają jakiegoś ducha o imieniu Dilly.

*

Nauczyła się jeszcze jednego – trzeba na siebie uważać w każdej sekundzie dnia. Jeśli się tego nie robi, mogą się zakraść kłopoty albo czyste zło. Uwaga przede wszystkim na słowa. Na piękne sentencje pojawiające się znikąd – mogą mieć wobec ciebie plany. Uwaga na elegancko splecione zdania, ozdobne sznury zdań. Uwaga na bogaty język – może oznaczać, że zaraz wybuchniesz słowami.

Czasami czuła, jak zmienia się w kogoś innego – coś innego – i wybudzała się ze snu pośród hiszpańskiej nocy (może w Blanes, może w Calandzie, może na Cabo de Gata), słysząc własną matkę, jak woła jednego z psów w zapomnianej alejce półwyspu Beara, dawno temu. Imię psa umykało, nim mogła je pochwycić – czy tym razem był to Krótki?

Nie była w stanie zapanować nad obrazami, które nawiedzały ją w bezsenne noce. Jej ród cierpiał na bezsenność od dwunastu stuleci.

Nigdy tam nie wróci, ale dom zawsze będzie tam, gdzie światło pada z ukosa blisko równonocy, w porach przejściowych.

Naprawdę byliśmy tak strasznie daleko od słońca.

*

Obserwuje ich z góry – dwóch mężczyzn na ławce, jednego ze sprawnym okiem, jednego ze sprawną nogą. Nie może do nich podejść. Nawet gdyby z nimi porozmawiała, co miałyby powiedzieć?

Że nie mogę was już obwiniać.

Kiedy była dzieckiem, goście zjawiali się o dziwnych porach. Mężczyźni w kapeluszach, roześmiane kobiety, czasem rozmowy podniesionym głosem, innym razem śpiewy. Wszystkie te nagłe przeprowadzki i wyjścia w środku nocy: „Znów musimy się zmywać, Dilly. Spakuj, co potrzebujesz, do plecaka-dinozaura”

Widzi swoją matkę w hotelowym łóżku – w dawnym Jurys Hotel przy Western Road – Cynthia udaje, że śpi (przez wzgląd na dziecko), ale przewraca się z boku na bok w okropnej, mokrej gorączce, dziewczynka czuje bijący od niej żar, jak z ceglanego pieca, a Maurice siedzi przy oknie, jest bardzo późno, lato, bardzo wilgotna noc, a on wygląda na parking, pali jointa i bardzo nisko, na przydechu, powtarza:

kurwa kurwa kurwa kurwa kurwa kurwa kurwa kurwa kurwa kurwa

...i od tamtej chwili Dilly wiedziała już, że zdecydowanie nie byli jak inne rodziny.

A Charlie Red zabierał ją na obiady do restauracji i wszyscy krążyli wokół nich po zacieśniających się kręgach, coś ich przyciągało, jakby zauroczenie albo hipnoza, ludzie pojawiali się znikąd i chwyтали go za rękę – „Charlie Redmond!” – a on zawsze zabierał ją na kolację albo herbatę i ciastko – bycie z Charliem wydawało się ucieczką – i dawał jej łyczek wina, i opowiadał po raz kolejny swoje stare kawały, i naśladował głosy, i kupował niepotrzebne drogie rzeczy i szeptał: „Co takiego, Dilly?”

Jesteś pieprzoną arystokratką.

I bardzo cię kochałem.

*

W porcie Algeciras panuje noc. Do Tangeru znów ma wypłynąć prom. Tłum to się zrywa, to toczy bezładną masą w kierunku bramek terminalu. Dwaj mężczyźni na ławce dokładnie przepatrują ludzką chmarę. Dilly przechyla się przez balustradę i spogląda w dół. Musi podjąć decyzję. Ale jest więźniarką przeszłości, która nie chce odpuścić. Pamięta, kurwa, wszystko. Nawet tamten poranek na pograniczu wieków, kiedy Maurice zabrał ją samochodem w miejsce nad wodą za śpiącym miasteczkiem Berehaven, i tamten dźwięk – donośne szust i klik – gdy pozamykał drzwi, a ona, nawet gdy miała cztery lata, wiedziała, skąd wziął się ten przerażający wyraz jego twarzy – wziął się z miłości.

Rozdział dziesiąty

RANA DOBREJ WOLI

W Kadyksie, Barcelonie, Segowii i Maladze,
i w porcie Algeciras, od 2000 do 2004 roku

Ale tak, Irlandia dopada człowieka wykurwiście szybko. Jej wykrzywione usta miałą w ciemności, szepczą o złych rzeczach. Wybiera odpowiedni moment i odsłania te zakrzywione szpony. Maurice uciekł od niej kilka tygodni po końcu tysiąclecia – całkiem poważnie uważał, że dopadła go pluskwa milenijna. Prawie zabił córkę. Stracił żonę. Dźgnął nożem przyjaciela. Śmierć była blisko – miał pewność, czuł jej świszczący oddech – a on dał przed nią dyla. Udał się do Hiszpanii, albowiem był to kraj rozległy i stworzony do tego, żeby się w nim ukrywać. Miał się tam zgubić na bardzo długo.

*

Wędrował bez celu. Starał się nakłonić swoje dni do ułożenia się w jakiś wzór, ale wzór nie istniał. Pił jak skurwysyn. Gadał do ścian. Pyskował policjantom. Wdawał się w naprawdę straszne bójki. Wstrzykiwał sobie herę między palce u stóp. Był w Hiszpanii w marmurkowej szarości jej lutego i dziurawcowej żółci jej popisowego czerwca. Nie podłapał języka. Przemierzył zarówno wąskie uliczki białych miast, jak i nory i knajpy ponurych miasteczek. Zgubił się w prawdziwym mroku hiszpańskich równin okrytych nocą. Jechał pociągiem, który stawał na każdej

najmniejszej wiejskiej stacyjce. Żył w samotności, którą sam sobie stworzył.

Przez prawie pięć lat dryfował po Hiszpanii. Wciąż był młodym człowiekiem, ale wcale nie czuł się młodo. Uciekał przed własną zaciętą kompleksją. Wrażenia zmysłowe, które pamiętał najwyraźniej –

chemiczna woń wiatru, który nocą owiewał plażę w Tarifie

kamienna ściana katedry, którą wieczorne słońce w Salamance rozgrzało tak, że parzyła

przyprawiający o migrenę jazgot głosów zebranych nad bistro na *estación de autobuses* w Grenadzie

– nie składały się w świadomość tamtego okresu, a jedynie nadawały mu fakturę. Nie mógł uchwycić tamtych czasów. Szybował na wietrze.

Przez pewien czas to w Kadyksie światło poranka znajdowało jego bladą skórę, wilgotne oczy, zwarte kości twarzy. Mieszkał tam z chudą Karimą na starówce.

*

Powietrze zasnuwał ciężki odór rybnego targu. Małe, nieprzeźroczyste łuski i pokrzywione ości walały się wszędzie na ulicy i wypełniały rynsztoki. Rybia krew – jej ostra, żelazista woń – wzbudzała skojarzenia z łożkowym rozpasaniem. Maurice wciąż znajdował się pod wpływem beznadziejnej żądz. Był udręczony, miotał się, pizda mu padła na mózg. Miał trzydzieści trzy lata, Karima skończyła czterdzieści siedem, a ruchała się pół nocy – wyczerpująco, tryumfalnie, znakomicie. Kobieta nie mogła zbliżyć się na mniej niż sto pięćdziesiąt kilometrów do Malagi, żeby ktoś

jej nie zabił. Gdy spała, cierpiała na nocne poty, więc sypiała rzadko. Rano smażyła Maurice'owi wróble. W brązowych rozdrobnionych kopczykach mięsa wciąż dawało się rozpoznać ptasie kształty. Skruszałe skrawki pachniały czosnkową oliwą.

Karima знаła prastarą magię. Jej rysy owiewały dziwne wiatry. Czasami jej twarz skrywała się za nieodgadnioną powłoką. Zdarzało się, że w trakcie aktu płciowego brała jego dłoń i wprowadzała palce do odbytu. Robiła to tak, że aż drżała.

Żeby dojść do siebie, Maurice późnym rankiem siadał na placu, pił czerwone wino i odbywał ze sobą długie, trudne pogawędki. Wiatr znad Atlantyku szarpał flagami Guardia Civil, które powiewały nad barakami. Mężczyzna pisał szalone listy do małżonki (pełne wykrzykiwanych insynuacji) i córki (pełne miłosnych szeptów), ale później natychmiast darł je i wyrzucał.

*

Wynajął mieszkanie od roztrajkotanego Szkota o twarzy pudła. Ten był policjant bezustannie relacjonował mu fabułę brutalnego dreszczowca, którego nigdy nie napisze: kryjówka mordercy, stos zakrwawionych skór zwierzęcych, zgrzyt zardzewiałego zawiasu klapy podłogowej. Co jest z ludźmi nie tak? To było pytanie, na które Maurice Hearne chciał poznać odpowiedź. Świat w nowym stuleciu popadł w jakieś paskudne otumanienie. Umierał z wulgarności. Do takiego wniosku doszedł Irlandczyk. Poza ruchaniem masturbował się nawet trzy razy dziennie.

Dni przelatowały jak zdania, tak samo noce.

A Karima obróciła się przeciwko niemu – wiedział, że to nastąpi – i zaczęła rzucać na niego złe czary. Zaklinać go po swojemu. Chciała wszystkich jego pieniędzy, a przynajmniej tego, co z nich zostało.

Wypadła z interesu. Jej dni były policzone. A wysoko na szczytach gór Rif stał namiot pełen wychudłych braci czekających na przelew.

Między roślinami w mieszkaniu Karima ukrywała dziwaczne pakunki. Kołtuny psiej sierści, ptasie kości, pęki suszonych ziół, a raz nawet – komedia – kurzą nóżkę. Maurice budził się w środku nocy i widział, jak przykucnięta nad jego piersią mamrocze mrocznie. Nie były to spokojne noce. On także szeptał własne zimne słowa w jej lędźwie, w jej brzuch.

Działo się to w Kadyksie, którego mieszkańcy to *gaditano*.

W Andaluzji wiosną dwutysięcznego roku.

Karima opowiadała mu stare historie – opowiadała o ojcu.

Pewnego razu w porcie Algeciras *policía* zabrała jej ojca do baraków – otwarto szafkę pełną skonfiskowanej broni i kazano mu coś wybrać, ponieważ była to jedyna szansa, by uszedł z miasta z życiem. Całe rzędy maczet i długich noży lśniły w świetle jarzeniówek, ponadto kastety i wykonane metodą „zrób to sam” stalowe majchry o zakrzywionych uchwytach. Tubylczy arsenał charakteryzował się pomysłowością, jak to w katolickim kraju.

Ojcowie rzucają dłuższe cienie. Matkami w końcu przestajemy się przejmować, ale ojcami prawie nigdy – powiedziała Karima.

W Kadyksie Maurice błędził pośród kostno-żelazistego zapachu rybnego targu pod naporem mentalnych obrazów seksualnego szału. Właściwie to się do nich, mniej lub bardziej, przyzwyczał. Co stanowiło niebezpieczną sytuację.

Pił, ruchał się i wygłaszał tyrady. Mało sypiał w nocy. Mieszkał w onirycznym amalgamacie miejsc. Jedne miasta stawały się innymi, ulice bliskie zmieniały się w dalekie. Pocałunki Karimy smakowały dymem i oliwą.

Pieprzyli się także o poranku. Po większości nocy znajdował między doniczkami pochowane tam dziwne pakunki. Pozostawał szarmancki i pozbywał się ich bez słowa. Brał pod uwagę możliwość, że kobieta próbuje go otruć.

Ale, och, jaki piękny był przykurzony brąz jej źrenic: orzechowy odcień rodem z Sahary, niby wydma pędzona wiatrem albo pióra dzierlatki.

W ciemności kochankowie dzielili się swoimi snami i koszmarami o wybrzeżach Berberii.

*

Karima wyłączyła telewizor wyświetlający mecz piłki nożnej na stadionie Bernabéu, kopnęła ścianę i oznajmiła, że ze sobą zrywają. Zero wyjaśnień. Padł na kolana i ze łzami w oczach wyznał jej miłość, a jego akcent z Corku nigdy nie brzmiał wyraźniej.

Walnęła go w twarz.

Na ustach poczuł seksowny smak krwi.

Kobieta zaczęła wyrzucać jego rzeczy przez balkon, maszerowała z nimi w tę i we w tę po pokoju z ożywionymi kośćmi policzkowymi i ustami morderczyni.

Tylko nie moje, kurwa, płyty, złotko – powiedział.

Wyrzuciła go z pokoju. Silna była jak pierdolony ogier. Zatrzasnęła za nim drzwi.

Ej, weź się, do chuja, uspokój, Rima, co?

Ale gadał do ściany. Obrazek rozpułynał się w powietrzu. Teraz Maurice Hearne w samej koszuli stał na ulicy w deszczu. Karima kontynuowała zrzucanie jego rzeczy.

Tylko nie, kurwa, winyle!

Próbował łapać je, gdy wirowały w powietrzu.

Karimo! Zbierałem te płyty całymi, kurwa, latami!

Stał na ulicy wieczorem w rozmytym deszczem świetle. Gaźnik rozpieprzonego *moto* strzelił niczym pistolet, ale mężczyzna nawet nie drgnął. Miał poważniejsze rzeczy na tapecie.

Karima wymyślała mu, błyskając zębami z balkonu. Nazwała go kłamcą, alfonssem, pedałem.

Wokół niego pękały winyle.

Nuty rozbijały się na chodniku.

Tamtego roku w Kadyksie nasza miłość była czymś ulotnym.

Zauroczeniem, które pełźnie ku granicy zabójstwa.

Karima nazwała go trzęsidupą, tchórzliwym szczurem, cipą.

Na zachodzie, ponad murami obronnymi i wodami oceanu, ciemność obramowała niebo.

Krzykliwe ptactwo Atlantyku zbijało się w mordercze stada, zupełnie jak w domu.

Ale teraz przynajmniej znowu czuł się sobą. Bez wątpienia rozgrywało się przed nim nie lada widowisko. W bocznej uliczce Kadyksu kobieta w obcisłej czarnej sukience wściekała się na balkonie. Sposób, w jaki zginały się jej długie, patykowate kończyny i błyskały bielą wysunięte do przodu górne zęby, wyglądał iście kinowo – a zęby były kłami wampirzycy.

Maurice stał teraz beztrosko z rękami opartymi na biodrach w deszczu opadających na bruk rzeczy.

Kadyks oddychał cicho i spokojnie niczym wyczekujący wąż.

Karimo? Weź daj se spokój.

Jeszcze trochę szalała na balkonie. Deszcz kapał z nieba, chwile przelatowały, w powietrzu unosił się zapach fermentu i stęchlizny po karnawale.

Karimie w końcu wyczerpały się baterie. Przewiesiła się przez balustradę, wycieńczona, i mężczyzna wiedział, że może szybko zwrócić się znów w stronę miłości.

A dalej:

Młodzi włóczędzy uderzali w bębny i pudełka po ciastkach na złanej dżdżem plaży i palili haszysz, dziewczyny śmiały się, a psy oszczekiwały gwiazdy oraz deszcz.

Działo się to w Kadyksie, w roku dwutysięcznym, na wybrzeżu świateł i magii.

*

Remick poznał na Placu de Catalunya. Również miała ciemną skórę i pochodziła z Australii. Wczepiła się w niego jak naćpany wombat. Zabrał ją do baru, którego był w latach dziewięćdziesiątych właścicielem, w bocznej uliczce dzielnicy Eixample. Pokazał jej to miejsce z wielkopańską pozą. Swego czasu wyprał w nim pieniądze, po czym go odsprzedał. Wciąż wystawiano tam tacki sardeli w zielonkawej oliwie z kawałkami czosnku. Ulice wciąż krzyżowały się w tych samych miejscach. Zostało mu obecnie około dziewięciu tysięcy. Usiadł ze śliczną Remick przy stoliku w głębi, tym, przy którym siadywał kiedyś. Dziewczyna miała uśmiech jak bomba domowej roboty. Nie obejmował jej oczu.

Powiedział: Remick, mógłbym ci nocą powiedzieć takie rzeczy, po których byś się w życiu, kurwa, nie pozbierała.

Przez pewien czas mieszkali razem w dzielnicy Gràcia. Pili za dużo i za późno. Kłócili się celnie i jadowicie. Palili crack. Lali się jak pijane

goryle. Gràcia nie była już tym samym miejscem, co dawniej. Nie można było dostać dobrej heroiny. Teraz otworzyły się tam sklepy ze specjalnym miodem – „kwiatem gór”. Nowe tysiąclecie okazało się jebanym okropieństwem. Maurice należał do tego poprzedniego. Małe, eleganckie pieski spacerowały w kubraczkach w świetle zimowego słońca Katalonii. Któregoś ranka Remick tryknęła go głową – maniery miała niczym pierdolony owczarz – i znów zaczęli się kochać. Kiedy Irlandczyk doszedł, zobaczył wszystkie gwiazdy w niebie.

Wszędzie śledzili go dwaj chłopcy z Maroka.

Widział ich w dzień i w nocy.

Czaili się w rogach placu w dzielnicy Gràcia.

Chudzi, koło dwudziestki.

Maurice był przekonany, że nasłatała ich Karima.

Patrzę w tę stronę, Remick? O nic więcej się, kurwa, nie pytam.

Ale ja w ogóle nie wiem, o kim mówisz!

O dwóch jebanych Marokańczykach.

Nikogo nie widzę.

Oj, to otwórz, kurwa, oczy i się przyjrzyj, co?

Obrócił się szybko na krześle w kawiarni, ale dostrzegł na zewnątrz co najwyżej mignięcie znikających w cieniu prześladowców. Oto z kim miał do czynienia. Wszędzie, gdzie się ruszył, czuł na plecach oczy chłopaków z gór Rif, jak noże wycelowane między jego łopatki. Kolejne miejsce, z którego potrzebował się wynieść: Barcelona, rok dwa tysiące trzeci.

*

Zaczął tracić zdolność rozmawiania z ludźmi. Zbyt długo nie używał języka. Gubił słowa. Działo się to w mieście wewnątrz łądu, pośrodku lirycznej zimy Segowii. Kochał Dilly i Cynthię. Nie mógł się z nimi widzieć. Przed kafejką internetową stał młody Rom z dziewczyną – sprzedawali kobiałki kasztanów prażonych w specjalnym wózku i się całowali. Wyglądali jak z roku tysiąc pięćset osiemdziesiątego trzeciego. O zmierzchu powietrze było granatowe i unosiły się w nim obłoki starej poezji. Maurice nie udawał już, że wesołe słowa, które naskrobał na odwrocie pocztówki, zostaną wysłane do córki. Nie umiał już sobie wyobrazić, jak zmieniła się jej buzia. Siedział przy oknie kafejki i patrzył na krętą uliczkę wiodącą w górę, na plac katedralny. W wyszukiwarce odnalazł zdjęcia z lasu pod Ummera: widmo słonecznego blasku nad zetlałym kawałkiem Irlandii. Woń jego melancholii. Mężczyzna podał pocztówkę.

W nieuniknionych snach wędrował do starych lasów wokół Ummera w północnym hrabstwie Cork.

Pierwsze lata życia spędził w tamtej okolicy z cierpiącym ojcem i ze stoicką matką. Ojciec pochodził z zachodu, z łysych jak kość wzgórz półwyspu Beara. Drzewa w lesie Ummera wytrąciły go z równowagi. Tak uważała matka. Tętnice pulsowały jak dziwaczne dżdżownice u nasady jego szyi. W Segowii kościelne dzwony wybijały posępne nuty godzin, półgodzin, kwadransów. W tych okolicach w dalszym ciągu przedobrzeni z dzwonieniem. Ojciec był ogromnie religijny. Kiedy

przeprowadzili się do miasta, przyłączył się do ruchu charyzmatycznego. Ze spotkań musieli go prawie nosić do domu. Omdlenia. Glosolalia. Ojciec często gubił też wątek w zdaniu. Zapominał drogę na językowych zakrętach. Podczas popołudniowych drzemek w jego ustach pojawiały się dziwne, pradawne słowa. Maurice obserwował go jako chłopiec, a gdy był nastolatkiem, ojcu się pogorszyło, tu zaś, w Segowii, nadal czuł piętno, jakie odciskał na nim niespokojny ojcowski duch.

Czuł się starszy, niż był. Bał się własnego odbicia w oknach podczas hiszpańskich wieczorów. Wierzył, że przybyło mu lat. Twarz wyglądała na zapadłą. Widział w niej zarys czaszki. W ustach czuł jakby robaki. Jego ciało stało się grotą śmierci. Miał trzydzieści sześć lat, na jebaniutkiego Chrystusa. (I chłodną pewnością, że trzydziestu siedmiu nie dożyje). Poszedł do baru przy Calle Marqués del Arco, łapczywie pożarł smażoną rybę i cienkie plastry jamón i pił czarną rioję i zimne piwo z kija, i nie krył się ze łkaniem, i nikt nie zwracał na niego najmniejszej uwagi. Grube niewidome dziecko śpiewało w telewizyjnym konkursie talentów, a klienci baru słuchali w napięciu i zaczęli klaskać do rytmu – była to hiszpańska wersja starego kawałka The Carpenters – a wszystkie podbródki dzieciaka drżały. Maurice Hearne tak bardzo się wzruszył, że aż wymioty podeszły mu do gardła. Wcisnął w siebie piętękę od chleba, by zatkać sobie przełyk.

Epizod segowijski tamtej zimy był tragikomiczny, kapryśny i piękny.

*

Znowu na południe, przyciągany przez stare morze. Plaża Malagueta w ogóle się nie zmieniła. Na skałach na jej wschodnim krańcu pająkowaci starcy i biedni brązowoskórzy chłopcy łowili ryby. Panowała jasna, gorąca wiosna. Na wzgórzach nad miastem ekspresyjnie wznosiły się wielkie wille. Drapieżne ptaki szybowały w rozgrzanym powietrzu. Krzepcy wiekowi Niemcy spacerowali promenadą w słońcu. Maurice położył się na kamiennym falochronie. Był krabem wygrzewającym się

w wiosennym słońcu. Miewał chwile dziwnej, niezachwianej wiary: wierzył, że odzyskanie Cynthii oraz Dilly jest możliwe.

Żar był wręcz religijny. W kanałach ciała mężczyzny rozlegał się ponury rumor. Gburowaci biegacze sunęli przez promenadę w nierozzerwalnych parach. Maurice wsłuchiwał się w starą robotniczą Malagę z jej katolickimi dzwonami i katolicką ciszą. Zmrużył oczy, żeby wejrzeć w bezkres nad swoją głową.

Och, jakie biało-niebieskie niebo rozpościera się teraz nade mną – czy powinienem mu się wyświadczyć?

Długo trwał na kamieniu, aż żar słońca ustąpił i, niczym opuszczona zastona, powrócił łaskawy chłód wieczoru.

Wieczne ulice Malagi wciąż wygrywały tę samą, niewyraźną muzykę. Oglądał je spod powiek ciężkich jak kłapy w podłodze. Widział habity mnichów i drobnych, smutnych zakonnic. Siedział na jednoosobowym łóżku w pensjonacie koło Calle Larios. Wsłuchiwał się w pomruk wieczornego *paseo*, szmer plotek i rozmów. Dawał odpocząć oczom. Pił piwo Cruzcampo z małych puszek i wraz z moczem wylewał do zlewu resztki swojej urody. Czuł, jak glisty ryją mu za oczami.

Jak w zegarku – powiedział na głos.

Przeszłość zmieniała się i ułożyła na nowo. Nie mógł wyjść poza jej zasięg. W tamtej chwili stała się płynna. Rzucił nawet do swojego ojca kilka luźnych odzywek. Następnie przeszedł do mniej luźnych:

Zdawało mi się, że jestem dużo silniejszy od ciebie.

Czy prawdziwa ekspresja – chłodna, bezpośrednia, prosta – czy ona kiedykolwiek wybija się na powierzchnię? Oto był mężczyzną nie całkiem już młodym, który szczał do zlewu w pokoju za trzydzieści pięć euro w Maladze. Ze swoim arcyzdrajcą w dłoni. Starczy za ekspresję.

Wszedł w noc i pił z Algierczykami w barze koło doków. Musiał znowu zorganizować przerzut. Wierzył, że da się to zrobić. Skontaktował się z Charliem Redmondem. Nastała zdecydowana odwilż. Lubił delikatność cichej, konspiracyjnej mowy Algierczyków. Ani na jotę nie rozumiał, o czym dyskutują. Pragnął oczyszczenia w ostrym świetle morza, w miejscu, które nie znało jego imienia.

Napady ojca sprawiały, że świat kołysał się i garbił. Kiedy Maurice był dzieckiem, rodzic często trafiał do szpitala. Pobyty na oddziale stawały się coraz dłuższe i dłuższe. Matka objaśniała wszystko wprost i bez emocji.

Maurice poczytał o tym. Dowiedział się, że do punktów na głowie ojca przyczepiają elektrody. Za ich pośrednictwem przepuszczano przez ciało kontrolowane ilości prądu, żeby pobudzić mózg. Powodowano tym chwilowe napady drgawkowe. Ojciec widział, jak lekarze ulatują z sali ku błękitnemu niebu, gdy zaczynało działać znieczulenie. W hipokampie tworzyły się nowe połączenia.

Ale kiedy nastroje ojca stabilizowały się, gdy wracał ze szpitala, opanowywał go też dziwny, szary spokój. Był nie z tego świata. Zakłócał cały sen w domu.

Malaga łagodnie weszła w godziny nocne. Do portu przybijał liniowiec z Genui. Na dźwięk jego basowej syreny zjawiły się prostytutki. Bar miał pozostać otwarty całą noc. Maurice Hearne nie potrzebował niczego innego, jak tylko siedzieć cicho na grzbiecie smutnych, starych snów.

*

W porcie Algeciras zebrała się zbrodnicza rezygnacja połowy Europy. Powietrze pachniało średniowieczem. Bezpańskie dzieci wielu nacji przycupnęły tu, naćpane albo pijane. Wszystkie bębny, dziewczyny i psy stały w szeregach. W ciemności migały małe ogniki palonych fajek. Panowała atmosfera podniosłej ceremonii. Dzieci były często całkiem pozbawione humoru. Nocami port emanował gorącem i miał w sobie coś diabolicznego. Przywoływało to na myśl przeszłość, ale należało do nowego wieku. W tak pogodną noc dało się dojrzeć na południu światła Tangeru.

Godziny oczekiwania Maurice postanowił spędzić na spacerze po starych portowych uliczkach. Z głębi alejek przyglądały mu się tajemniczo dziwne drapieżniki. Znajdował się w jednym z nieodgadnionych miejsc Ziemi. Kiedy się poruszał, czuł się obserwowany albo nagrywany. Zdawało mu się również, że do czegoś się zbliża. Cekał na nocną przeprawę na drugą stronę czarnej wody. To, co zostało z pieniędzy, ukrył w małych zwiłkach rozmieszczonych na ciele. Musiał odzyskać swoje kobiety.

Gdy wreszcie rozległa się syrena nocnego promu, przeniosła świat w starszy schemat. Tupot stóp na nabrzeżu i trapie kojarzył się nieco z wojną. Statek ruszył po spokojnej wodzie. Fale maszerowały regularnie jak szeregi wojska. Łódź wygrywała żwawy marsz. Maurice wyruszył do Tangeru bez żadnego planu. Szybko otoczyła go z każdej strony czarna noc.

Następnego dnia w pensjonacie w dzielnicy arabskiej tego przekłętą miasta otworzył sobie żyletką lewe oko.

Rozdział jedenasty

OSTATNIA NOC NASZEJ ZNAJOMOŚCI

Podczas wypływania z portu Algeciras,
październik 2018 roku

Z perspektywy promu światła Algeciras zaczynają niknąć w październikowej nocy. Górujące nad miastem ciemne szczyty maleją w oczach. Fortyfikacje Gibraltaru rozmywają się pod wiszącymi zwałami chmur. Gdzieś w oddali odzywają się gromy. Telefon Dilly wibruje, dziewczyna sięga po niego i czyta esemes od Frédérique, wskazujący hotel w Tangerze – znowu El Muniria. Więcej nie potrzebuje, wyrzuca telefon do wody. Jebać wasze stawki za roaming i dopłaty.

Czerń nocy przecina reflektor helikoptera policji antynarkotykowej przeczesującego cieśninę.

W powietrzu wisi jakiś wielki ciężar – napięcie, od którego aż trudno dziewczynie oddychać – a gwiazdy są tej nocy niewidoczne. Znad wody unosi się chłodna bryza. Burza zbliża się pod postacią naelektryzowanego powiewu.

Wzdłuż balustrady górnego pokładu ustawiają się nikotynowi nałogowcy – Marokańczycy są nienasyчени, to najwięksi palacze

na świecie, a Dilly pali razem z nimi. Milczący wędrowcy pogrążeni w niespokojnych wewnętrznych dialogach. Z wnętrza promu dobiega arytmiczna muzyka.

Teraz, gdy statek jeszcze bardziej się oddala, następuje ściemnienie i Algeciras znika w mroku.

Kiedy ma się dwadzieścia trzy lata, są takie chwile, podczas których życie to jedynie film. Dilly zdiera z siebie skórę i wrzuca ją do wody. Tej zimy nie wróci z Maroka. Może pojedzie na sezon do As-Sawiry i znajdzie sobie chłopaka lub dziewczynę. Wreszcie sama przygarnie jakieś psy.

Wyobraźcie sobie teraz drobną dziewczynę o krótko ściętych włosach, która zimową nocą biegnie przez plażę z psami – ma chłopięcą figurę, prędkie ruchy – a kiedy woła czworonogi, jej głos brzmi śpiewnie, melodyjnie i właściwie nadal irlandzko.

Na pokładzie nocnego promu do Tangeru może pozwolić przeszłości się rozpuścić. W terminalu przeszła tuż obok przepatrujących tłum mężczyzn i wyzywająco zwróciła twarz w ich stronę. Odezwać się do nich oznaczałoby powrót zza ochronnego ekranu, który zbudowała przez trzy lata ciężkiej pracy.

Czarna woda rozstępuje się i idealnie zstępuje wokół tnącego ją statku.

Marokańscy palą i piją piwo Mahou, a gdy Tanger zaczyna majaczyć na horyzoncie jako niska obręcz światła w południowym mroku, przyciszonymi głosami podejmują rozmowę.

Tu, na południu, nastało podłe stulecie. Będzie tylko gorzej. Dilly teraz ma dość pieniędzy, żeby odejść od Frédérique. Nocny prom płynie

prostym kursem przez morze. Stwarza wrażenie posuwania się z armią, uczestniczenia w przemarszu wojsk.

Dilly przenosi się do środka i z łoskotem schodzi po żelaznych schodach do baru, świadoma spojrzeń, jakie przyciąga. Układa twarz w specyficzny wyraz i nikt, ale to nikt nie podchodzi do drobnej dziewczyny o tlenionych, krótko ściętych włosach.

Wczesnym rankiem usiądzie na tarasie w hotelu El Muniria, zamówi kawę i ciastka w towarzystwie campowych Anglików, którzy są tam zawsze. Być może będzie musiała poczekać trzy dni, może cztery. Stoicki czas. Po przejściu burzy światło będzie jasne, powietrze czyste i przejrzyste. Usłyszy śpiew muezina płynący znad medyny i zobaczy wielkie ptaki, które szybują nad białym wybrzeżem o zmroku.

Teraz odetchnij i zrób krok naprzód, o jeden krok dalej od przeszłości.

Wejdz w uliczki ciasne niczym kości w ciele, białe ścieżki labiryntu, i weź głęboki oddech.

Odetchnij i zrób kolejny krok.

*

Jesteś pewien, Maurice, że to nie była ona?

Całkowicie, Charlie.

Wiesz, co jest z nami nie tak, Moss? Tak długo gapimy się już w ludzką tłuszczę, że nasze umysły zaczęły nas oszukiwać.

Nasze zrąbane mózdzki szwankują. Ot, cały nasz problem, Charles.

Ale wiesz, przez pół minuty...

Przestań.

Prawie pomyślałem...

Ja też miałem podejrzenia, Charlie. Było w niej coś jakby... Sam nie wiem. Jakaś kompleksja?

Poczułem się trochę...

Taa.

Że moje nogi, one...

Dech zamarł mi w piersi, Charlie. Mówiąc całkiem szczerze. Nadal trudno mi oddychać. Nadaję się pod kroplówkę.

Ona, kurwa...

Widziałeś, jak się obróciła i przesyłała nas wzrokiem na wylot, Charlie?

Z czymś w rodzaju chłodu... Kimkolwiek była.

To zdecydowanie mogła nie być ona.

Zdecydowanie myślę, że nie była. To tylko nasze...

Na pewno. Przecież ile my już czasu tu, kurwa, siedzimy?

Halucynacje. Oto do czego doszło, Moss. Żal serce ściska.

Co za nedorzeczności lęgną się nam w mózgach.

A nawet jeśli to była ona, Maurice, to wiesz co?

No?

Dziewczyna była bez lęku.

Prawda. Poradzi sobie.

Serce pędzi mi jak pierdolony chart, Moss.

Wiem.

Dałbym się związać i znieczulić.

Nie wspominaj mi o znieczuleniu, Charlie. Już to, kurwa, przechodziłem. Nigdy więcej nie chcę tego robić. Nigdy.

Zalega niezręczna cisza: znów przesuwiają się stare czasy, zmieniają pozycję niczym uskoki płyt tektonicznych.

Przeszłość nie chce odpuścić.

Rozdział dwunasty

WIECZOREK FILMOWY W WARIATKOWIE

W Corku, kwiecień 2013 roku

Działo się to w jeden z tych gorączkowych kwietniowych poranków, kiedy oczy latają człowiekowi jak niedokręcone. Panował zbyt duży zgiełk. Żona wyrzuciła Maurice'a Hearne'a z domu na półwyspie Beara i próbowała zwrócić przeciw niemu córkę – stara zagrywka, dwa strzały i sandały. Nie miał już na to siły.

Szybko się pogubił. Czuł zmianę pór roku w ostrym pulsowaniu gruczołów. Na modrzewiach (nienagannie wyprostowanych i aroganckich niczym chirurdzy) rosnących wzdłuż alei prowadzącej do psychiatryka nieprzyzwoicie puchły pąki – nie mógł oderwać od nich oczu, wyglądały jak jebane sutki. To zawsze niebezpieczne, kiedy świat ponownie budzi się do życia.

Jego matka, Cissie, prowadziła go za ramię przez teren starego, wiktoriańskiego szpitala. Wycierpieli razem tydzień. Dni łez i gniewu, noce bicia piany i demonicznych wizji, pełen zestaw. W to obce miejsce przyjechali taksówką, ale Maurice wcale nie pamiętał podróży, która

skończyła się zaledwie przed minutą. Równie dobrze mogłaby mu powiedzieć, że za kółkiem siedział gadający mrównik.

Szli przed siebie, a matka uciszała go i uspokajała. Stroiła do niego dzióbki i cmokała z wilgotnymi mlaśnięciami – z miejsca by ją udusił, gdyby miał na to siłę – a jej westchnienia słały bańki rozpachy w przejrzyste, zimne powietrze.

Ziemia otwierała się, budziła: dało się wyczuć niby drożdżową stęchliznę. Wesole białe kwiaty potrząsały grzywami niczym kucyki na pokazie. To matka nalegała, żeby Maurice'a skierowano na oddział psychiatryczny.

No, dalej, Moss, chłopcze, to nie twoja wina.

Weź ty, matka, zamknij, kurwa, gębę, dobra?

Nastały przykre czasy. Cynthia powiedziała „dość”. Dilly osiadła niczym kupa kompostu. Z Charliem Redmondem nie rozmawiał już od kilku lat. Wciąż istnieli tacy, którzy chcieli jego śmierci.

Słońce przeciskało się przez modrzewie cienkimi, białymi promieniami, a matka rozluźniła się w poczuciu głębokiej ulgi – poczuł, jak wątłe uścisk na jego ramieniu – kiedy wprowadziła go po kamiennych schodach i przez masywne drzwi.

Psychiatryk.

Dom bez klamek. Wariatkowo.

W gabinecie konsultacyjnym, zupełnie jak dziecko, ścisnął jej dłoń, by dodać sobie otuchy.

*

Nie był zwyczajnie opętany przez zbrodnie i ekscesy – był ich wychudłym wcieleniem. Pragnął ucieczki, ale nie mógł popełnić samobójstwa. Z własnej woli nigdy nie pozbawiłby świata swojej osoby. Miał prawie czterdzieści siedem lat i, wyjąwszy jakiś kaprys losu, musiał przemęczyć się do usranej śmierci.

Konsultant był typową dla takich miejsc postacią: wiekowym, przysadzistym lawirantem, który zdawał się bardziej niepoczytalny od Napoleona.

Nie rób pan min, doktoru – rzucił Maurice.

Oj, Moss – oburzyła się matka.

Psychiatra wyjął usta z rozbawienia.

Wybacz mi, ojciec, bo zgrzeszyłem – powiedział pacjent. – Minęło dwadzieścia osiem dni od mojej ostatniej kolacji z kurczakiem.

Słyszał tyle, ile słyszą psy. I równie dużo rozumiał. Był w stanie wywęszyć najdrobniejsze rzeczy: na przykład woń zatęchłej skóry na podszwach czerwono-brunatnych pantofli konsultanta.

Czy powiedziałby pan, że jest pan w tej chwili pobudzony, panie Hearne?

Jak jasny chuj – odparł.

Maurice – odezwała się matka – mówże grzecznie.

W porządku, pani Hearne.

Delikatnie, samymi opuszkami, psychiatra uniósł z blatu biurka formularz.

Czy jesteś gotów podpisać zgodę na leczenie, Maurice?

Jestem gotowy skoczyć zgodzie na grzbiet – odpowiedział – i wymyślić dla niej spieszczenie.

On znowu bredzi, doktorze. Wszystko ci się miesza, Mossie. Proszę nie zwracać uwagi na ten mętlik słowny.

Maurice wysmarował na formularzu swoje inicjały z pysznym zakrętasem. Uniósł kartkę na wysokość twarzy: w tych oto gryzmołach zawarły się wszystkie fakty na jego temat.

Teraz to sobie wypoczniesz – powiedziała Cissie. – Będziesz nie do poznania, Maurice.

Mam panu przeliterować jednostkę chorobową, doktorze?

Oj, Moss...

H. E. A. R. N. E.

*

Pierwszy etap leczenia obejmował trzy dni farmakoterapii silnymi środkami uspokajającymi, ale Maurice był tak cholernie spięty, że trudno mu było spać. Tracił i odzyskiwał przytomność w pokoju o ścianach w kolorze złamanej bieli. Jakby dryfował po morzu. Jednego razu obudził się z nagłą świadomością, że jest kryminalistą – wtedy pierwszy raz w życiu tak o sobie pomyślał.

Widział jednak, jak skrawek nieba za oknem przecinają pierwsze tamtego roku jaskółki, ciągnąc za sobą mocne, niewidzialne nici, które – był tego pewien – chronią świat przed rozpadem.

*

Stopniowo, wraz z upływem dni i zmniejszaniem dawki leków, Maurice przeszedł z ciężkiego półsnu w stan większego spokoju i przytomności. Czas mijał, rok za rokiem. Małżeństwo raz istniało, a raz nie – miłość nie zmaląła. Kupił czternaście mieszkań w Budapeszcie i odsprzedał je po bardzo niekorzystnej cenie. Razem z Charliem Redmondem zgubili półtorej tony marokańskiego haszyszu. Nigdy jej nie znaleźli. On i Charlie także raz się rozstawali, a innym razem schodzili. Kolejne pory roku płynęły nieubłagane, lata leciały naprzód. Życie jak pierdolony żart. Kurewsko piękne. Nigdy nas nie złapali – to najważniejsze.

Teraz zdał sobie sprawę, że z miejsca trochę na zachód od niego dochodził głos – stary, zaciągający po wiejsku – a po pewnym czasie dotarło do niego, że nie był to głos wewnętrzny, tylko prawdziwy, dochodzący z sąsiedniego łóżka – jedyne inne, jakie stało w sali. Gdy tylko nabrał sił, obrócił się w tamtą stronę i ujrzał masywną, leżącą postać kogoś w typie starego rolnika.

Jakiś nieszczęśnik z gór – zgadywał Maurice – który, być może, nazbyt uważnie słuchał deszczu, aż zaczął spełniać polecenia szepczących w szumie głosów.

Starzec leżał na utyłanej śliną poduszce, z oczami utkwionymi w skrawku bladego nieba, skąd sączyło się skąpe światło, i splekanymi ustami wypowiadał słowa brzmiące jak oskarżenia.

„Jakbym mało miał na głowie” – pomyślał Maurice Hearne i pożałował staruszka.

*

Wraz z upływem kwietniowych dni, gdy wróciły mu siły i zaczął jeść jajka na twardo o czwartej po południu i pić mocną herbatę całymi kubkami, Maurice mógł wreszcie podnieść się z łóżka i dołączyć – co wydawało się nieuniknione – do procesji chorych w zielonym korytarzu. Odkrył, że możliwość stawiania nogi za nogą bez poczucia szalejącej gdzieś w środku wojny nie była całkiem pozbawiona uroku.

Tym razem było gorzej niż w dziewięćdziesiątym dziewiątym, gorzej niż w dwa tysiące czwartym, gdy rozciął sobie oko w Tangerze. Lecz teraz znów dochodził do siebie – jakby z wysiłkiem wynurzał się z głębiny – i rozgrzewało mu serce jedno z wielkich pocieszeń: że rzeczy najokropniejsze nie trwają bardzo długo.

*

Rolnik też doszedł do siebie. Po paru dniach usiadł na łóżku i poprosił o herbatę i dziennik „Irish Examiner”. Ci starsi jegomoście tak uważnie odczytują wewnętrzne zmiany pogody – na jego ustach zawitał wyraz zadowolenia, który sugerował pewność, że najgorsza burza już za nim. On i Maurice zaczęli ze sobą rozmawiać.

Kiwi – powiedział starzec konspiracyjnym szeptem.

Co proszę?

Kiwi – powtórzył rolnik – są najlepszym lekarstwem na problemy z głową.

Tak pan mówi?

Przeczytałem w gazecie. Nowe odkrycie naukowe. Jedno kiwi dziennie działa na równowagę wewnętrzną nie gorzej niż piguły.

Farmera wypuścili na wolność wcześniej niż Maurice'a, co o czymś, kurwa, świadczyło. Chadzał zielonym korytarzem. Roztrajkotana matka składała mu wizyty i zachowywała się tak, jakby nic się nie stało – jakby ostatnie noce nie wywaliły ich w kosmos aż na pierścienie Saturna. Rozmawiał z Cynthią przez telefon.

Nic ci nie będzie – powiedziała. – Po prostu taka pora, wiesz? Pora, żebyś pobył sam, Maurice.

Mogę zobaczyć się z córką? – zapytał, a ona nie odpowiedziała.

Pewnego ranka obudził się po długiej, pozbawionej snów nocy i odkrył, że na łóżku obok zakwaterowano nowego pacjenta: długą, chudą postać miotającą się wściekle w psychotropowych majakach.

Był to Charlie Redmond.

*

Rzecz jasna, w Charliego Reda można było wpompować Ganges litu, a i tak nie dał się powalić.

Maurice z dawną sympatią oraz rozbawieniem obserwował, jak Charlie wstaje z łóżka i drepcze po pokoju na podobieństwo zmaterializowanego wrzasku człowieka: oczy jak na czułkach, twarz blada i napięta, kolana skaczące tak, że prawie łaził po ścianach, a z tyłu powiewająca koszula szpitalna bez pleców. Tamtejsza Florence Nightingale co chwila wpadała do sali i bezowocnym błaganiem próbowała skłonić go, żeby wrócił do łóżka.

Zaufaj jej, Charlie. To pielęgniarka.

Ale jeśli Charlie Red w ogóle tam był, to jeszcze nie całkiem. Oczy miał otwarte, ale niewidzące: jeśli podczas napadów chodzenia patrzył na Maurice'a, to tylko jak na zjawę.

Patrzył tak, jakby to duch Banka siedział na sąsiednim łóżku.

*

Maurice czuwał nad rozbitym przyjacielem, gdy ten powoli wynurzał się z mgły, i czekał, gotowy, ze szczwanym uśmiechem, kiedy oczy Charliego wreszcie otworzyły się naprawdę.

Chcesz, żeby cię dobić poduszką, Charlie?

Moss?

Jestem przy tobie, stary druhu. I chyba nawet wróciło mi dość siły w rękach, żeby to dla ciebie zrobić.

*

Niczym podczas powolnego zbliżenia obiektywu, dni odzyskały ostrość. Noce także na swój sposób przejaśniały. Mężczyźni na nowo odnaleźli drogę do rozmowy – i braterstwa.

Jak się masz, Maurice, tak ogólnie?

Pojebało mnie, Charles. A ty jak tam?

W zupełnie nieprzyzwoitym stanie.

Rozmawiali, żeby odpędzić nudę oraz lęk. Łykali leki z entuzjazmem („Idzie wesoła tacka” – mawiał Charlie Redmond) i unikali sali telewizyjnej.

Ta świetlica tak człowieka zdołuje, że święty Boże nie pomoże – mówił Maurice.

Iść tam na telewizję, to się można równie dobrze powiesić – stwierdzał Charlie Redmond.

Może załatwimy sobie laptop, Charlie? Z modemem bezprzewodowym. Żeby coś obejrzeć.

Laptop? W tym miejscu to ja bym nawet, kurwa, oglądał własne buty, Moss.

*

Załatwili sobie laptop. Oglądali starocie. Odprężali się i nasiąkali nostalgią. Noce w wariatkowie mijały powoli. Długie pasmo kwietniowych wieczorów stanowiło okrutny wyrok. Znów obejrżeli razem *Rumble Fish*.

Pierwszy raz widzieli ten film, gdy mieli szesnaście albo siedemnaście lat. Później tak zajechali tę kasetę, że obraz zaczął śnieżyć: monochromatyczny sen o przemocy, śmierci i braterstwie bez granic, o Motorze i Rustym Jamesie. Światła Tulsy płonęły zimnym ogniem, a własny świat chłopaków dawał się przerysować na wzór filmu.

*

Sprzedawali marychę po całej Barrack Street. W osiemdziesiątym trzecim. W osiemdziesiątym czwartym. Towar kupowali hurtem od dziewięciu braci z osiedla w Mahon. Każdy z tamtej dziewiątki znany był jako Sox. Maurice i Charlie kitali trawę za krzyżem w kostnicy, pod klapą porzuconego samochodu na Evergreen Street, pod klęcznikiem konfesjonału. Wpadali do kościoła tak często, że ksiądz zaczął go zamykać na wieczór w dni powszednie.

„Módlcie się w domu” – mówił szlochającym wdowcom, ciężko chorym, niezdrowo markotnym.

Interesy z Sokсами były nękane przez trudności natury pieniężnej i zaopatrzeniowej. Wybuchwały konflikty typu „pogadaj se z moim, kurwa, psem”. Maurice i Charlie nawiązali kontakt z żołnierzem z Collins Barracks w Dublinie. W ramach misji pokojowej wojskowi latali w tę i we w tę między Irlandią a Libanem, a w drodze do domu nikt ich nie przeszukiwał. Wkrótce chłopaki przyjmowały dostawy ćwierćkilogramowych sztabek miękkiego, piaskowatego libańskiego haszyszu.

Nawet nie trzeba było ich podpalać na próbę, Moss.

To jak on się kruszył na rękawiczkach, Charlie – cudo.

Nie dało się kupić w mieście lepszego haszyszu niż libański blond sprzedany przy Barrack Street. Wraz z sukcesem pojawiły się kłopoty. Sięgano po zajadłe psy, łomy, noże. Charliego Redmonda złożono w bagażniku i wywieziono na pole za Kanturk.

Tamtej nocy włosy na piersi stały mi dęba – powiedział, gdy on i Maurice jedli w wariatkowie jajka na twardo.

Zbierały się pieniądze, pasła się ambicja. Trawka ściągała dziewczynki i forszę. Za dnia królowało rozleniwienie, nocą – przemoc.

*

Dilly dostała pozwolenie na wizytę. Siadła w swoich pstrokatych fatałaszkach i dreadach, majstrowała przy końcówkach włosów i patrzyła do góry.

Ale że, kurwa, w jednej sali? – nie dowierzała.

Jej burżujski akcencik rozdzierał serce.

Tak zrządził los, Dill.

Wiesz, Dilly, jak to jest ze mną i z twoim starym? Historia zapisana w gwiazdach, te klimaty.

Zastanawialiśmy się już tutaj, czy razem nie prysnąć – powiedział Maurice.

Otworzylibyśmy bar na Teneryfie, Moss. Moglibyśmy być tam bardzo szczęśliwi. Wywiesić szyld. Ogłosić: „Dzisiaj dancing”

Dilly spojrzała na jednego, potem na drugiego. Skuliła się w krześle, podciągnęła nogi – zawsze miała skomplikowane relacje z meblami, potrzebowała chwili na usadowienie. Nosila swoje wnętrze na koniuszku nosa. Szczęście sprawiało, że lekko się rumienił, strach, że bladł do białości – i właśnie się bała.

To miejsce? – odezwał się Maurice, widząc rozpacz córki. – Nie jest tak złe, jak mówią, Dilly.

Daj nam jeszcze tydzień – dodał Charlie – a będziemy trząść tym lokalem.

I wiesz, flaki aż nam grzechoczą od pigułek szczęścia.

A karmią jak marzenie, dziewczyno. I zasuwamy na popołudniowe seanse, na wieczorne występy, tam i z powrotem po tym korytarzu.

Ale że w tej samej sali? – odezwała się znowu.

Ach, ona jest, wiesz.

Taa.

Dilly bawiła się koniuszkami zaplecionych włosów, skręciła jeden z nich, wygięła go i przez chwilę pogryzała, nogi znów podkulone. Przyglądała się mężczyznom na bliźniaczych łózkach, w błękitnych koszulach, ze zwiotczalymi zuchwami i desperacją w oczach, i nie potrafiła się nie uśmiechnąć, a czubek jej nosa lekko się zarumienił.

Wiesz, jakie jest moje zdanie? – zaczął Charlie. – Bob Marley powinien był sobie urznąć ten swój paluch.

Żyłby dzisiaj jeszcze – dodał Maurice. – Dalej by sobie brykał.

Ale widzisz, Dilly, to właśnie ze względu na rastafariańskie przekonania nie dał sobie ciachnąć tego palca. Zakażenie się rozprzestrzeniło i cześć pieśni.

Mnie dolega tylko lekkie odredzenie – odpowiedziała Dilly. – Nie wyznaję rastafariańskich przekonań. A Bob mnie ogólnie średnio rusza. Chociaż, powiedzmy, kawałek *Duppy Conqueror* trochę lubię.

Za fajna na to jesteś, co? – powiedział Maurice. – Kogo tam jeszcze słuchasz?

Nie wiem... Lee „Scratcha” Perry’ego?

Nie znam gościa – odparł Charlie. – Albo czekaj. To nie jest przypadkiem ten z Mayfield, pomocnik rzeźnika?

Tak, to ten.

Jak ci się ostatnio ze starym Bozią układa, Dill?

Nie myślę o tym za wiele, tato.

Ale miałaś swego czasu lekką fazę, nie?

Bardzo lekką. Już mi przeszło.

Czekaj, aż znajdziesz się w takim miejscu jak my – stwierdził Maurice. – Myśl może się o dowolnej porze zwrócić w uduchowionym kierunku.

Widzisz tamten automat telefoniczny na korytarzu? – podjął Charlie. – Wrzucisz pięćdziesiąt centów i przez trzy minuty gadasz z Wielkim Bossem. Specjalna stawka dla ofiar nadnaturalnych przypadłości.

Łączyłeś się z nim, Charlie?

Dzień i noc się z nim łączę, dziewczyno. Masz jakiegoś drobniaka?

I co ci mówił?

Że brakuje mu anielicy.

Daj, kurwa, spokój, Charlie.

Usadowili się wspólnie. Laptop stanął na krześle pośrodku, a dziewczyna rozsiadła się na skraju łóżka Maurice'a i znów obejrzeli *Rumble Fish*.

Chcecie znać moją skromną i szczerą opinię? – odezwał się Maurice. –
Możliwe, że patrzymy na szczytowe osiągnięcie Francisa Forda Coppoli.

Znaczy się: ojca Sofii? – spytała Dilly.

Mężczyźni spojrzeli po sobie z bólem w oczach.

Ona nawet tych aktorów nie zna – powiedział Charlie. – Ale właściwie,
jak teraz na to patrzę... Czy mi się zdaje, czy byłem za młodu podobny
do Matta Dillona?

Kubek w kubek. Ale zobacz tutaj. Widziałeś ostatnimi czasy Mickeya
Rourke'a?

Chyba jechał ósemką przez MacCurtain Street. Po prawej na górze, nad
kierowcą.

To aż oburzające, jak on się zapuścił.

Taa. Prawie go musieli wykidać z tego autobusu.

*

Maurice odprowadził córkę do końca korytarza i położył dłoń na jej
chudym ramieniu.

Nie chcę więcej słyszeć o żadnej Hiszpanii – oznajmił.

Tato, mam prawie osiemnaście lat.

Tęskniłbym za tobą.

Tak bywa – powiedziała Dilly – więc się nie zesrywaj.

Wiesz, Dilly? Ja bym po prostu chciał, żebyś pobyła blisko. I wpadała tu czasem... Wiesz, że cię kocham, nie?

Oj, tato. Proszę. Serio mówisz?

Taa, wiem. W porządku.

*

Ostatnie dni w wariatkowie. Leżeli obok siebie na bliźniaczych łóżkach i pewnego późnego ranka zjawiła się okazja, żeby powiedzieć to na głos:

Wiesz, Maurice? Zdaje mi się, że ona może być moja. To znaczy, istnieje takie prawdopodobieństwo.

Wiem, Charlie. Wiem.

Rozdział trzynasty

CYNTHIA I DILLY – CICHA HISTORIA

W Corku i na półwyspie Beara,
od kwietnia 2013 do sierpnia 2015 roku

Szła z matką przez kwietniowe miasto. Ptaki zachowywały się jak, kurwa, nakręcane. Miała poczucie winy, że stąpa tak lekko, że czuje taką ulgę po wyjściu poza bramy wariatkowa.

To ci się odłoży w kościach – powiedziała Cynthia. – Przykro mi, że musiałaś przez to przejść. Jak oni wyglądają?

Jak wariaci.

Tak się z człowiekiem dzieje w psychiatryku.

Oglądają *Rumble Fish*...

Jezu Chryste.

...i mówią z pamięci wszystkie kwestie.

Nigdy się nie zmieniają, co?

Nie.

A ten drągal w jaki sposób tam wylądował?

Twierdzą, że przez korzystny układ gwiazd.

A tak, to w ich stylu.

Magia, fatum *et cetera*.

Jeśli jeden drugiego nie zadusi – skomentowała Cynthia – to będzie sukces. Ale niezłe z nich przedstawienie, prawda?

Tak, zgadza się.

Czy twój ojciec wciąż jest taki rozlatany?

W jakim sensie?

To znaczy, czy jego myśli, wiesz... skręcają w dziwne strony?

To Maurice. Niby kiedy, do chuja, skręcają w jakieś inne? Obaj są jacyś tacy... Nie wiem. Przyćpani? Bładzi. Wiesz, siedzą u czubków, nie? Pójdziemy na kanapkę?

Pojechały do pubu Crawford. Zjadły ciasto marchewkowe ze świeżą bitą śmietaną i wypiły americano. Ten bezbrzeżny luz w otaczających ich twarzach, spokój pogawędek – nie, nie jesteśmy tacy jak inne rodziny. Dilly posłała matce szczególny rodzaj spojrzenia. Cynthia odstawiła filiżankę, ponieważ we wzroku córki zobaczyła wyzwanie.

Uważałaś kiedykolwiek, że są agresywni?

Jezu, Dilly, proszę.

Uważałaś?

Skąd takie pytanie?

Nie wiem.

Skąd pomysł, żeby mnie o coś takiego pytać? Nie, nie uważałam.

Nie wierzę.

Wierz sobie, w co dusza, kurwa, zapragnie.

Matka próbowała pokryć twarz nieodczytywalną powłoką obojętności, ale na ustach zaraz zawitał chytry uśmiech.

Dobra – powiedziała.

Co dobra?

Widziałam raz, jak Maurice roztrzaskał łeb jakiemuś gostkowi na Washington Street.

Kiedy to było?

Boże, nie pamiętam. To był jakiś... dziewięćdziesiąty trzeci? Dziewięćdziesiąty czwarty? Przypominam sobie, że działo się to przed klubem bilardowym Pot Black.

Gdzie?

Nie twoja epoka.

I tam chodziło o narkotyki?

Nie... Zdaje mi się, że tamten powiedział coś o jego butach.

O butach?

O ile dobrze pamiętam.

I, tego... duża agresja?

No chyba. To było, wiesz... Niedobrze się robiło.

Patrzyłaś?

Byłam, kurwa, na miejscu, to co mogłam zrobić? Okropna sprawa. Przerażająca. I pamiętam, że serce waliło mu w piersi jeszcze przez godzinę. Co było takie... ech, sama nie wiem.

Jakie?

Też trochę podniecające. Jeśli mam być szczerą.

Jezu Chryste, mamo.

Sama pytałaś.

Poszły na English Market. Wszyscy tam sprawiali wrażenie serdecznych i zadowolonych z siebie. Cynthia kupiła oliwki, żabnicę, chleb na zakwasie, trochę kawy ziarnistej i koper włoski. To ostatnie na uspokojenie żołądka. Ostatnio bywał rozstrojony.

Lepiej, żebyśmy ruszyły w drogę, zanim ryba przemówi ludzkim głosem, Dilly – powiedziała.

Boczną drogą pojechały na półwysep Beara. Wieś starała się zrzucić z barków resztki zimy. Cynthia żuła kawałek surowego fenkułu, a jej anyżowy oddech roznosił się po wnętrzu samochodu. „Czy ona wciąż jest piękna?” – zastanawiała się Dilly, zerkając na matkę z ukosa urażonym wzrokiem. Z pewnością miała cerę gładką do porzygu. Nie wyglądała na czterdzieści jeden lat. Jej oczy były ładne i smutne. Usta naprawdę żywe, gdy się śmiała, ale robiła to rzadko. Zazwyczaj wyglądała tak,

jakby lekko nie dowierzała światu wokół siebie. W sensie: „Czym jeszcze we mnie rzucisz, do cholery?”

Wszyscy wiele przeszliśmy – stwierdziła dziewczyna.

A mówisz to *à propos* czego?

À propos gówna psiego.

*

Na początku i na końcu miłości pojawia się ukłucie świadomości, zupełnie identyczne – zimna pewność, która nachodzi człowieka na obu końcach związku i jest podwójnie przerażająca. On już nigdy nie wróci do domu. Wreszcie skończyła się odwieczna wojna. Morderczy dla obu stron konflikt Maurice'a i Cynthii. Oddała mu ponad dwie dekady. Bezsensowność, ból, długie nieobecności, gorące napady uczuć, nagłe odmiany losu, niekończące się błagania, powolne ustępstwa, złoty wiek morfinowego nieba, zbrodnie po obu stronach, nagłe szturmowanie, uderzająca do głowy radość seksualnych powrotów – z tym wszystkim już koniec. Leniwie i delikatnie nadciągające lato rozświetliło półwysep. Głuptaki nurkowały, atakując nowe ławice makreli. Klify zabarwiły się mieszaniną różowych zawciągów, żółtych komonic i białych jastrunów. W oddali, w czerwcowej mgiełce śniły wyspy Skellig. Cynthia doświadczała wreszcie pewnej dozy spokoju, ale tak naprawdę czuła się chujowo, jak psu z gardła wyciągnięta.

*

Późną nocą z plaży dochodziły głosy. Kobieta wynurzyła się z mielizny czujnego, niespokojnego snu, a zbiry z jej koszmarów się ulotniły. Młodzień, a przynajmniej jakiś jej wierny odłam, co noc przychodziła bawić się nad wodą. Pili, śmiali się i ruchali na tamtejszych piaskach. Nocą stare wybrzeże odurzało niczym narkotykiem.

Cynthia postawiła kościste stopy na podłodze i mamrocząc pod nosem, podeszła do okna. Nowy dom – wciąż tak o nim myślała – pięć lat później: szkło, stal i widok na zatokę. Zbudowali go, kiedy byli przelotnie napasieni jak wieprze zyskami z Ard na Croí. To stąd mieli obserwować nadciągające wichury. To tu mieli pić z umiarem. Nie myśleć o heroinie, jaka mogłaby być do wzięcia. Ech, Maurice, co myśmy sobie zrobili?

W ciemnym szkłe zobaczyła teraz cień własnego spojrzenia: „Jezu, naprawdę powinnam zrobić coś z oczami, nie?”. Odsunęła się od odbicia – własnego, szarego upiora – ale po chwili znów ją przyciągnęło i wróciła...

Niezwykłe było to, że wyglądała dziwnie spokojnie i wiedziała już, że tym razem separacja będzie na stałe.

*

Tamtego lata Dilly zwiewała do puszczy i późną nocą szwendała się samotnie po pustych wiejskich drogach. Kiedy się było na samym krańcu półwyspu w letnią noc, gdy niebo miało blady odcień nawet o północy, wszystko wyglądało jak smutny film o nordyckiej wyspie. Kiedy na pewnym poziomie wiedziało się, że się z tym wszystkim żegna. Z pięknem dróg osieroconych w nocy. Z paprociami w rowach, które właściwie się nie poruszały, jednak ciepła nocna bryza sprawiała, że oddychały, a nawet – jak się wydawało – mówiły.

Cynthia powiedziała:

Odlatujesz jak jebane ptactwo, Dilly. Wiesz o tym, prawda?

*

Minął kolejny rok. Kolejne lato przywlekło się z południa. Siedziały w pogrążonym w ciemności ogrodzie i piły. Tak naprawdę było to jedynie kamieniste poletko nad zatoką – rośliny w ogrodzie nigdy się matce nie przyjęły. Obok rowu stało samotne drzewo, skarłałe i powyginane przez wiatr od morza, jego pokurczone konary przypominały palce wiedźmy. Paliły się kadzidła przeciwko owadom nocy letniej – muchówkom, szczególnie łasym na krew szyną. Charlie Redmond siedział w starym mercedesie zaparkowanym w głębi drogi, obserwował dom i palił papierosa. Każdy kolejny rok okazywał się bardziej pojebany od poprzedniego. Dziewczyna wypła z matką butelkę różowego wina i otworzyła następną.

Powinnyśmy wejść do środka, Dill.

Jeśli to zrobimy, nie zobaczymy, co wykombinuje.

Będzie w porządku. Musimy coś zjeść.

Niedobrze z nim, mamó. Widziałaś tę jego gębę?

Nic mu nie jest. Masz ochotę na makaron z pesto?

Jak na drogę krzyżową.

Wiem, ale przynajmniej szybko by się ugotował. Zamierzałam zrobić kurę. Albo rybę. Postarać się. Upiec rybę w całości. Zrobić sałatkę. Makaron z pesto zdołuje nas tak, że święty Boże nie pomoże.

On dalej tam siedzi.

Jest niegroźny, Dilly. Po prostu wydaje mu się, że nad nami czuwa.

*

Październik. Miesiąc krzywego piękna. Z rozłupanych fal wylatywały na ląd ostrza melancholii. Góry śniły o niedalekiej zimie. Chropawe dźwięki poranka rozlegały się w zagłębieniach zatoki. Ptaki znów szalały. Jeśli chodziła po nitce, noga za nogą, krok za krokiem, z jednego końca pokoju do drugiego, nudności trzymały się tylko jednej strony. Pozierały na nią, sycząc ostrzegawczo, tylko z części ciała. Kojarzący się z żółcią ból był nasilony i wykurwiście złowieszczy. Cynthia wiedziała już, że jest poważnie chora.

*

Dilly położyła się na łóżku. Pozwoliła dłoni sunąć po ciele i przez chwilę marzyła. O mięsistym barku. Spadzistym udzie. Miłości bezimiennej. Ślepej. Szara procesja zimowych dni maszerowała przez równinę oceanu. Dziewczyna rozciągnęła palce u stóp i tak je zatrzymała, próbując siłą woli wypędzić chłód z kości. „Kiedyś będę mieszkać na pustyni – pomyślała. – Mogłabym mieszkać w szałasie, ewentualnie z psem czy dwoma, i może znalazłabym kogoś na *rendez-vous* po zmroku: jakąś wysoką, mityczną istotę o końskim łbie, węzowym ogonie i kwaśnym uśmiechu, kochanka gorliwego jak noc. Jak chłodny powiew pustyni omiatający naszą miłość”

Wysunęła nogi spod kołdry. Miała dziewiętnaście lat i obsesję na punkcie Jacka Nicholsona w *Pięciu łatwych utworach* (jego poharatania), mistycznych zaginionych płyt studia Black Ark Lee „Scratcha” Perry’ego i kamerki internetowej transmitującej niesamowity widok z estakady górującej nad opuszczonym przedmieściem Tokio. Lubiła dotyk szcztokowanego betonu pod gołymi stopami, kiedy schodziła po schodach. Podniecało ją to, jak spływające pieniądze.

W kuchni siedział wychudły Maurice ze swoim waporyzátorem do marihuany i zbitym, kościstym uśmiechem – był wynędzniały i zazieleniony niczym chory książę jaszczurów. Charlie przycupnął w pozycji embrionalnej na sofie.

Hej – powiedziała Dilly.

Przejechała palcami po karku Maurice'a, żeby go pocieszyć. Wstrząsnął nim dreszcz, jak strzał z bicia albo naciągnięcie kabla. Wiedziała, że cierpi. Wystarczyło spojrzenie i potrafiła dostroić się do białego żaru jego udręki.

Matka ma się świetnie, dziewczyno – powiedział. – Znów byłem tam u niej w szpitalu.

Bajecznie się ma – potwierdził Charlie.

Bo wiesz, jakie terapie teraz mają? Jak się nad nimi człowiek zastanowi.

Maurice potrząsnął głową w zdumieniu.

Niewiarygodne sprawy – dokończył.

A te maszyny, co są teraz w szpitalach? – podjął Charlie. – Nie wiesz, czy jesteś w Corku, czy na pokładzie statku Enterprise.

Matka podejmuje walkę – odezwał się znów Maurice – i totalnie rozpierdoli tę chorobę. Wiesz o tym, prawda, Dilly?

*

Miesiące parły naprzód, bez litości. Znowu nastąpiło lato, a Dilly wiedziała, że to ostatnie, jakie spędzi na półwyspie. W czerwcowe noce chodziła na spacer, żeby nie panikować. Przemierzała krawędzie klifów w najprawdziwszym mroku. Idąc, wyczuwała obecność czegoś znacznie starszego. Poznawała po zimnym poruszeniu w powietrzu, że rozpalali tu ogień, wypasali bydło, jadaliby pobrażki i ostrygi prosto z muszli, czuli tę samą palącą sól na ustach, ten sam pradawny deszcz, wydobywali z płuc okrzyki miłosne i bojowe, wędrowali całymi hordami. Ich małe królestwa na tych ziemiach zostały zasiedlone i rozbite, nocami w naszej dolinie odzywały się wilki.

*

Weszła do zimnego morza. Po wodzie zatoki przesuwiał się rój jaskrawych świateł. W oddali kołysała się w miejscu łódź rybacka. Dziewczyna wygrzewała się na skałach w ostatnim ciepłe dnia. W płytkiej kałuży w kamieniu odszukała swoją twarz: zbolałą, proletariacką, majestatyczną.

W dalszej części plaży dało się dostrzec zarys bawiącej się w gęstej mgle rodziny: młodych rodziców z dwójką małych dzieci. Słychać było ich szczebiot.

Krawędź horyzontu nad zatoką pociemniała.

Zapowiadał się wieczór ciepłego, letniego deszczu.

W morskiej mgle wysepki Bull, Cow i Calf stały się zaledwie widmowymi zarysami.

A zarys dźwięków wydawanych przez bawiącą się na plaży rodzinę zmienił się we wrzaski, w delikatną perswazję i we wzajemne oskarżenia.

Rano matka miała być przywieziona ze szpitala – wszelkie terapie zawiodły.

*

Nie zamierzam wyczekiwać, Dilly.

Oj, mammo.

Wiesz, co mam na myśli?

Proszę – powiedziała.

Dilly, muszę odejść. Wiesz, skarbie, co mam na myśli?

Jezusie.

Wiedz jedną rzecz, Dilly. Nie możesz z nimi przebywać. Musisz uciec i nigdy tu nie wracać. Zostało jeszcze trochę pieniędzy.

Nie chcę od ciebie pierdolonych pieniędzy.

*

Utonięcia sprzyjają utonięciom – widać to we wszelkich annałach, słyhać w ludowych mądrościach. Ludzie toną seriami, wypadki mnożą

się i łączą w zbite grupki. Wyspiarski lud ma wrodzony talent do utonięcia.

Późnym popołudniem Cynthia siedziała i spoglądała na zatokę w dole, pijąc sok z czarnego bzu ledwie tylko wzmocniony kapką ginu Hendrick's. Leciutki posmak ginu na granicy wyczuwalności zapewniał jej ten szczególny efekt „co, do chuja?”. Może być i teraz, bez różnicy.

Ból nie chciał ustąpić.

*

Dilly siedziała na kanapie w podłużnym pokoju wychodzącym na zatokę. Był z nią również funkcjonariusz Gardy – trzymał czapkę w dłoni, odsłaniając tym samym swoją mnisią łysinę – nieumundurowany detektyw oraz lekarz. Sterczeli w stanie swoistego zażenowania, unikali kontaktu wzrokowego i – jak to się mówiło? – certowali się z nią.

Rozmawiałaś dziś ze swoim ojcem?

Nie rozmawiałam.

Masz jego telefon?

Ma różne numery.

Niebieskie światła służb alarmowych wirowały wzdłuż drogi do wybrzeża oraz klifów.

Z Berehaven wypłynęła łódź ratunkowa, ale jak dotąd niczego nie znalazła, a w nocy miało nadejść załamanie pogody.

Ciała kobiety nigdy nie odnaleziono.

*

Wyjechała poobijanym saabem matki. Ruszyła drogą od morza. Przybrzeżnych płycizn strzegła czapla: wypatrywała ruchu pośród matowego blasku tafli. Stała zupełnie nieruchomo, w niby kapłańskiej pozie, a jej głowa obracała się niczym wahadło zegara, mechanicznie. W sercu dziewczyny zapanował chaos. Pękało.

Krawędź półwyspu ciągnęła się wzdłuż drogi. Góra pochłoneła światło i lśniła upiornie. W przydrożnej grocie mignęła niebieska Maryjka. Za dusze zmotoryzowanych umarłych. Na tym etapie księżyc już wzeszedł i dziwnie pociągał dziewczynę. Wyraźny, późnoletni miesiąc. Złotawy – to było odpowiednie słowo. Zatrzymała samochód i opuściła okienko, żeby usłyszeć oddech morza. Gdzieś wyżej, na polu, wściekała się późno uruchomiona kosiarka, gdzieś indziej krzyczały lisice. Ostatki zachodzącego słońca odcisnęły na piersi oceanu białe zarysy kości. Góry z kolei drżały w najlepsze. Zbliżała się noc i znów zapadała, och, jaka cisza. Gwiazdy zjawiły się wszystkie naraz – cała korona odległych słońc scalona zgrabnymi, neutronowymi mostkami, a każde to rdzeń atomu.

W ich nowym świetle przejechała pod górami Slieve Miskish. Jak znakomicie by było – czyż nie każdy tak czasem myśli? – umknąć w nocne niebo. Dać się unieść tym delikatnym dłońmi.

Jadąc, Dilly tylko raz obejrzała się za siebie i pozwoliła ustom się poruszyć, żeby powiedzieć „żegnajcie”

*

Swojej ostatniej nocy Cynthia poszła na plażę. Ruszyła sama większą drogą w tym wysuniętym w morze miejscu. Noc była bezwietrzna i pogodna. Idąc, zdała sobie sprawę z obecności samotnej postaci na drodze przed nią. Nawet z odległości rozpoznała, że to mężczyzna. W jego postawie skupiała się jakaś dzikość, chociaż on sam trwał w całkowitym bezruchu, jakby go kto wykuł w kamieniu. Patrzył nad polami i wzgórzami w kierunku Berehaven.

Kroki dudniły miarowo w koleinach, ale odgłosy jej nadejścia nie poruszyły mężczyzny ani trochę i jego obecność, tak samotnego i nieruchomego, przydała nocy złowieszczości.

Kiedy podeszła bliżej, dostrzegła, że dłonie mężczyzny zaciśnięte są w pięści. Dało się wyraźnie wyczuć zawartą w nich zdolność do przemocy. Cynthia przypuszczała, że może to jakiś starszek bez piątej klepki, teraz jednak zobaczyła go wyraźniej.

Był po czterdziestce, ni stary, ni młody, raczej krępy niż drobny, a w szeroko otwartych oczach błyskało okrucieństwo, gdy patrzył nad polami i wzgórzami w kierunku Berehaven.

Nie ośmieliła się obrócić ku niemu wzroku, kiedy przechodziła obok. Ominęła go szerokim łukiem z twarzą opuszczoną, choć rzuciła niskie, ukradkowe spojrzenie i zauważyła, że był bosy, a jego spodnie kończyły się zaraz przed kostką. Poza tym wydawało się, że jest mokry, zupełnie jakby właśnie wyszedł z morza.

Jakiś zagubiony pirat – na to wyglądało – i Cynthia nabrała pewności, że za chwilę przerwie bezruch i zaatakuje.

Ale wszystko pozostało ciche i nieporuszone, jeśli nie liczyć jej kroków i wolnego pobrzękiwania łańcuchów oceanu.

Ruszyła drogą wzdłuż zatoki, a kiedy zerknęła przez ramię, mężczyzna pozostawał absolutnie sztywny i napięty, i postępowwała dalej w kierunku plaży, lecz kiedy znów spojrzała za siebie, droga okazała się całkowicie pusta – czarna próżnia – i kobieta weszła w ostatnią, bladą ciemność nocy

wzdłuż postrzępionego wybrzeża

obok szarego, muzycznego morza

w miejscu za Berehaven.

Rozdział czternasty

DESZCZOWA NOC W ALGECIRAS

W porcie Algeciras, październik 2018 roku

W terminalu portowym w Algeciras trwa noc. Ostatni prom wypłynął do Tangeru. W budynku nie ma już prawie nikogo. Megafony milczą. Bistro jest zamknięte na trzy spusty. Pod napisem INFORMACIÓN stoi puste biurko, okienko tonie w mroku. Nieopodal, wciąż na tej samej ławce, Maurice Hearne i Charlie Redmond siedzą sami ze swoją skrucą. Bez trudu kołyszają się do jej melodii, niemal jakby mieli ją we krwi.

Wiesz, co jeszcze trzeba przyznać, Charlie?

Co takiego, Maurice?

Że w pewnym sensie człowiek smakuje pełni życia. Ma ono w sobie szczególną intensywność.

Nie nadążam, Moss.

Chodzi mi o to, że na świecie nie ma, w pewnym sensie, głębszego doświadczenia niż złamane serce.

Wywodzę się z długiego rodu takich, Maurice. Tych złamanych serc.

Tak powiadasz, Charles?

Redmondowie zawsze kończą z roztrzaskaną pikawą. Jest to, najwyraźniej, stała część układu.

Spoglądają w lewo, potem w prawo, w doskonałej synchronizacji.

Myślisz, że ona da radę się o siebie zatroszczyć? Dilly?

Trudno mi o tym myśleć. Młoda dziewczyna luzem w takich miejscach. Pośród wylatujących na żer drapieżnych dziwolągów?

Ma głowę na karku. To ją ratuje.

Racja, no. Jak jej matkę. Ma w sobie element chytry i obrotny.

Zmęczony, stary Marokańczyk przyciska do cycka miotłę. Dziewczyna z monopolowego zamyka sklepik i macha staruszkowi. Kaczkowatym dreptaniem przemierza terminal ochroniarz, na którego czole wypisane są wszystkie żale Andaluzji.

Myślisz o Cynthii, Maurice?

Staram się tego unikać. Ale czasem mnie przesywa.

Zaciętym wzrokiem spoglądają kawałek przed siebie. Muszą przyswoić porcję trudnej wiedzy. Mają świadomość tego, co kiedyś posiadali i co stracili.

Spotykałem się z nią w barze Sextant – mówi Charlie.

Mówimy o Cynthii?

Mówimy o Cyn.

Czemu wybrałeś Sextant?

Ponieważ leżał trochę na uboczu. Ludzie musieliby się tam specjalnie wybrać. Wiesz, najczęściej tylko siedzieliśmy i rozmawialiśmy.

To właśnie słowo „najczęściej” boli jak nóż w sercu.

Brzmienie nocy słyszane teraz z terminalu w porcie Algeciras:

warkot nocnego ruchu ulicznego po drodze wzdłuż wybrzeża, niby monotony szwargot beznadziejnych modlitw u kresu żywota,

krzyk, jakby dziecięcy, egzotycznego ptaka w koronie wynędzniałej palmy przed pasażem superSol,

niski pomruk i łoskot wciąż zbliżającej się burzy.

Szukając pocieszenia, mężczyźni osuwają się w koleinę wspomnień:

Barrack Street, rok tysiąc dziewięćset osiemdziesiąty szósty...

A pamiętasz czasy Chińczyków z Emerald River, Charlie?

Weź wreszcie przestań, co? Proszę cię. Nigdy nie odzyskamy tamtych dni, Moss.

Ile było tych sióstr Wong ostatecznie?

Więcej sióstr Wongowych z każdym okresem lęgowym.

Nie ma to jak stare żarty. Czy to była piątka?

Nie dało się zliczyć, Maurice. Kiedy tak paradowały w tę i we w tę po Barrack Street, a jedna piękniejsza od drugiej.

Była chyba Tina?

I była też Debs.

Debs, ta najstarsza? I jeszcze trzy inne, może cztery. Czy przyznasz, że w tamtych czasach zajmowały przynajmniej część naszych snów, Charlie?

Tych gorących i cuchnących.

Z perspektywy lat, wiesz, co jest najgorsze?

Co takiego?

Te potencjalne. Te, które by na wszystko poszły, ale ty nie spróbowałeś. Te, z którymi bałeś się zaryzykować.

Wszyscy czegoś żałujemy, Maurice. Jako starszawi jegomoście.

Możesz jeszcze zaznać miłości, Charlie.

Taa, mogę. Z małą pielęgniareczką z Clonmel, od nosa, gardła i uszu. Myślę, że wykurwiście się ucieszy, jak zobaczy, że idę.

Czas mija tak szybko, chwile wędrują naprzód, jedne noce ustępują drugim. Burza jest teraz dokładnie nad portem Algeciras i zaczynają na niego spadać ciężkie krople deszczu.

Mężczyźni patrzą w górę przez wysokie okna.

To zacinający deszcz miotany potężnymi uderzeniami szkwału, a Irlandczycy nie mają dokąd iść, tylko na ulicę i w głąb portowego miasta.

Ruszają przez terminal. Charlie niesie torbę Adidas i ciągnie za sobą smętną nogę. Wychodzą w ciepłą noc, pod napór gorącego dżdżu. Maurice wytrzeszcza zdrowe oko w deszcz, żeby ocenić jego intensywność. Przechodzą wzdłuż budynku od zawietrznej, żeby osłonić się od najgorszego.

To jeden z naszych wspaniałych talentów, Maurice. Jako narodu.

A jest nim co, Charlie?

Jest nim chodzenie przy ścianach budynków, żeby nie przemoknąć.

Bijemy w tej dziedzinie rekordy, panie Redmond.

Wszystkie stare porty noszą w sobie własny smutek. Kiedy podróżujemy przez wodę, serca wypływają nam na powierzchnię. Jezdnie i wąskie, pnące się w górę uliczki stają się śliskie od deszczu. Uliczne barwy rozmywają się i roztańcowują. Mężczyźni skrywają się u wejścia do portu pod markizą punktu sprzedaży biletów. Skrawki postrzępionych plakatów – osoby zaginione. Promy do Ceuty i promy do Tangeru. Irlandczycy patrzą prosto w deszcz nad cieśniną.

Nigdy nie mogłem być dla niej tym, co ty, Maurice.

Charlie?

Rozumiesz? Nigdy nie umiałem zaprezentować się jako poważna opcja.

Nie musimy tego robić.

Och, ale trochę jednak musimy.

Nie chcę tego robić, Charlie.

Patrzą w przeciwnych kierunkach wzdłuż portu. Światła łukowe rozmazują się nad kolumnami kontenerów. Stare, ciemne, pudełkowate miasto wisi nad nimi ponuro – już zamarło na noc. Maurice Hearne liczy, ile razy tu był, przez jak wiele lat. Pamięć wymyka się spod kontroli i znikąd zjawia się Karima. Jej oczy były żywe i pełne blasku, czekały nocą, aż się obudzi, odwróci się, ułoży ją na łóżku, zacznie konspiracyjnie szeptać w jej lędźwie.

Nie byłoby z tobą dobrze, Maurice.

Nie, Charlie.

Chodzi mi o to, że taka noc by cię teraz kurewsko przeczołgała.

Charlie Redmond rzuca niebu nieprzyjemne spojrzenie. Ma ono wiele do powiedzenia na swoją obronę. Deszcz uderza szkwałami i jęczy, a Charlie z posępną miną próbuje go odczytać. Kochał Cynthię od momentu, kiedy ją zobaczył. Gdy zwróciła ku niemu swój zakrzywiony uśmiech, czuł, jakby zrobił krok w kosmosie.

Ja pierdołę. To prawie trzydzieści lat już.

Od czego?

Nie, nic.

Przeszłość jest niepewna, ruchoma. Może się jeszcze zmienić i ułożyć na nowo. Była niedziela wieczorem na Barrack Street, kiedy Maurice pierwszy raz z nią porozmawiał. Panowała atmosfera ogromnego

bezruchu. Dzwony katedry nie przełamywały go, lecz tworzyły dla niego ramy. Przeszedł przez ulicę, żeby ją wyprzedzić. Obrócił się do niej i obdarzył ją uśmiechem, ale go nie odwzajemniła.

Nie idzie mi to – rzucił. – Jesteś Cynthia, nie?

Przyznała. Jej błąd polegał na tym, że w ogóle się odezwała.

Mimo niedzieli wyglądasz na bardzo zajętą – powiedział Maurice.

Dotrzymywał jej kroku przez całą drogą ze wzgórza w stronę centrum. Zapytał, czy nie wybrałaby się z nim na drinka do baru Oval. Odpowiedziała, że musi wracać do domu.

Ale już wyglądamy jak para – stwierdził.

Doszedł z nią aż do dworca autobusowego, gdzie oparł się o ścianę i nie próbował już być zabawny.

Daj mi znać, jeśli to cię zaczyna drażnić w jakikolwiek sposób – poprosił.

Wiedział, że postęp jest pewny. Nad rzeką twarde białe mewy zarządzały niebem tak, jakby było posterunkiem. Dziewczyna nie odzywała się, ale widział, że zastanawia się, jak by to było, gdyby się pocałowali.

Myślę, że byłoby całkiem miło – rzucił.

I wtedy pierwszy raz się uśmiechnęła.

O kurwa, jak to zrobiłeś? – zapytała.

A on po prostu ją pocałował.

W Algeciras deszcz pada tak, jakby chciał zmyć z nas najnędniesze grzechy. Woda pędzi rynsztokami, ścieka z dachów.

Doczekamy końca, Maurice?

To jest wielkie nieszczęście, Charlie. Przed nami być może jeszcze daleka droga.

A my się nią, kurwa, wlecemy w całej rozciągłości.

Jak trędowaci. A ludzie będą nasłuchiwać naszych dzwonków.

W Algeciras znów panuje noc. Deszcz przelewa się na tle portowych świateł, lecz teraz jakby łagodniej. Charlie Redmond opiera się pod markizą kasy biletowej. Kuli się w swoich spiętych, chudych barkach. Perspektywa kolejnego listopada wywołuje podły niesmak w gardle.

Maurice Hearne wychodzi ze stanu ciągłego napięcia, rozluźnia się, wychyla głowę spod markizy i tępo gapi się w nocne niebo, nad portem i kontenerami – i tak, przejaśnia się, a gwiazdy są tymi samymi gwiazdami, i odwraca się do starego druha z miną na wpół optymistyczną:

Wydaje mi się, że przechodzi – mówi.

Od tłumacza

Poza mottem z Lorki w przekładzie Marcina Kurka w tekście wykorzystałem cytaty z *Ulissesa* Jamesa Joyce'a w przekładzie Macieja Słomczyńskiego oraz parafrazy cytatów z *Włóczęgów Dharmy* Jacka Kerouaca w przekładzie Marka Obarskiego i *Przygód Hucka* Marka Twaina w przekładzie Krystyny Tarnowskiej.

Ponieważ chciałem oddać język głównych bohaterów, w którym pojawiają się wyrażenia charakterystyczne dla irlandzkiej odmiany języka angielskiego, ale zarazem nie odsyłać czytających do przypisów, zdecydowałem się w kilku miejscach na wtrącenie regionalizmów albo archaizmów. Dlatego na przykład poznański „szuszwol” zastąpił irlandzkiego *crusty* (osobę zaniedbaną i niechlujną), a niedzisiejsza „kompleksja” – tamtejsze *gaatch* (wygląd, postawę, sposób bycia).



Wydawnictwo Pauza powstało jesienią 2017 roku na Saskiej Kępie w Warszawie. Zrodziło się z pasji – do czytania i dobrej prozy zagranicznej.

Pauza specjalizuje się w literaturze z wyższej półki, która wciąga, pochłania, wywołuje emocje. Czytelnicy znajdą u nas znane i nagradzane książki z całego świata, ale też mocne debiuty literackie.

Nocny prom do Tangeru to osiemnasta książka Wydawnictwa Pauza.

Wcześniej ukazały się:

2018

Legenda o samobójstwie – David Vann

Pierwszy bandzior – Miranda July

Nasz chłopak – Daniel Magariel

Historia przemocy – Edouard Louis

Tirza – Arnon Grunberg

2019

Pasujesz tu najlepiej – Miranda July

O zmięczeniu – Therese Bohman

Piękna młoda żona – Tommy Wieringa

Czekaj, mrugaj – Gunnhild Øyehaug

Floryda – Lauren Groff

Przyjaciel – Sigrid Nunez

Madame Zero i inne opowiadania – Sarah Hall

Mój rok relaksu i odpoczynku – Ottessa Moshfegh

Brud – David Vann

Koniec z Eddym – Edouard Louis

2020

Zgiń, kochanie – Ariana Harwicz

Linia – Elise Karlsson